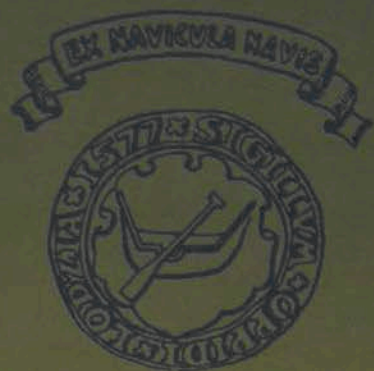


Kronika Kronika Kronika Kronika Kronika Kronika

MIASTA ŁODZI



Zeszyt 2/95

Zarząd Miasta Łodzi
1995

~~Wojewódzka Biblioteka~~
NF 5912 5.02 1996

PR B



EX LIBRIS
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARSHAŁKA
JOZEFĄ PIŁSUDSKIEGO
W ŁODZI

Kronika Miasta Łodzi

2/95

Łódź 1995

Rada Programowa

Kazimierz Badziak, Zbigniew Bokszański, Bolesław Bolanowski,
Ryszard Golański, Elżbieta Hibner, Grzegorz Matuszak,
Wojciech Michalski, Witold Rosset

Zespół Redakcyjny

Andrzej Rostocki — redaktor naczelny, Andrzej Babaryko — redaktor prowadzący,
Zofia Gromiec — sekretarz redakcji, Wojciech Michalski

Projekt okładki

Bogumił Łukaszewski

ISSN 1231-5354
Zarząd Miasta Łodzi
1995

E02/95



· fot. Piotr Zdrzyński

Opracowanie statusu miasta na wzór istniejących w tradycji anglosaskiej tzw. „kart” — lokalnych konstytucji — to droga do nadania Łodzi odrębnej formalno-prawnej pozycji.

ANDRZEJ MAJER

Ile demokracji dla Łodzi

Nie ulega wątpliwości, że powołanie w Polsce samorządowych gmin jest udanym efektem „solidarnościowego” przewrotu. Jednak po pięciu latach od daty pierwszych wyborów do władz lokalnych widać już potrzebę zmian modelu demokracji samorządowej. Opinie ekspertów na ten temat nie są zgodne, nie mówiąc o opinii publicznej, dla której obecnie stanowi to margines zainteresowania. Unikając recenzowania całego procesu tworzenia się i funkcjonowania samorządności lokalnej, tekst ten formułuje kilka uwag na temat sytuacji Łodzi w samorządowych warunkach.

W uproszczeniu, sens funkcjonowania polskich samorządów terytorialnych polega na powołaniu ich na mocy ustawy z obligatoryjną, a nie dobrowolną przynależnością mieszkańców. Po drugie, na przekazaniu im jedynie części uprawnień wykonywanych dotychczas przez państwo, np. prawa do dysponowania majątkiem narodowym na określonym terytorium, zgodnie z formułą „ściśle określona część autonomii dla gmin”. Wpisuje się to w zasadę sformułowaną jeszcze w okresie międzywojennym m.in. przez Konstytucję kwietniową z 1935 r.: „Nadzór nad działalnością samorządu terytorialnego sprawuje rząd przez swoje organa lub przez organa samorządu wyższego stopnia”. W odrodzonej Polsce samorząd terytorialny włączony był do administracji państwowej (Konstytucja kwietniowa z 1935 r. określa to w art. 72: „Administrację państwową sprawują: a) administracja rządowa, b) samorząd terytorialny, c) samorząd gospodarczy”). Kryła się za tym chęć zachowania kontroli politycznej i wpływu na samorządy przez ugrupowania sprawujące władzę, a także pewne zabezpieczenie integralności sprawowania władzy w ramach państwa określane go w terminologii prawnokonstytucyjnej jako unitarne. Pozostawiając na boku fakt, że w końcu 1995 r. Polska nie ma jeszcze ustawy zasadniczej określającej w trwały sposób miejsce i zadania samorządowych gmin w państwie prawa, **wybierane w powszechnych wyborach rady sprawujące władzę w miasteczkach, miastach i dużych aglomeracjach (z wyjątkiem stolicy) działają jako składniki jednolitego systemu administracji publicznej**: „Organa administracyjne państwa można ogólnie podzielić na: administrację rządową, scentralizowaną i zhierarchizowaną, oraz administrację samorządową, zdecentralizowaną i niezhierarchizowaną, dysponującą odrębnym majątkiem wydzielonym z majątku ogólnonarodowego i posiadającą własną osobowość prawną”¹. Obszar przyznawanych władzom lokalnym uprawnień systematycznie powiększa się, jednak w sposób ściśle regulowany przez centralną władzę ustawodawczą i wykonawczą. Ten stan rzeczy sankcjonuje ogłoszona w 1990 r. Europejska Karta Samorządu Terytorialnego, w art. 4 pkt. 2 stanowiąca: „Społeczności lokalne mają — w zakresie określonym ustawą — pełną swobodę działania w każdej dziedzinie, która nie jest wyłączona z ich kompetencji lub nie wchodzi w zakres kompetencji innych podmiotów władzy”. Prościej: samorządom wolno wszystko z wyjątkiem tego, czego zabrania im państwo. Nad myśleniem o polskim modelu demokracji lokalnej nadal ciąży doktryna postrzegania samorządów jako *składników administracji publicznej*, przy czym koronnym argumentem za utrzymaniem ograniczonego zakresu ich samodzielności jest twierdzenie o konieczności utrzymania spójności i sterowalności odpowiadającej politycznemu modelowi państwa (teza M. Kuleszy²).

¹ L. Wiśniewski, *Samorządy w nowej ustawie zasadniczej*, „Rzeczpospolita” nr 208, 8 września 1995, s. 13.

² M. Kulesza, *Strategia w sprawie reformy administracji publicznej*, [w:] *Rozwój lokalny i regionalny w okresie transformacji gospodarki polskiej*, p. red. A. Jewtuchowicz, UŁ, Łódź 1993, s. 11.

Rozwiązanie to nie jest wyjątkiem. Większość rozwiniętych europejskich demokracji wprowadziła już wcześniej szereg zabezpieczeń przed oddaniem „pełnej władzy w ręce rad” (poza Szwajcarią i Islandią, gdzie doskonale funkcjonują mechanizmy demokracji zwanej bezpośrednią, ale umożliwia to niewielki obszar tych krajów i ich peryferyjne położenie geopolityczne). Uważana za jedną z ojczyzn nowoczesnej demokracji Francja dopiero w latach 1982-83 przeprowadziła głęboką reformę administracji, wprowadzając większą decentralizację uprawnień władzy. Mimo to pozostały nadal, przy pięciostopniowym francuskim podziale administracji, zastrzeżone do wyłącznej kompetencji państwa i jego terenowych agend pewne istotne dobra grupowe, jak podstawowa opieka zdrowotna, opieka społeczna lub planowanie przestrzenne. W Portugalii debata na temat ostatecznego kształtu samorządu terytorialnego trwa już nieprzerwanie od 25 lat. W Niemczech, nie wchodząc w szczegóły lokalnych rozwiązań w tym federacyjnym państwie, mamy wprowadzić do czynienia z przekazaniem wielu uprawnień władzom lokalnym, ale pod nadzorem — lub jak w wypadku np. planowania przestrzennego — pod kierownictwem państwowych urzędów. W Stanach Zjednoczonych (uwzględniając, że ustrój Ameryki jest nieporównywalny z żadnym innym) uprawnienia oraz odpowiedzialność władz stanowych i lokalnych są starannie rozdzielone. Dla przykładu, planowanie przestrzenne rozgrywa się na szczeblu lokalnym, lecz budowa autostrad — stanowym, bądź gdy koliduje z istniejącym gdzieś poligonem wojskowym czy parkiem narodowym — federalnym. Łatwo zresztą o tego rodzaju przejrzystość w kraju, gdzie państwo (administracja federalna) jest prawnym właścicielem tylko około 7% powierzchni, a administracja stanowa — 12%.

Największą jednak wadą obecnego stanu prawnego jest to, że zrównuje formalnie samorządy terytorialne, czyli małe miasteczka, z aglomeracjami wielkości Łodzi. Pod tym względem zdaje się być krokiem wstecz w stosunku do międzywojennej Rzeczypospolitej, w której system samorządowy nie był bynajmniej jednolity: samorządne w sensie formalnym były dwa województwa — pomorskie i poznańskie, a katowickie miało nawet prawną autonomię i własny parlament. Obecny zunifikowany model samorządności terytorialnej, traktując dosłownie idee jednolitego administracyjnie (unitarnego) państwa, nie rozróżnia wielkości i funkcji jednostek terytorialno-administracyjnych. „Rozmywają się” w nim szczególnie duże miasta, mając, za wyjątkiem stolicy, jednakowe uprawnienia i uwarunkowania działalności. **Reforma samorządowa zagubiła jedną z najstarszych i najbardziej trwałych cech związanych z samą istotą „miejskości”, mianowicie samodzielność prawnoustrojową i ekonomiczną miast.** Począwszy od greckiego miasta-państwa, poprzez średniowieczne wolne miasta zrzeszone w związki i pruskie reformy Steina po 1815 r., trwało jej nieustanne doskonalenie. Wiele dużych miast zachodniej Europy, jak choćby nieodległe od nas — Berlin, Hamburg czy Frankfurt nad Menem, cieszą się do dzisiaj uzasadnioną historycznie prawną odrębnością, mając status

wolnych miast. W pozostałych dużych miastach obowiązuje jeden z kilku podstawowych modeli organizacyjnych władz samorządowych, mianowicie:

1. *samorząd zunifikowany*, w którym władze i miasto stanowią niepodzielną i scentralizowaną całość, np. Paryż,
2. *samorząd policentryczny*, w którym poszczególne jednostki składowe miasta stanowią równocześnie całkowicie odrębne i samodzielne jednostki samorządowe, co ma aktualnie miejsce w Londynie,
3. *samorząd dwuszczeblowy*, w ramach którego mniejsze jednostki podziału miasta, np. dzielnice, mają własne władze samorządowe, a miasto jako całość jest siedzibą samorządu wyższego szczebla; to rozwiązanie przyjęły Warszawa i Budapeszt,
4. *zdecentralizowana gmina*, w której władzę sprawuje samorząd ogólnomiej-ski, przekazując równocześnie część swoich uprawnień zależnym od niego władzom mniejszych jednostek administracyjnych (dzielnic czy osiedli) — model ten obowiązuje obecnie w Amsterdamie czy Oslo.

Ustawa o samorządzie terytorialnym z 8 marca 1990 r., narzucając większości miast w Polsce jedno tylko, „paryskie” (określając umownie) rozwiązanie samorządności zunifikowanej, nie otworzyła nawet przysłowiowej furty dla dyskusji nad innymi modelami. Odrębne rozwiązanie w postaci samorządu dwuszczeblowego wymusiła jednak wkrótce stolica. Dalej, ustawa o podziale kompetencji pomiędzy administracją państwową i samorządową z 17 maja 1990 r. z góry postawiła samorządy miast w sytuacji zależności od lokalnych agend władzy państwowej, nie zapewniając im dobrej „pozycji przetargowej” w ewentualnych negocjacjach pomiędzy prezydentami a wojewodami. Choć doświadczenia pokazują wyraźnie, że racjonalność gospodarowania publicznymi pieniędzmi przez samorządy terytorialne jest niemal trzykrotnie wyższa niż przez zbiurokratyzowane struktury administracji rządowej, to jednak głównym dystrybutorem środków finansowych pozostaje nadal państwo. Wedle aktualnego stanu przepisów, w kasach zarządów dużych polskich miast pozostaje tylko 5% ogólnej sumy podatków od dochodów osobistych, około 11% podatków od tzw. osób fizycznych i 17% dochodów z podatków od nieruchomości.

W gospodarce miejskiej obowiązuje prosta zależność: im większe miasto, tym większe potrzeby finansowe, ponieważ droższe są w nim koszty niemal wszystkich usług komunalnych. W polskich warunkach ani system pozyskiwania podatków, ani otrzymywania dotacji państwowych nie rozróżnia terytorialnej wielkości miast czy liczebności mieszkańców, tym samym nie bierze także pod uwagę zróżnicowania potrzeb miast i różnicy w cenach usług (P. Swianiewicz³). Łódź jako gmina samorządowa musi funkcjonować na tych samych zasadach co miasto stutysięczne, przy znacznie wyższych

³ P. Swianiewicz, *Współczesne wyzwania samorządów miejskich*, [w:] *Miasta polskie w dwusetlecie prawa o miastach*, p. red. E. Kaltenberg-Kwiatkowskiej, PTS, Warszawa 1995, s. 208.

kosztach tego funkcjonowania. Nic dziwnego, że w rocznicę dwóchsetlecia ustawy o prawach miast polskich, w 1991 r., przedstawiciele Związku Miast Polskich powtórzyli tzw. Czarną Procesję mieszczan. Protestowali przeciw ustawodawstwu przykrojonemu do wielkości i funkcji przeciętnej gminy i nie pasującemu do realiów dużych miast⁴.

* * *

Czy drugie co do wielkości miasto w Polsce musi mieć prawny status gminy i powtarzać model zunifikowanego samorządu? Wydaje się, że żaden racjonalny argument nie stoi w sprzeczności z wyobrażeniem sobie **odrębnego modelu samorządności Łodzi**. Przez cały wiek XIX, aż do I wojny światowej, Łódź miała już faktyczny status gminy z siedzibą władzy zwierzchniej w Piotrkowie, wskutek czego nie mogła stać się prawdziwie wielkim miastem, ponieważ brakowało jej jednej z najważniejszych funkcji — administracyjnej. O ewentualnej samodzielności ustrojowej Łodzi nie należy dzisiaj myśleć w kategoriach wyodrębnionego „księstwa łódzkiego”, lecz uwzględniając kryteria organizacyjne i ekonomiczne.

Samodzielność ustrojowa Łodzi mogłaby zatem polegać na rozszerzeniu jej finansowo-podatkowej bazy. W polskich warunkach głównym źródłem utrzymania budżetów gminnych — poza wspomnianymi już dotacjami z centralnego budżetu, które w istocie niewiele mają wspólnego z demokracją samorządową — są podatki od nieruchomości, według podobnych w całym kraju stawek. **Tymczasem praktyka funkcjonowania demokracji lokalnej nie wymyśliła dotychczas lepszego instrumentu wiążącego jednostki i podmioty gospodarcze ze zbiorowością i ich środowiskiem zamieszkania niż partycypacja w wydatkach i inwestycjach miejskich poprzez podatki od dochodów, których znacząca część pozostaje w dyspozycji władz miasta.** Wielkość tego udziału waha się od 37% podatków od dochodów osobistych pozostających w kasach miast niektórych landów Niemiec, do 82% w wybranych miastach Holandii. **Drugim instrumentem** o podobnym działaniu są **podatki lokalne**, nakładane z tytułu zamieszkiwania lub działalności na danym terytorium, w tak charakterystyczny sposób różnicujące np. koszty życia w miastach amerykańskich. Ich wysokość może odstraszać amatorów osiedlania się w danym mieście, lub przeciwnie, być przynętą dla inwestorów. Samodzielne dysponowanie tymi instrumentami może być ogromnym atutem lokalnej władzy, a równocześnie nakłada na jej przedstawicieli wielką odpowiedzialność. W tym kontekście znacznie przejrzystiej rysują się trudno zazwyczaj uchwytnie zależności pomiędzy prawem dysponowania tymi środkami przez władze lokalne a dobrem ogółu.

Drogą prowadzącą do nadania Łodzi odrębnej formalnoprawnej pozycji może być opracowanie niestandardowego statutu miasta na wzór istniejących w

⁴ „Wspólnota”, nr 19/1991.

tradycji anglosaskiej, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, tzw. „kart” (*charts*), będących rodzajem lokalnych konstytucji. Zawierają one nie tylko podstawowe rozstrzygnięcia i wykładnie sposobu wytwarzania i dystrybucji zbiorowych i jednostkowych dóbr, ale także precyzyjne rozgraniczenia pomiędzy uprawnieniami państwa i samorządu. „Karta” miasta rozstrzyga, przykładowo, czy władzę wykonuje w nim kolegialny zarząd wybierany spośród członków rady miasta, czy też wynajmowany do tego celu zawodowy administrator.

Trzecim wreszcie i najbardziej wydajnym mechanizmem prowadzącym do samodzielności może być taki sposób uprawiania długofalowej polityki miejskiej, który przynosi miastu solidny dochód. Mające długą tradycję stosowania różnych wariantów takiej polityki aglomeracje amerykańskie notują pod tym względem zarówno dobre, jak i złe doświadczenia. Wynika z nich m.in., że podejmowanie decyzji opartych na próbach „wysłuchiwania”, a następnie godzenia sprzecznych interesów — czyli stosowanie modelu zwanego pluralistycznym, będącego najpowszechniejszą praktyką zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Polsce — nie zdaje egzaminu. Z drugiej strony niemal nie zdarza się, ażeby znaczące decyzje, dotyczące przedsięwzięć na wielką skalę, podejmowane były przez władze bez odpowiedniego wsparcia czy przyzwolenia ze strony prywatnego sektora, a zwłaszcza dużego prywatnego kapitału. Chcąc zatem prowadzić bardziej aktywną politykę miejską, władze wielu dużych miast wybierają strategię nazywaną „menadżerstwem” (*managerialism*). Pozwala im ona zachować autonomię zarówno wobec potrzeb społeczności mieszkańców, jak i biznesu. Zgodnie z tą strategią miasto występuje w roli podmiotu realizującego własne interesy lub inicjującego samodzielnie określone projekty, w których na pierwszym miejscu znajduje się wzmacnianie biznesu w imię poprawy stanu gospodarki miejskiej, np. zwiększania ilości miejsc pracy i wpływów do lokalnego budżetu. Wiele studiów nad tak rozumianym miejskim „menadżerstwem” (przykładowo, analiza sposobu w jaki lokalna biurokracja reaguje na potrzeby społeczne — M. Lipsky’ego czy jej współpraca przy rozszerzaniu sieci usług w studium R. Hero i R. Duranda⁵) potwierdziło względną niezależność i autonomię władz, przede wszystkim duży stopień swobody w reagowaniu przez urzędników aparatu biurokratycznego na potrzeby różnych kategorii ich petentów.

* * *

Znacznie bardziej owocna jest strategia tzw. prywatyzmu (*privatism*). Zakłada ona swego rodzaju jawne i poddane przynajmniej częściowej społecznej kon-

⁵ M. Lipski, *Toward a Theory of Street-Level Bureaucracy* [w:] *Theoretical Perspectives on Urban Politics*, W. Hawley, et al., (eds), Prentice Hall, Englewood Cliffs, 1976; R. Hero, and R. Durand, *Explaining Citizens Evaluation of Urban Services*, „Urban Affairs Quarterly”, 20, 1985.

trolu partnerstwo sektora miejskiego (publicznego) i prywatnego. To znaczy między administracją, szkolnictwem, placówkami służby i opieki społecznej oraz lokalnymi organizacjami społecznymi, a grupami złożonymi z czołowych przedstawicieli biznesu, od których oczekuje się bezpośredniej współpracy z urzędnikami czy kierownikami instytucji społecznych. Najczęściej polega ona na wspomaganiu lub wprost na finansowaniu przez lokalny kapitał sektora publicznego. W odpowiedzi władze miasta odpowiednio wspierają sektor prywatny. Chodzi przy tym nie o polityczne interesy, ale „techniczne” problemy do rozwiązania z udziałem prywatnego przemysłu i handlu współpracujących z miastem. **Prywatyzm** ma najczęściej praktyczny wymiar: opierająca się na tym polityka miejska polega na zapewnieniu wielu finansowo-ekonomicznych zachęt i bodźców powodujących zmniejszenie kosztów produkcji i ułatwianie akumulacji prywatnego kapitału, które obliczone jest na pobudzenie inwestycji mogących w dłuższej perspektywie przynieść korzyści zarówno prywatnemu, jak też i publicznemu sektorowi. Zakłada się przy tym, że jeśli ożywiona gospodarka prowadzi do ekonomicznego wzmocnienia całego regionu, to zwiększanie liczby miejsc pracy i ułatwianie intensywnego wykorzystania przestrzeni prywatnym inwestorom zaowocuje z czasem zwiększeniem liczby zarabiających i chętniej inwestujących indywidualnych konsumentów. To z kolei rozszerzy bazę pożytkowania podatków dochodowych i w rezultacie wzmocni finansową gospodarkę miast. Do praktycznych instrumentów urzeczywistniania prywatyzmu należy m. in. zmniejszenie podatków lokalnych, udzielanie niskoprocentowych kredytów, kredytowanie zakupu działek (*land cost writedowns*), tworzenie stref dofinansowania, różnicowania podatków (*tax increment finance districts*, TIFS), organizowanie specjalnych stref przedsiębiorczości, zapewnianie gruntów na przebudowę dzielnic miast (*urban development action grants*, UDAGs), emisja obligacji przemysłowych (*industrial revenue bonds*, IRBs), tworzenie firm i konsorcjów inwestycyjnych z udziałem miasta (*redevelopment authorities*), rozszerzanie prywatnej własności terenów czy wiele innych publiczno-prywatnych przedsięwzięć.

Oba przedstawione tu jedynie skrótowo rozwiązania zostały użyte głównie dla zilustrowania formuły, w której mieści się również odpowiedź na tytułowe pytanie. **W warunkach kapitalistycznej gospodarki miasta mają tyle demokracji (czyli samodzielności prawnofinansowej), ile umożliwia im to ich formalny status, baza podatkowa i tzw. aktywna polityka miejska, uwzględniająca partnerską współpracę z lokalnym kapitałem.**

O łódzkiej inteligencji

Kilka uwag ogólnych

Kiedy mówimy o inteligencji jako odrębnej kategorii społecznej, mamy na uwadze zbiorowość dość różnie pojmowaną. W potocznej świadomości mówi się na ogół o inteligencji jako grupie ludzi światłych, wykształconych, twórczych, zaangażowanych w sprawy publiczne, niezbędnej dla funkcjonowania szerszych zbiorowości, traktowanej niejednokrotnie jako społeczna elita. Podkreślano także jej swoistą obyczajowość, ethos czy dobre obyczaje. Warto może wspomnieć, iż wytworzenie się tak określonej odrębnej kategorii, traktowanej niekiedy jako klasa lub warstwa społeczna, jest znamienne dla krajów Europy Wschodniej, o nierozwiniętej gospodarce kapitalistycznej. Na zachodzie Europy, wraz z rozwojem kapitalizmu i eliminacją tendencji feudalnych, nowymi kategoriami społecznymi stawało się mieszczaństwo i burżuazja kreujące nowoczesne społeczeństwo XIX w.

W polskiej literaturze naukowej i publicystyce pojęcie inteligencji w socjologicznym rozumieniu (początkowo funkcjonowało ono jedynie w psychologii na oznaczenie sprawności umysłu) pojawiło się w połowie XIX w., a sformułował je Karol Libelt w 1844 r. Traktował on inteligencję jako zbiorowość ludzi mądrych i wykształconych, zaś przywódczą rolę w społeczeństwie jako podstawową jej funkcję¹. Pomijam tu różne sposoby definiowania inteligencji na przestrzeni XX w. (St. Brzozowski, R. Dmowski, Z. Dębicki, S. Żeromski, A. Hertz, Z. Łepicki, J. Chałasiński, S. Kieniewicz, J. Szczepański), jednakże warto pamiętać, iż ujęć tego pojęcia było i jest wiele. Osobiście najbliższe jest mi rozumienie przyjęte przez Jana Szczepańskiego, który definiował inteligencję jako *zbiór różnych kategorii zawodowych zajmujących się twórczością kulturową, organizowaniem pracy i współlżycia zbiorowego oraz wykonywaniem prac wymagających wiedzy teoretycznej*².

W takim ujęciu jest to zbiorowość o określonym miejscu w podziale pracy, składająca się z trzech podstawowych kategorii socjologicznych: twórców wszelkiego rodzaju (np. w nauce, literaturze, sztuce); organizatorów i kierowników; oraz ekspertów, czyli tych wszystkich, którzy wykorzystują w swojej aktywności zawodowej wiedzę specjalistyczną na najwyższym poziomie. Takie rozumienie inteligencji pozwala w sposób względnie precyzyjny odróżnić ją od innych zbiorowości, klas czy warstw społecznych, np. robotników czy chłopów, a także pracowników umysłowych wykonujących prace nie wymagające wysokich specjalistycznych kwalifikacji. Ponadto umożliwia ono względnie precyzyjne ustalenie liczebności inteligencji.

Łódzka odrębność

Badania dotyczące wczesnych stadiów powstawania łódzkiej inteligencji czekają dopiero na bardziej pogłębione opracowania. Prace dotyczące pośrednio tej problematyki są nieliczne i pozwalają co najwyżej na sformułowanie pewnych hipotez. Jak wiadomo rozwój Łodzi jako ośrodka przemysłowego przypada na okres pozbawienia niepodległości. Był rezultatem kolonizacji niemieckiej, co wpłynęło istotnie nie tylko na formowanie się struktury narodowościowej miasta, lecz także oblicza łódzkiej inteligencji³. Przy dominacji ekonomicznej kapitału niemieckiego i żydowskiego ludność polska stanowiła głównie siłę najemną o niskich kwalifikacjach.

Początki łódzkiej inteligencji musiały więc mieć swoistą specyfikę. Przede wszystkim nie wiązały się — tak jak w innych większych miastach, a głównie w Warszawie — z rozpadem folwarku i napływem do miast ludności o genealogii szlachecko-ziemiańskiej, bo inteligencja łódzka wywodziła się ze sfer mieszczańsko-przemysłowych. Warto też wspomnieć, iż w kręgu osób, które pod koniec XIX w. tworzyły w Łodzi polską prasę jak: W. Piątkowski, Wiślocki, M. Szeliga, J. Złasnowska, znajdują się nazwiska H. Elzenberga, wywodzącego się ze zasymilowanej, katolickiej rodziny żydowskiej, czy też S. Kossutha⁴ o austriacko-węgierskim rodowodzie, nie mówiąc już o polonizujących się czy spolonizowanych rodzinach niemieckich, jak np. rodziny Geyerów czy Kindermanów. To kolejny, swoisty rys łódzkiej inteligencji. Dalej, warto podkreślić, iż znaczące miejsce w formowaniu się inteligencji tego miasta odegrali przybysze. Ten rys znamieny dotyczy nie tylko początków jej formowania się w końcu XIX w. (H. Elzenberg i S. Kossuth), lecz i początków lat międzywojennych, by wymienić chociażby postać dr. S. Kopcińskiego, lekarza i działacza oświatowego z okresu przed odzyskaniem niepodległości — kierownika Wydziału Kultury i Oświaty Magistratu Łódzkiego⁵.

Także przybysze odegrali szczególną rolę w rozwoju kultury, oświaty i szkolnictwa wyższego w Łodzi po 1945 r.

Co badaliśmy

Jak już wspomniałem, początki formowania się łódzkiej inteligencji, jak też okres lat międzywojennych, czekają jeszcze na bardziej wnikliwe opracowanie. Stosunkowo lepiej znany jest okres po II wojnie światowej dzięki badaniom realizowanym przez łódzki ośrodek socjologiczny, początkowo pod kierunkim J. Szczepańskiego, później zaś jego uczniów⁶.

Ostatnie badania łódzkiej inteligencji — stanowiące podstawę niniejszego szkicu — zrealizowane zostały w 1987 r. na losowej próbie około 300 osób z wyższym wykształceniem⁷. **Zasadniczym ich celem była świadomościowa charakterystyka inteligencji jako wyodrębnionej kategorii struktury społecznej mieszkańców Łodzi.** Co do szczegółowych wymiarów owej świadomości, to ograniczone zostały one do następujących kwestii:

- * Globalne wizje podziałów społecznych w Polsce i w Łodzi, będące podstawą do weryfikacji hipotezy o utrzymywaniu się w potocznej świadomości kategorii strukturalnej inteligencji. Wiele dyskusji, także publicystycznych, sugerowało bowiem jej zanik i przekształcenie w kategorię specjalistów.

- * Jak na tle dawnej inteligencji — czy raczej jej stereotypu — rysują swój „autoportret” współcześni inteligenci wykształceni w warunkach PRL. Wiele bowiem zrobiono w procesie kształcenia i propagandzie lat powojennych, by obraz czy mit inteligencji polskiej ukazać w ciemnych jedynie barwach, jako warstwy związanej z systemem burżuazyjnego państwa.

- * Kierunki identyfikacji grupowych osób z wyższym wykształceniem uzyskanym po roku 1945.

- * Jak wykształceni po wojnie inteligenci postrzegają swoje miejsce w strukturze społecznej, zarówno od strony stojących przed nimi zadań (funkcji społecznej grupy osób wykształconych), jak też w zakresie ogólnej oceny swej pozycji w społeczeństwie, w jego układzie stratyfikacyjnym.

- * Orientacja badanych inteligentów w kulturze — jako tradycyjny wyróżnik tej warstwy w społeczeństwie, oraz w perspektywie dokonujących się przemian lat 80. — ich stosunek do „realnego socjalizmu”.

Położenie społeczne

Najpierw trochę danych o obiektywnych cechach położenia społecznego łódzkiej inteligencji. Dokumentują one tezę o zasadniczej zmianie, jaka dokonała się w tej warstwie w powojennej Polsce, a także w Łodzi. Pod koniec międzywojennego 20-lecia było w Polsce około 300000 inteligentów⁸, gdy pod koniec lat 80. powyżej 2 mln z samym tylko wyższym wykształceniem. W Łodzi w końcu lat 80. w danych spisu powszechnego znajdowało się 71647 osób z wyższym wykształceniem⁹. W roku

prrowadzenia badań — 1987, szacowana liczebność łódzkiej inteligencji nie przekraczała 71500 osób.

W końcu lat 80. dominowała inteligencja w pierwszym pokoleniu, wywodząca się z rodzin robotniczych (35%), chłopskich (6,9%) oraz rzemieślniczych (4,4%). W blisko jednej trzeciej inteligencja pochodziła z rodzin urzędniczych (18,9%) lub urzędniczo-inteligenckich (15%). Z rodzin typowo inteligenckich (obydwoje rodzice zawody inteligenckie czy wyższe studia) wywodził się zaledwie nieco więcej niż co dziesiąty inteligent (11,2%). U 5% badanych brak dokładnych danych o zawodach i wykształceniu rodziców¹⁰.

W składzie zawodowym powojennej inteligencji w Łodzi dominującą kategorię zawodową stanowili inżynierowie (34,3%) oraz absolwenci uniwersyteckich kierunków ścisłych — fizyki, chemii, biologii (12,9%). Dalej lokują się humaniści (17,9%), ekonomiści (16,1%), lekarze (12,2%) oraz prawnicy (6,6%). Generalnie więc jest to inteligencja techniczno-ekonomiczna. Natomiast humanistyczno-społeczna stanowi niespełna czwartą część jej ogółu. Proporcje te były zupełnie inne w latach międzywojennych, kiedy to wśród ogółu osób z wyższym wykształceniem w Polsce 62% posiadało wykształcenie prawno-ekonomiczno-filozoficzne, pozostałe zaś 38% stanowiły osoby o wykształceniu inżyniersko-technicznym¹¹. W strukturze zawodowej miast przemysłowych, a więc i Łodzi, wyższy był zapewne odsetek kategorii inżyniersko-technicznych.

Powojenni inteligenci relatywnie częściej niż w pozostałych klasach i warstwach społecznych byli członkami PZPR (26,2%). Trzecia część badanych (32,2%) w 1987 r. deklarowała też swą przynależność do „Solidarności”. W latach 1980-81 należało zapewne więcej — jednakże jak wskazywały różne badania — wraz z upływem lat deklaracje owej przynależności stawały się rzadsze¹².

Autoportret

Przejdźmy do przeglądu podstawowych wyników dotyczących samoświadomości współczesnej łódzkiej inteligencji. Rozpocznijmy od swoistej autocharakterystyki na tle inteligencji dawnej, a więc od jej „autoportretu” w historycznej perspektywie. Podstawę materiałową stanowiły tu wolne wypowiedzi na temat najbardziej charakterystycznych cech inteligencji dawnej i współczesnej. W obu wypadkach mamy do czynienia ze swoistymi stereotypami. **Dawną inteligencję**, zdaniem badanych, charakteryzowała przede wszystkim szeroka wiedza ogólna (35,7% wskazań), niezła sytuacja materialna (29,4%), wysoki prestiż społeczny (26,9), duża kultura osobista (23,4%), wysokie morale (14%) oraz znaczny poziom wiedzy zawodowej (10,5%). Mała liczebność sprawiała, iż stanowiła ona grupę elitarną (27,6%). Obraz międzywojennej inteligencji, dla zdecydowanej większości badanych (74,1%), rysuje się



fot. Piotr Zdrzyński

więc jako wielce korzystny. Na tym tle „autoportret” własny jest bardzo krytyczny. Inteligencja postrzegana jest przede wszystkim jako warstwa o niskim poziomie wiedzy ogólnej (29,4%) oraz złej sytuacji materialnej (28,7%). Dalej jawi się jako grupa duża liczebnie (28,0%), jednakże o niskim społecznym prestiżu (26,2%). Wskazywano też na drastyczne niekiedy obniżenie jej poziomu kultury osobistej (21,0%) i słabe zaangażowanie w sprawy publiczne (15,4%). Od strony wiedzy zawodowej podkreślano wąskospecjalistyczne jej przygotowanie (13,6%). Wreszcie niewielka, lecz znacząca część badanych podnosiła kwestię niskiego morale powojennej inteligencji (12,9%).

Ten krytyczny „autoportret” to nie tylko rezultat tendencji idealizacyjnych przeszłości, lecz także surowe kryteria zaliczania do inteligencji, co można było stwierdzić w zebranych materiałach. Np. kryteria formalne związane z wykształceniem były oczywiście podnoszone (39,25), lecz silniej akcentowano szczególne cechy osobowości (48,6%), a wśród nich: wysoki poziom intelektualny (26,2%), inteligencję w psychologicznym znaczeniu (16,1%) oraz kulturę osobistą (10,8%). Nie bez znaczenia dla tak zarysowanego „autoportretu” pozostawał też stosunek władz wobec inteligencji, oscylujący od jawnej dyskryminacji przez całe niemal pierwsze powojenne dziesięciolecie czy też w marcu 1968 r., do niezbyt silnego i werbalnego na ogół eksponowania jej znaczenia do połowy lat 70.

Identyfikacja

Przejdźmy teraz do kierunków identyfikacji powojennej łódzkiej inteligencji na tle własnych wizji podziałów społecznych w Polsce. Przede wszystkim stwierdzić trzeba, iż przez znakomitą większość badanych (88,8%) inteligencja postrzegana jest jako wyraźny człon struktury naszego społeczeństwa, bez względu na kierunek wykształcenia (zawód wyuczony) badanych. Pewien wpływ można było dostrzec w podziałach generacyjnych oraz pochodzeniu klasowym. Starsi wiekiem oraz wywodzący się z rodzin inteligenckich lub urzędniczych tylko trochę częściej od pozostałych wyróżnili inteligencję jako człon struktury społecznej. Identyfikacja z inteligencją jako strukturalną całością dotyczyła niespełna połowy badanych (45,1%). Pozostali kierowali się w stronę grup zawodowych, dochodowych czy też wyróżnianych ze względu na poziom wykształcenia. **Silniejszą tendencję do traktowania inteligencji jako własnej grupy odniesienia daje się zauważyć w najstarszej kategorii wiekowej (urodzonych przed rokiem 1946) oraz wywodzących się z rodzin inteligenckich bądź urzędniczych.** Tym razem jednak zawód wyuczony (typ wykształcenia) powoduje wyraźne różnice w kierunkach identyfikacji. Znacznie silniejsze identyfikacje z inteligencją jako całością można było stwierdzić wśród tych, których zawód wyuczony w sposób bardziej wyraźny lokował w tradycyjnych inteligenckich zawodach, a więc wśród lekarzy (62,9% identyfikujących się z inteligencją) i humanistów (54,9%). Ponadto ich zawody wykonywane (lekarz, nauczyciel, pracownik nauki) były zawodami o wyższym relatywnie prestiżu. Widać to wyraźnie w najliczniejszej kategorii zawodowej inżynierów (ogólnie 43,9% identyfikuje się z inteligencją), spośród których zatrudnieni w przemyśle (54,1%) wykazują zdecydowanie słabszą identyfikację z inteligencją (29,3%) niż ich koledzy zatrudnieni w biurach konstrukcyjnych, nauce lub w zawodzie nauczycielskim (identyfikacje w tych grupach kształtowały się od 49,7% do 57,3%). Poniżej przeciętnej dla ogółu badanych lokują się pod tym względem ekonomiści (39,1%) i prawnicy (36,8%), wykonujący też najczęściej zawody urzędnicze (pierwsi w 65,2%, drudzy w 68,4%). Osoby z wykształceniem matematyczno-przyrodniczym wykazywały relatywnie najniższy poziom globalnej identyfikacji z inteligencją (29,7%). Ten kierunek wykształcenia lokował głównie w zawodach techniczno-laboratoryjnych (od ok. 52% do ok. 66%).

Ujawnione tu na poziomie związków statystycznych mechanizmy identyfikacji nie wyczerpują oczywiście innych możliwości interpretacji takiego stanu rzeczy, przede wszystkim w jego warstwie psychologicznej. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na makrospołeczną sytuację inteligencji w całym nieomal powojennym okresie, nie sprzyjającą identyfikacji z warstwą permanentnie niedowartościowywaną społecznie, ekonomicznie i politycznie, nie mówiąc już o okresach jej pełnej dyskryminacji. Można w tych interpretacjach odwołać się także do wysokich kryteriów zaliczania do inteligencji, związanych z oczekiwaniami dotyczącymi standardów, jakie powinna ona spełniać.

Miejsce w społeczeństwie

Zobaczmy teraz jak postrzegała współczesna łódzka inteligencja swe miejsce w społeczeństwie. Analiza tego problemu potraktowana będzie dwójako. Z jednej strony bowiem chodzi o postrzeganie i realizowanie przez inteligencję określonych funkcji w społeczeństwie, z drugiej zaś o postrzeganie swego miejsca w strukturze stratyfikacyjnej społeczeństwa.

Rozpocznijmy od problemów funkcji. **Znakomita większość badanych (79,9%) opowiedziała się za szerokimi funkcjami inteligencji w społeczeństwie, nie pozwalającymi ograniczyć się do zadań czysto profesjonalnych.** Niewielka zaledwie część (5,9%) reprezentowała pogląd o czysto zawodowych jej funkcjach. W zasadzie podobnie było wśród osób w różnych grupach wiekowych czy o różnym pochodzeniu klasowym, natomiast zawód wyuczony różnicował poglądy na ten temat. Nieco rzadziej bowiem za szerokimi funkcjami inteligencji opowiadali się inżynierowie (70,4%) oraz prawnicy (73,4%). W pozostałych kategoriach zawodowych odsetek ten przekraczał 83% (od ok. 83% wśród medyków do ok. 87% wśród humanistów, ekonomistów i przedstawicieli nauk matematyczno-przyrodniczych).

Jakie funkcje przewidywali badani dla inteligencji? Przeszło połowa (54,1%) wskazywała ogólnie na funkcje przewodnie w społeczeństwie. Większość określała też bliżej płaszczyzny owego przywództwa. Były to najczęściej sfery kultury i postępu technicznego, najrzadziej zaś sfery gospodarki i polityki. Taki rozkład wynikał wyraźnie z realnych doświadczeń funkcjonowania systemu. Przeszło 1/4 badanych (27,9%) wskazywała na funkcje wzorotwórcze, a blisko 1/5 (19,5%) na upowszechnienie kultury i wiedzy. Dalsze pozycje zajęły funkcje wychowawcze (14,6%) i kulturotwórcze (13,9%), wreszcie niewielka część badanych (6,9%) wskazywała na funkcje opiniotwórcze, tradycyjnie zaliczane do szczególnie istotnych zadań inteligencji. I w tym wypadku wiek badanych nie różnicował w zasadzie poglądów na ten temat. W pewnym zakresie zależały one od zawodu wyuczonego, natomiast wyraźnie uwidoczniło się znaczenie pochodzenia klasowego. Tak więc funkcje przewodnie silniej niż przeciętna dla ogółu eksponowali medycy (60%) i przedstawiciele zawodów matematyczno-przyrodniczych, funkcje wzorotwórcze także medycy (37,1%). Upowszechnianie kultury i wiedzy częściej od pozostałych podkreślali ekonomiści (34,7%), natomiast funkcje wychowawcze blisko dwukrotnie częściej niż ogół badanych eksponowali humaniści (27,4%). Całkiem też wyraźne różnice uwidoczniły się przy zastosowaniu zmiennej pochodzenia klasowego. Inteligenci w kolejnych pokoleniach blisko dwukrotnie częściej od pozostałych wskazywali na funkcje opiniotwórcze (12,5%) oraz kulturotwórcze (25%). Inteligenci w pierwszym pokoleniu — dominujący w całej populacji — wszystkie w zasadzie funkcje wyróżniali na poziomie nieco niższym od przeciętnej dla ogółu.

W tym kontekście interesował nas też problem związany z realizacją owych postrzeganych funkcji. Przeszło 1/5 badanych (21,7%) przyznała się, że nie reali-

zuje żadnej z nich. Deklaracje pozytywne charakteryzowały ponad połowę badanych (55,2%). Odsetek przyznających się do realizacji konkretnych funkcji jest oczywiście niższy niż tych, którzy je postulują. Dotyczy to wszystkich wyróżnionych funkcji, a w przypadku niektórych jest szczególnie wyraźne. Wskaźnik ten jest przeszło czterokrotnie niższy dla funkcji przewodnich (12,2%), blisko trzykrotnie dla kulturotwórczych (4,8%) i przeszło dwukrotnie niższy dla opiniotwórczych (3,2%). Można przypuszczać, że przede wszystkim w tych trzech płaszczyznach ujawnia się szczególnie słabe przekonanie o możliwości wpływu powojennej inteligencji. Funkcje przewodnie np. w sferze gospodarki czy polityki, o ile nie wynikały z panującej doktryny, nie miały jakichkolwiek możliwości realizacji czy chociażby formułowania ich jako programu. W innych dziedzinach, kulturotwórczej czy opiniotwórczej, możliwości te ograniczone były poprzez całkowitą nieomal kontrolę wydawnictw czy też przekazywanych treści w scentralizowanych państwowych środkach przekazu.

Drugim aspektem postrzegania swego miejsca w społeczeństwie jest samoocena pozycji społecznej. **Jak wykazują różne badania, oceny własnej pozycji przez inteligencję są nieomal z reguły wyższe niż w innych grupach społeczno-zawodowych.** Znaczenie poziomu wykształcenia jest tu zasadnicze, gdy w innych grupach społecznych istotniejsza pozostaje kwestia dochodów. U inteligencji z wyższym wykształceniem dochód pojawił się w uzasadnieniach niskiej pozycji. W wypadku wysokiej oceny uzasadnienia inteligentów kierowały się w stronę poziomu wykształcenia, kwalifikacji i prestiżu zawodu. Wśród badanych przez nas w 1987 r. inteligentów oceny własnej pozycji były następujące: 4,9% oceniło ją jako wysoką, 36,7 jako raczej wysoką, 29,1% jako raczej niską i prawie co dziesiąty jako zdecydowanie niską (9,4%). Pozostali bądź to nie zdecydowali się na określenie swego miejsca w zaproponowanej im skali (11,5%), bądź też określili je używając własnych pojęć (z reguły jako pozycję przeciętną lub średnią — 8,4%). Wśród badanych przeważały więc (46,9%) samooceny niskie bądź przeciętne (połączenie ich umożliwiała podobieństwo uzasadnień). Nieco mniej badanych (41,6%) określało swą pozycję jako wysoką bądź raczej wysoką. Warto w tym miejscu wspomnieć, iż wraz z upływem lat w kolejnych badaniach nad łódzką inteligencją odsetek oceniających swoją pozycję jako wysoką zdecydowanie się zmniejszał; np. w 1976 r. oceniało swą pozycję jako wysoką 71,5% badanych, w 1980 r. — 59,6%, a w 1987 r. — 41,6%¹³. Oceny niskie w tych latach kształtowały się odpowiednio na poziomie 28,5%, 22,6% i 38,5%. Ujawnił się zdecydowanie wyraźny związek oceny własnej pozycji z dochodami. W trzech przedziałach dochodów badanych: poniżej przeciętnej, w granicach przeciętnej i powyżej niej samooceny niskie wybrało: 61,3% w przedziale najniżej zarabiających, 45% w przedziale w granicach przeciętnej i 34,9% w przedziale najwyżej zarabiających. Oceny wysokie deklarowało: 55,8% w przedziale najwyższych dochodów, 43% przy dochodach przeciętnych i 27,4% wśród najniżej zarabiających. Sytuacja materialna inteligencji pod koniec

lat 80. wyraźnie więc rzutowała na ocenę własnej pozycji w społeczeństwie. W badaniach wcześniejszych związek ten nie był aż tak jednoznaczny.

Inne stosowane tu zmienne (wiek, zawód, pochodzenie klasowe) także w sposób dość wyraźny wpływały na samoocenę pozycji. Niskie i przeciętne samooceny znamienne były dla najstarszych i najmłodszych, obejmując nieco więcej niż połowę tych kategorii wiekowych. Przewaga wysokich ocen występowała w kategoriach zawodowych ekonomistów (52,2%), lekarzy (48,6%) oraz inżynierów (44,9%). W każdej z nich inne czynniki miały na to wpływ. Ekonomistów, oprócz najwyższych dochodów charakteryzowało również to, że częściej od innych pełnili funkcje kierownicze dające większe poczucie wpływów. Lekarze pod względem dochodów lokowali się wprawdzie na trzeciej pozycji, reprezentowali jednak prestiżowy zawód tradycyjnie inteligencki, co podkreślali wyraźnie w uzasadnieniach wyboru swej pozycji. Inżynierów charakteryzowały względnie wysokie dochody, lokujące ich na drugiej pozycji, pełnili też, choć rzadziej od ekonomistów, funkcje kierownicze. Kategorie zawodowe, w których przeważały niskie oceny pozycji, to przede wszystkim humaniści, prawnicy oraz osoby o wykształceniu matematyczno-przyrodniczym (odpowiednio: 57,7%, 52,6%, 45,9%). Dochody tych trzech kategorii kształtowały się poniżej przeciętnej, niekiedy blisko o 1/4 niżej, jak w przypadku osób o wykształceniu matematyczno-przyrodniczym. Zarówno wśród inteligentów w pierwszym pokoleniu, jak i tych o inteligenckich rodowodach przeważały samooceny niskie. Można przypuszczać, iż tłem tej samooceny pozostawały nie tylko sprawy materialne, lecz również opinie badanych o inteligencji lat międzywojennych jako grupie względnie dobrze sytuowanej materialnie.

Miłosz i inni

Zobaczmy wreszcie, jak wyglądała orientacja łódzkich inteligentów w kulturze symbolicznej. **W naszym przypadku orientację w kulturze traktujemy jako jeden z istotnych aspektów świadomościowej charakterystyki powojennej inteligencji.** Sposób badania polegał na zastosowaniu trzech „testów” znajomości wybranych twórców. W pierwszym chodziło o wskazanie dzieł wymienionych autorów, w drugim o wskazanie reprezentowanych przez nich dziedzin twórczości, w trzecim zaś o wskazanie nazwisk kompozytorów w oparciu o nazwy kilku utworów muzycznych. Metoda ta wykluczała deklaratywną jedynie znajomość twórców, umożliwiając określenie stopnia kompetencji badanych w odniesieniu do różnych dziedzin twórczości. Na podstawie wiedzy o poszczególnych twórcach wyróżniono dwa rodzaje orientacji w kulturze. „Przeciętną” — wyznaczoną w zasadzie przez znajomość nazwisk z lektur i podręczników szkolnych stopnia maturalnego¹⁴ oraz „elitarną”, wymagającą własnej inicjatywy czy szerszych zainteresowań jeśli chodzi o znajomość dorobku tych twórców¹⁵.

Generalnie rzecz biorąc, orientację „przeciętną”, z nielicznymi wyjątkami, wykazali nieomal wszyscy badani (97,3%), choć na różnym poziomie. W sposób oczywisty humaniści wykazali się tu względnie najwyższym poziomem kompetencji, jednak z wyjątkiem twórczości E. Hemingwaya, Moliера, K. Szymanowskiego oraz L. van Beethovena, gdyż tu nieco większą znajomość ujawnili lekarze, absolwenci kierunków matematyczno-przyrodniczych oraz ekonomiści. Osoby inteligentkiego pochodzenia wyraźnie dominowały nad pozostałymi, szczególnie nad inteligentami w pierwszym pokoleniu, przede wszystkim w odniesieniu do takich twórców, jak: S. I. Witkiewicz (w stosunku do inteligentów w pierwszym pokoleniu przewaga ta wynosiła 47,5%), A. Camus (przewaga 36,7%), J. S. Bach (31,6%), W. Gombrowicz oraz S. Lem (28,4%) i T. Różewicz (28,3%). Największe podobieństwa dotyczyły S. Mrożka (ok. 50% każdej kategorii pochodzenia społecznego). W kategoriach zawodu wykonywanego ten poziom orientacji lokował najwyżej pracowników nauki, nauczyciele zaś sytuowali się między urzędnikami a inżynierami praktykami.

W zakresie „elitarniej” orientacji w kulturze, to znaczy orientacji przekraczającej szkolne standardy, pewna część badanych (16,2%) nie osiągnęła nawet jej dolnego progu. Była to: 1/4 inżynierów, 1/5 lekarzy oraz absolwentów kierunków matematyczno-przyrodniczych i blisko 1/5 inteligentów pierwszej generacji. Niski poziom tej orientacji, wyznaczony znajomością 1-5 twórców, wykazało blisko 3/5 badanych (58,7%). Najczęściej znajomość ta dotyczyła: J. Grotowskiego, W. Szukszyna, W. Strzemińskiego, Cz. Miłosza, J. L. Godarda i I. Strawieńskiego. Poziom wyższy orientacji „elitarniej” wyznaczony został znajomością co najmniej sześciu z czternastu twórców. Ten poziom osiągnęła 1/4 (25,1%) populacji. Przypatrzmy się więc bliżej tej części badanych. Szczególnie wyraźne są tu różnice związane z pochodzeniem klasowym. O ile ten poziom orientacji osiągnęło 40,5% inteligentów rodowodowych, to zaledwie 13,2% inteligencji w pierwszym pokoleniu. Wyraźne różnice środowiskowe uwidaczniały się w przypadku takich twórców, jak: J. L. Borges (różnica procentowa wynosi tu 35,8%), A. Schönberg (różnica 23,6%) oraz I. Strawieński (23,5%), a także C. Debussy (19,6%) i R. Musil (18,4%). W kategoriach zawodu wyuczonego humaniści utrzymują wprawdzie swą wysoką pozycję, lecz w przypadku takich twórców jak K. Malewicz, J. L. Borges dzielą ją z prawnikami, a w przypadku M. Janscо, E. Ionesco, I. Strawieńskiego czy C. Debussy'ego są bliscy innym kategoriom zawodowym. Bardzo wyraźne różnice ujawniają się na tym poziomie orientacji przy wprowadzeniu zmiennej zawodu wykonywanego. Podobnie jak w przypadku orientacji „przeciętnej”, najwyżej lokują się pracownicy nauki, którzy w odniesieniu do większości wymienionych twórców wykazali się najwyższą kompetencją. Drugie lokaty najczęściej zajmowali nauczyciele i lekarze praktycy, a urzędnicy i inżynierowie z reguły ostatnie.

Tak więc wśród czynników warunkujących „elitarną” orientację w kulturze wymienić trzeba przede wszystkim inteligentkie pochodzenie i charakter pracy związany z działalnością naukową. W pewnym stopniu decydował również kierunek posiadanej wykształcenia.

Realny socjalizm

Ostatnią kwestią w tej jakościowej charakterystyce łódzkiej inteligencji jest jej stosunek do „realnego socjalizmu” końca lat 80. Problem ten jest szczególnie złożony i wymagający wielorakich informacji stanowiących podstawy do jego interpretacji. Według przyjętej tu koncepcji, wymiary informacyjne sprowadzone zostały do: wartości uznawanych przez respondentów, dotyczących ideałów porządku społecznego w sferze organizacji politycznej, postaw wobec bieżącej sytuacji ekonomiczno-społeczno-politycznej oraz strategii zachowania badanych dotyczących sfery politycznej. **Zadaniem informatorów było wyrażenie swego stosunku wobec szeregu stwierdzeń dotyczących kwestii politycznych, gospodarczych i światopoglądowych, przy pomocy zasugerowanej skali.** W zależności od stopnia aprobaty lub opozycyjności wobec tych stwierdzeń zbudowano typologię stosunku wobec systemu socjalistycznego od pełnej jego akceptacji do całkowitego odrzucenia czy opozycyjności¹⁶. Różne postacie **akceptacji** systemu „realnego socjalizmu” charakteryzowały blisko 1/5 badanych inteligentów (19,9%). *Pełną aprobatę*, a więc akceptację założeń wraz z ich realizacją wykazywało zaledwie 2,8%, *akceptację realistyczną*, związaną np. z postawą braku akceptacji dla realizacji założeń systemu przy braku możliwości wpływu na kierunek zmian, można było uchwycić wśród 4,5% badanych zaś *akceptację oportunistyczną* wśród 12,6% odpowiadających. Zdecydowanie najliczniej — w roku 1987 — reprezentowany był stosunek **niezdecydowania** lub **chwiejności**. Wykazywało go około 3/5 ogółu (59,5%). Wewnętrznie był on również wielce zróżnicowany. *Bierna aprobatą* charakteryzowała 2,8% badanych, *niezdecydowane odrzucenie* 24,8% zaś *bierna kontestacja* występowała tu relatywnie najczęściej, gdyż w 32,8%. Wreszcie stosunek **opozycji** czy też odrzucenia zarówno zasad, jak ich realizacji można było stwierdzić wśród 1/5 inteligentów (20,8%). *Pełna opozycyjność* (determinacja) dotyczyła 16,5% populacji, *opozycyjność chwiejna* 4,3%¹⁷. Taki rezultat zbliżony był do wyników uzyskanych w badaniach ogólnopolskich¹⁸.

Szczególnie wyraźne różnice w stosunku do „realnego socjalizmu” można było stwierdzić, odnosząc różne jego postaci do płci badanych, przynależności do PZPR, wykonywanego zawodu oraz ich społecznego pochodzenia. I tak: stosunek opozycji był bardziej znamieny dla mężczyzn (27,2%) niż kobiet (14,7%), przy zbliżonych odsetkach akceptacji (po ok. 20%). Wśród członków PZPR — czego można było oczekiwać — stopień tej akceptacji był najwyższy (48,0%), przy relatywnie najniższej opozycyjności (6,7%). Wśród bezpartyjnych inteligentów proporcje te były w zasadzie odwrotne (odpowiednio 10,1% i 25,9%). Przyjmując za podstawę zawód wyuczony (rodzaj ukończonych studiów) mamy tu do czynienia z następującą sytuacją: Otóż żaden z lekarzy nie reprezentował stosunku akceptacji systemu przy najsilniej występującej w tej kategorii zawodowej opozycyjności (37,3%). Najczęściej ze stosunkiem akceptacji systemu można się było spotkać wśród ekonomistów i prawników (po ok. 26%) przy najniższej zarazem opozycyjności (po ok. 10%). Biorąc wreszcie pod uwagę pochodzenie klasowe ba-

danych, inteligentów w pierwszym pokoleniu charakteryzował nieco wyższy niż przeciętna dla ogółu stopień akceptacji systemu (24,0%) przy niższym od przeciętnej stopniu opozycyjności (16,5%). Wśród badanych o inteligenckim rodowodzie znamieny był przede wszystkim stosunek niezdecydowania (68,8%) — najwyższy w całej populacji — przy względnie wysokim stosunku opozycyjności (28,1%). Tak więc pod koniec lat 80. skrajne stanowiska wobec systemu — w równych w zasadzie proporcjach — charakteryzowały 2/5 łódzkich inteligentów. W przypadku akceptacji dominował wszakże wariant akceptacji oportunistycznej, w przypadku opozycyjności — względna determinacja.

Otwarta przyszłość

Nie dysponując wieloma danymi dotyczącymi ilościowego stanu inteligencji łódzkiej z końca lat międzywojennych można jednak stwierdzić, że jej ilościowy wzrost po 1945 r. — podobnie jak w całej Polsce — był znaczny. W stosunku jednak do innych wielkich miast, pod względem liczebności osób z wyższym wykształceniem Łódź zajmuje odległą — osiemną — lokatę (10,3%), za Rzeszowem, Opolem, Lublinem czy Olsztynem, nie mówiąc już o Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy Wrocławiu¹⁹. Również podobnie jak w całym kraju jest to w podstawowej swej części inteligencja w pierwszym pokoleniu, a pod względem kierunku wykształcenia dominują inżyniero-



fot. Piotr Zdrzyński

wie oraz absolwenci nauk ścisłych. Humanisci i prawnicy stanowią niespełna czwartą jej część. Jeśli chodzi o świadomościową charakterystykę tej inteligencji to warto tutaj podać, że na tle dawnej (międzywojennej inteligencji) postrzega ona swój wizerunek niezmiernie krytycznie. W jej poglądach na temat podziałów społecznych, jak i postulowanych funkcji jakie powinna spełniać w społeczeństwie, jest ona bardzo tradycyjna. W podziałach społecznych zdecydowanie wyróżnia inteligencję jako człon struktury społecznej, opowiadając się zarazem za szerokimi jej funkcjami w społeczeństwie, nie dającymi się ograniczyć do zadań czysto profesjonalnych, w którym to kierunku zmierzała oficjalna indoktrynacja. Stopień identyfikacji inteligencji z wyróżnianą przez nich warstwą dotyczył jednak niespełna połowy badanych. Afiliacje grupowe pozostałych kierowano często w stronę grup zawodowych, dochodowych czy wykształcenia. Oceny własnej pozycji ukazują silne poczucie deprywacji inteligentów, tak ze względów ekonomicznych, jak i ograniczonych możliwości działania. Jeśli chodzi o jej orientację w kulturze, to zaledwie piąta część inteligencji wykazała się kompetencją na wyższym poziomie, wykraczającą poza szkolne standardy. Taki rezultat pozostaje w wyraźnej sprzeczności z kryteriami stosowanymi przez tych samych ludzi, jeśli chodzi o zaliczanie do inteligencji. Wreszcie, co do stosunku tych inteligentów wobec „realnego socjalizmu”, pod koniec lat 80. można było stwierdzić, iż przejawiali oni niski raczej stopień jego akceptacji, związany najczęściej ze swoistym realizmem i oportuniizmem. Większość wykazywała chwiejność i wyczekiwanie, zaś blisko 1/5 różny stopień opozycyjności²⁰.

W jakim kierunku przebiegać będzie proces przekształceń inteligencji w trakcie i po transformacji systemu w Polsce — pozostaje kwestią otwartą. Według pewnych koncepcji teoretycznych ujęć, przy zachowaniu w strukturze społecznej tej warstwy społecznej będą następowały wielorakie równoległe procesy²¹. Między innymi będzie to tworzenie się klasy średniej, składającej się również z pewnych tradycyjnych inteligentkich kategorii zawodowych (np. inżynierów, ekonomistów, prawników czy lekarzy). Nie nastąpi to jednak zbyt szybko, gdyż długi będzie proces formowania się gospodarki rynkowej w Polsce²². Ona zdecyduje ostatecznie o kształcie przyszłej struktury społecznej w naszym społeczeństwie.

PRZYPISY

¹ K. Libelt, *O miłości ojczyzny* [w:] „Rok pod względem oświaty, przemysłu, wypadków czasowych”, Poznań 1844, z. 1.

² J. Szczepański, *Struktura inteligencji w Polsce* [w:] „Kultura i Społeczeństwo” nr 1-2, 1960.

³ Pracami zasługującymi na szczególne zainteresowanie badaczy zajmujących się początkami inteligencji łódzkiej na przełomie XIX i XX w. są: A. Kłoskowska, *Rozwój szkolnictwa w Łodzi a etapy społeczno-gospodarczego rozwoju tego miasta, Łódź 1948* (praca magisterska — maszynopis w Bibliotece Socjologicznej UŁ) oraz Z. Gostkowski, „*Dziennik Łódzki*” 1884-1892. *Studium nad powstawaniem polskiej opinii publicznej w wielonarodowościowym mieście fabrycznym*, Łódź 1950.

⁴ Z. Gostkowski, *op. cit.*, s. 17 i nast.

⁵ A. Borucki, *Męskie Gimnazjum Miejskie w Łodzi, a problem tworzenia się inteligencji w mieście przemysłowym* [w:] „Przegląd Socjologiczny” nr XVIII, s. 87.

⁶ Badania prowadzono od 1955 r. Ich wyniki publikowane były początkowo w wydawnictwie zbiorowym pod red. J. Szczepańskiego: *Z badań klasy robotniczej i inteligencji* (cz. I — Łódź 1959, cz. II — Łódź 1960) oraz szeregu prac monograficznych, autorskich, w tzw. „białej serii”, która ukazywała się do końca lat 60.

Badania dotyczące inteligencji wykształconej w latach międzywojennych podjęto w 1959 r. na przykładzie absolwentów z lat 1923-39 Miejskiego Gimnazjum Męskiego im. J. Piłsudskiego w Łodzi. Głównym problemem było ich funkcjonowanie społeczno-zawodowe w pierwszym 15-leciu PRL. Wyniki opublikowane w: A. Borucki, *Kariery zawodowe i postawy społeczne inteligencji PRL (1945-1959)*, Warszawa 1967.

⁷ Badania przeprowadzone pod moim kierunkiem w roku 1975/76 (wyniki opublikowane w pracy zbiorowej *Polska inteligencja współczesna*, IFiS PAN, Warszawa 1980); następne badania na próbie reprezentacyjnej łódzian (ok. 300 osób) w 1980 r. (wyniki opublikowane w raporcie z badań — tekst w Bibliotece Socjologicznej UŁ; artykuł z tych badań dotyczący etyki zawodowej inteligencji opublikowany [w:] „O ład moralny”, 1988 nr 3 oraz w 1987 r. stanowią podstawowy materiał niniejszego artykułu.

⁸ J. Żarnowski, *Struktura społeczna inteligencji w Polsce 1918-1939*, Warszawa 1964, s. 321.

⁹ *Narodowy Spis Powszechny z dnia 6.12.1988. Materiały i opracowania statystyczne. Ludność, warunki mieszkaniowe. Miasto Łódź*, Warszawa 1990, s. 1.

¹⁰ Wyniki z badań własnych.

¹¹ Dane według odsetka studentów różnych specjalności z roku 1936/37, podane przez J. Żarnowskiego, *op. cit.*, s. 157.

¹² Zobacz np.: E. Wnuk-Lipiński (red.), *Nierówności i upośledzenia w świadomości społecznej*, Warszawa 1987, s. 53.

¹³ Zobacz np.: M. Świącicka, *Samoocena pozycji społecznej inteligencji* [w:] *Polska inteligencja współczesna*, *op. cit.*, s. 85-87.

¹⁴ Orientację „przeciętną” określono na podstawie takich twórców jak (w nawiasach liczebności kompetentnych wskazań): D. Szostakowicz (89,6%), E. Hemingway (87,6%), W. Szekspir (84,2%), Molière (80,3%), F. Dostojewski (69,9%), J. Słowacki (69,1%), A. Camus (62,1%), K. Szymanowski (52,2%), L. van Beethoven (53,3%), J. Iwaszkiewicz (51,7%), S. Mrożek (50,2%), T. Mann (49,8%), A. Czechow (4,4%), J. Conrad (46,3%), W. Gombrowicz (41,3%), S. Lem (36,7%), J. S. Bach (29,4%), St. I. Witkiewicz (28,6%) oraz T. Różewicz (25,9%).

¹⁵ Orientację „elitarną” wyznaczyli następujący twórcy (w nawiasach liczebność kompetentnych w całej populacji): J. Grotowski (54,0%), W. Szukszyn (50,2%), W. Strzebiński (35,1%), Cz. Miłosz (29,3%), J. L. Borges (28,6%), J. L. Godard (26,6%), I. Strawiński (23,9%), M. Jancsó (20,8%), R. Musil (12,7%), E. Ionesco (10,8%), C. Debussy (9,6%), A. Schönberg (8,9%), K. Malewicz (8,5%) i J. Cage (3,5%).

¹⁶ Autorem tej koncepcji jest M. Ziolkowski, który przeprowadził badania ogólnopolskie na ten temat. Teoretyczną koncepcję tych badań oraz pewne wyniki zawarł w artykule *Stosunek jednostki do systemu. Model teoretyczny i próba jego operacjonalizacji*, [w:] „Kultura i Społeczeństwo”, 1987 nr 2. Po konsultacji z nim posłużyłem się jego schematem w nieco uproszczonej wersji.

¹⁷ Dla porównania podam, iż w jednym z nielicznych badań przeprowadzonych w 1959 r., dotyczących stosunku przedwojennych inteligentów łódzkich do zmian społecznych i ustrojowych w Polsce po 1945 r., uzyskano następujące wyniki: pozytywny stosunek do zmian — spośród 188 przebadanych osób — deklarowało 24%, stosunek niezdecydowania 48%, zaś stosunek negatywny 28%. Wyniki opublikowane w cytowanej w przypisie 6 pracy *Kariery zawodowe...*, rozdział IV.

¹⁸ Badania zrealizowano w 1984 r. na losowej próbie; dotyczyły świadomości wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Ogólny ich wynik: pełne poparcie i akceptacja — 4,4%, realizm — 13,1%, oportunizm — 7,3%, bierna aprobata — 11,6%, niezdecydowane wycofanie — 11,5%, bierna kontestacja — 25,8%,

niezdecydowane odrzucenie — 5,1% i pełna opozycja — 19,4%. Opublikowane w tekście cytowanym w przypisie 16.

¹⁹ Dane z opracowania W. Obraniaka *Struktura demograficzna ludności dużych i wielkich miast w Polsce* [w:] *Problemy demografii i zatrudnienia w Polsce i na Litwie*, pod red. B. Nowakowskiej, Łódź 1992, s. 29.

²⁰ W książce J. Szczepańskiego *Polskie losy*, Warszawa 1993, s. 38, 39 autor stwierdza, iż jedną z ważniejszych przyczyn klęski socjalizmu jako ustroju był wymiar wychowawczo-pedagogiczny. Nie zdołano bowiem wychować człowieka socjalizmu chcącego i mogącego realizować w praktyce zasady tego ustroju, tak jak ludzie żyjący w kapitalizmie chcieli i żyli zgodnie z jego wartościami i zasadami.

²¹ Patrz W. Wesołowski, *Inteligencję w mieszczaństwo przemienić?* [w:] „Kultura i Społeczeństwo” 1994, nr 1.

²² H. Domański, *W oczekiwaniu klasy średniej*, „Więź” nr 7-8, 1990, s. 11-18 i tegoż autora *Jak daleko do społeczeństwa rynkowego*, „Więź” nr 6, 1992, s. 4-49.

*O mojej to Łodzi
piosenka...*

Marek Miller

Łódź jest dla mnie tym, czym Jasna Polana dla Lwa Tolstoja, Dublin dla Jamesa Joyce'a, Śląsk dla Kazimierza Kutza, czyli wszystkim. Wszystkim, bo jedyną naprawdę oryginalną rzeczą, jaką posiadam, jest moje własne życiowe doświadczenie. A ja całe życie spędziłem w Łodzi. Łódź mnie zrobiła. Wszystko, co mnie wynosi i wszystko, co mnie obciąża, bierze się stąd...

Tak, przyznam się, kocham Łódź tą miłością nierozumną i wszechogarniającą. Śni mi się po nocach i czasami się do niej modlę. Tak jak śni się Polska tym na Greenpoincie w Nowym Jorku, jak modlą się do niej, myjąc talerze, ci z Londynu czy Paryża. Byłem w żydowskiej dzielnicy w Paryżu i w pierwszej cukierni zapytałem głośno po polsku: — Czy jest tu ktoś z Łodzi? — Moja teściowa jest z Łodzi — usłyszałem po polsku. Na ulicy Diamentowej w Nowym Jorku też wszyscy są z Łodzi. A nawet w Aucland w Nowej Zelandii jest Paweł Pałka, mój kolega z Łodzi, to znaczy z Pabianic...

Jak tylko wysiądę na Fabrycznym, to zawsze idę Traugutta, Piotrkowską, Andrzeja, Kościuszki... i tak w kółko. Idę i doglądam, idę i podglądam, i oglądam. Czuję się jak na inspekcji. Cieszy mnie każdy nowy sklep, każda nowo otwarta restauracja czy kawiarenka. Każdą czystą nową toaletę uważam za swój prywatny, osobisty sukces. Tak. Bo trzeba by nie mieć serca, by nie widzieć, jak to miasto idzie w górę, jak rwie się do życia, jak kombinuje z błyskiem i urodą. A przecież nie musiało być wcale tak. Całe życie mogło nam minąć w tej szarej wacie, która nie miała końca. Idę więc miastem, i rosnę, i dziękuję Bogu. I choć mnie już tu nie ma, to przecież zawsze jakoś jestem. Myślałem, że Spatif nigdy się już nie podniesie. Że zawsze cuchnąć będzie moczem, ale to nieprawda, choć żal, że nie siedzą tam już dziś artyści. Myślałem, że Piotrkowska... ale nie chodzi tylko o fasadę. Życie w Łodzi wraca na podwórkę, a podwórka zawsze były podstawą tego miasta. Ja wychowałem się na podwórku na Mielczarskiego 22, mieszkalem na pierwszym piętrze nad bramą...



fol. Piotr Zdrzyński

Ludzie... gdybym miał talent, gdybym potrafił wam opowiedzieć co myślę, co czuję i co się ze mną dzieje, gdy tylko zbliżam się do Mielczarskiego. Ludzie! — gdybym to potrafił, to bylibyście olśnieni!

To moje podwórko ciągnie mnie jak wir, jak lej, jak przepaść. Zdarza się, że nagle czuję jego zapach — zapach czerwcowej nocy, kwitnących kasztanów, pleśni, wilgoci, szczyń pod komórkami, kiszzonej kapusty i jeszcze czegoś nieokreślonego. Ten nieokreślony zapach narasta i nieraz dominuje wszystko... Nagle czuję w ustach smak sproszkowanej różowej oranżady, którą zlizywałem językiem z własnej dłoni... Od jakiegoś czasu, gdy zbliżam się tylko do Mielczarskiego, to zaczyna dziać się ze mną coś dziwnego — jakby rodzaj biofalicznej wibracji. Nawet jeśli tylko z przejeżdżającego tramwaju rzucę okiem w głąb ulicy Obrońców Stalingradu (obecnie Legionów), gdzie wysunięte ku zachodowi daszki kamienic dotykają Mielczarskiego, to już wystarcza, żebym odczuwał ową tajemniczą wibrację połączoną z przyciąganiem. Przyciąganie to jest czasami tak silne, że wysiadam z tramwaju, zatrzymuję taksówkę i zawalając plan dnia — idę na Mielczarskiego. Kiedy tylko wchodzę w Gdańską, to na wysokości cukierni dopada mnie poczucie szczęśliwości i spokoju. Kupuję pączka i wychodzę z nim na ulicę. Mijam te wszystkie miejsca, które miały swoje nazwy własne: Knajpa u Szmidtowej, gdzie robotnicy przepijali swoje pensje. Magiel „u Staśka”, gdzie można było kupić barana. Spożywczy „u Wiączka” — od nazwiska kierownika sklepu, który nawet za Stalina nie zdjął znad lady Matki Boskiej Częstochowskiej. Wreszcie drewnianą budkę „u Kretka”, gdzie oprócz warzyw można było kupić szczapy drewna na rozpałkę i ulubioną oranżadę w proszku.

Nie ma już dawno Kretka ani Wiączka. Kocie lby zalano asfaltem, ale ja ciągle słyszę jeszcze stukot wozów chłopskich ciągnących tędy na Zielony Rynek. Słyszę jak brzęczy dzwonek w podstawówce i widzę jak chłopcy wybiegają na przerwę ze spadochronami w rękę. Te spadochrony zrobione z chustek do nosa i wypełnione drobnymi białymi papierkami chłopcy rzucali wysoko w górę. Spadochrony spadając rozrzucały papierki. Wyglądało to tak, jak gdyby nagle w środku wiosny na Mielczarskiego padał śnieg. Widzę też tam samego siebie, jak rzucam spadochron w górę.

Móc patrzeć na samego siebie to jest zawsze fascynujące. Najpierw przyprowadzałem tu na Mielczarskiego dziewczyny, ale one tego wszystkiego nie widziały i nie słyszały. Przychodzę więc już tylko sam.

Siadam na podwórku przy komórkach i patrzę na kasztan. Czuję, że to właśnie gdzieś tu tkwi klucz do tego wszystkiego, co się wydarzyło. Tu patrzę na swoje życie z zewnątrz. Może Bóg chce coś powiedzieć przez to, że każe nam się urodzić na Mielczarskiego.

Marek Miller — przede wszystkim dziennikarz i reporter, autor kilku głośnych książek. Obecnie w Warszawie.

Krystyna Kwiatkowska

„Brzydka, ale ma ładne detale” — mówi się o niektórych kobietach. I o niektórych miastach. Ani kobiety, ani miasta nie powinny się obrażać: ta lekko dosłodzona obelga (czy też złamany komplement) na dłuższą metę rokuje lepiej niż krótkie, zachwycone „ach”. Niedoskonałość prowokuje, przyciąga i wkurza, rozczerwawia i stwarza nowe nadzieje — słowem, tu nie muzeum, proszę państwa, tu się żyje, na brudnym podwórku zabrzmi nagle muzyka Vangelisa i przetną powietrze chmary papierowych jaskółek. Przebrniesz przez lepką mieszaninę krwi, szkła i źle strawionej sałatki pod pubem na Kościuszki i idziesz dalej pasażem obok wiecznie zziębniętej syrenki, a na Piotrkowskiej znów szykują jakiś festyn, piętrzą się gigantyczne konstrukcje, które potem spłoną, roztopią się lub zostaną rozebrane wśród szelestu papierów i trzaskania plastikowych kubków.

Poniedziałek jest okropny. Okropny nawet dla tych, którzy jakimś cudem uniknęli zetatyżowania. To dzień, w którym może już przyjść komornik, albo kanar chwyci cię w tramwaju i żegnaj „Złota Kaczko” z demonicznym astrologiem i młodymi pędami bambusa. I co wtedy? Chyba tylko do „Niezależnej”, wypłakać się w rękaw Władzi Zbrońskiej i podać łapę Zjutce, mądrymu kudłaczowi, który ponoć uwielbia pomarańcze, a na pewno — wylizać człowiekowi twarz do czysta.

Ziuta w jakiś sposób przypomina mi Sarę, moją wspaniałą wilczycę, która już od dwóch lat hasa sobie po astralnych łąkach, wychowując kolejne gromadki puszystych szczeniactwów. Widzę, jak kotłują się niezdarnie, popiskując i groźnie marszcząc małe noski. Musi być przecież jakiś raj dla zwierzaków, czyż nie? Sara patrzy na mnie, mówiąc prawie ludzkim głosem: dobrze mi tu, ale mogłabyś kiedyś przynieść moją piłeczkę. Jeszcze nie teraz. Ale pamiętaj. Albo zapisz sobie. Wy, ludzie, tak lubicie wszystko zapisywać.

* Andrzej Babaryko, *Życie daremne*, Łódź 1994.



Obraz Krystyny Kwiatkowskiej
fot. Andrzej Marat

Łódź nie jest miastem dla psów. Tu się żyje w świecie cyfr, maszyn i słów. Tu się żyje na krótkim oddechu. „Cześć” i jakiś żart. Nie było żartu, nie było spotkania. Chłopcy z Kwartetu Jorgi mówią: w tym mieście każdy czeka, aż puścisz oko, pozwolisz wziąć w cudzysłów te niebezpieczne momenty, gdy mózg działał na falach alfa czy theta i otwierały się drzwi do nieba i zielonych łąk.

W Łodzi nie ma łąk. W Łodzi nie ma rzeki. Jest jakiś szary, bolesny brak, ssąca próżnia, która wytacza z wyobraźni wizje nierealnych pejzaży i ludzi, których można tam spotkać. Z nimi rozmawia się długo. Czasem się milczy. Z rozmów powstają książki i eseje. Z ciszy rodzą się wiersze.

To aż takie proste? I takie patetyczne? Ejże, panna, kłamiesz. Twoje wiersze rodzą się w tłumie, gdzie chore ludzkie roślinki zderzają się co chwila z masywnymi pancerzami biznesmenów i bizneswomenek. Garnitur jako współczesna odmiana zbroi — śmieje się Eliza — strój do walki. Eliza to moja przyjaciółka z liceum. Teraz mieszka na wsi, ma swój kawałek planety i rzadko mnie odwiedza. Łódź przeraża ją bardziej niż jakiekolwiek inne miasto. Tutaj — mówi — sowy nie są tym, czym się wydają.

Mijamy znanego poetę z jego nieodstępnym Homerem. Obok drepcze Heidegger, a nad całą trójką unosi się zwalisty duch Hegla. Z pobrużdżonych czoł kapią ciężkie krople myśli. Poeta udaje, że nie dostrzega wampira, ukradkiem zlizującego z palców resztki świeżej krwi. Podobno podają w knajpce na rogu. Całkiem legalnie. Na wszystko teraz można dostać koncesję, takie czasy. Za szybą innej kawiarni błyskają sygnety najbardziej znanych i poważanych w tym mieście złodziei. Staruszka wciska do ręki zakurzony pęk nawłoci. „Na lekarstwa” — szepcze, spuszczać głos. Cicho przemyka srebrne BMW, ktoś gasi peta w tujach pod Grandką. Rumuńskie dzieci oblepiają nas ciasno, nie sposób iść dalej. O bogowie, bogowie moi...

A do tego jeszcze, inymi ulicami, krąży ten pan, który zawsze bezbłędnie umiał dokończyć rozpoczęte przeze mnie zdanie. Jakoś nie możemy się spotkać, ale sama jego obecność kładzie na miasto zwodniczy księżycowy poblask i rozsypuje po chodnikach płatki magnolii. Ale to przecież Łódź i nic nie może być pełne ani doskonałe, dwie części zdania spotykają się na chwilę i już unosi je demon ruchu, ten zdyszany diablik, który w pośpiechu myli zielen lasów z kolorem światła na skrzyżowaniach.

Jedź już, Eliza. Ale wiesz, jest w Łodzi jeden park, a w tym parku jedno drzewo... ono mówi. Powiedziało mi kiedyś coś bardzo, bardzo ważnego. Słowo daję. I jest grobowiec Scheiblera, w którym śpiewa. Nie wierzysz? To idź tam kiedyś zimową nocą, najlepiej przy księżycu. Może i ty usłyszysz ten dziwny śpiew, czysty, wysoki wokal, odzywający się we wnętrzu kościoła-grobowca i milknący na zewnątrz. Teraz wprawdzie budowla jest w remoncie i można pukać jak Szyborska do drzwi kamienia. Ale przecież kiedyś ją otworzą.

Kiedyś ją otworzą.

Krystyna Kwiatkowska — przede wszystkim poetka. Píše też prozę i maluje.

*Takiej Łodzi nie znajde
w żadnym innym mieście.*

Marek Janiak

Pani Futro, jak prawie codziennie, wdała się w sprzeczkę z moją matką. Temat to oczywiście ja, moi kumple, podwórko i piłka. Rodzicielka dowiedziała się po raz kolejny, że ma syna smarkacza, co biega z gumówką po ogródku i niszczy grządki. „Jak nie mają gdzie grać, niech siedzą w domu albo idą na inne podwórko”. Matka próbowała oponować, broniła nas, ale nieśmiało. Potem stanęło jeszcze na wokandzie bieganie po dachach komórek i robienie dziur w papie. W końcu sprawa się wyczerpała. A my, to znaczy Kusza, Poldek, Romek i ja, staliśmy z boku i udawaliśmy niewinnych, przerażeni jedną tylko myślą: Futro nie odda nam piłki. Plan przedstawienia to moje rodzinne podwórko przy Gdańskiej, niedaleko Próchnika, czas akcji — koniec lat sześćdziesiątych. Prowadzony przez panią Futro ogródek miał może ze cztery metry kwadratowe i jako jedyne nie wybetonowane miejsce w okolicy wciśnięty był między pięciopiętrową „ślepą” ścianę i „Pralnię”

No więc przeczekaliśmy burzę w miarę dzielnie. Pod koniec byliśmy nawet zadowoleni, bo staliśmy pod oknami parteru, a przez firanki raz po raz posyłały nam porozumiewawcze spojrzenia dwie siostry. Były bardzo piękne. Miały tylko jedną wadę: były córkami pani Futro. Sytuację wyjaśniła definitywnie matka Romka, wysyłając go do „Bułgara” po seler. Wyzwoleni ostatecznie wybiegliśmy za nim do sklepu. I tak musieliśmy się spieszyć, ponieważ zaczynali się u Osieckiej (jedyne telewizor w kamienicy) *Czterej pancerni*. (Wieczorem spotykali się u niej nasi rodzice — czas wypełniał im, dla odmiany, *Święty*, ze składkową herbata.)

Kilka tygodni później, kiedy czekałem w kuchnio-łazienko-przedpokoju na Kuszę, zapamiętałem ćwiczącego za przepierzeniem na skrzypcach, dowiedziałem się od jego starej, że nie mam po co tak stać. Poprzedniego dnia wieczorem matki nasze ustaliły raz na zawsze (konsumując u Osieckiej Kildera), że od jutra mamy się z graniem wynieść na Zdrowie.

* * *

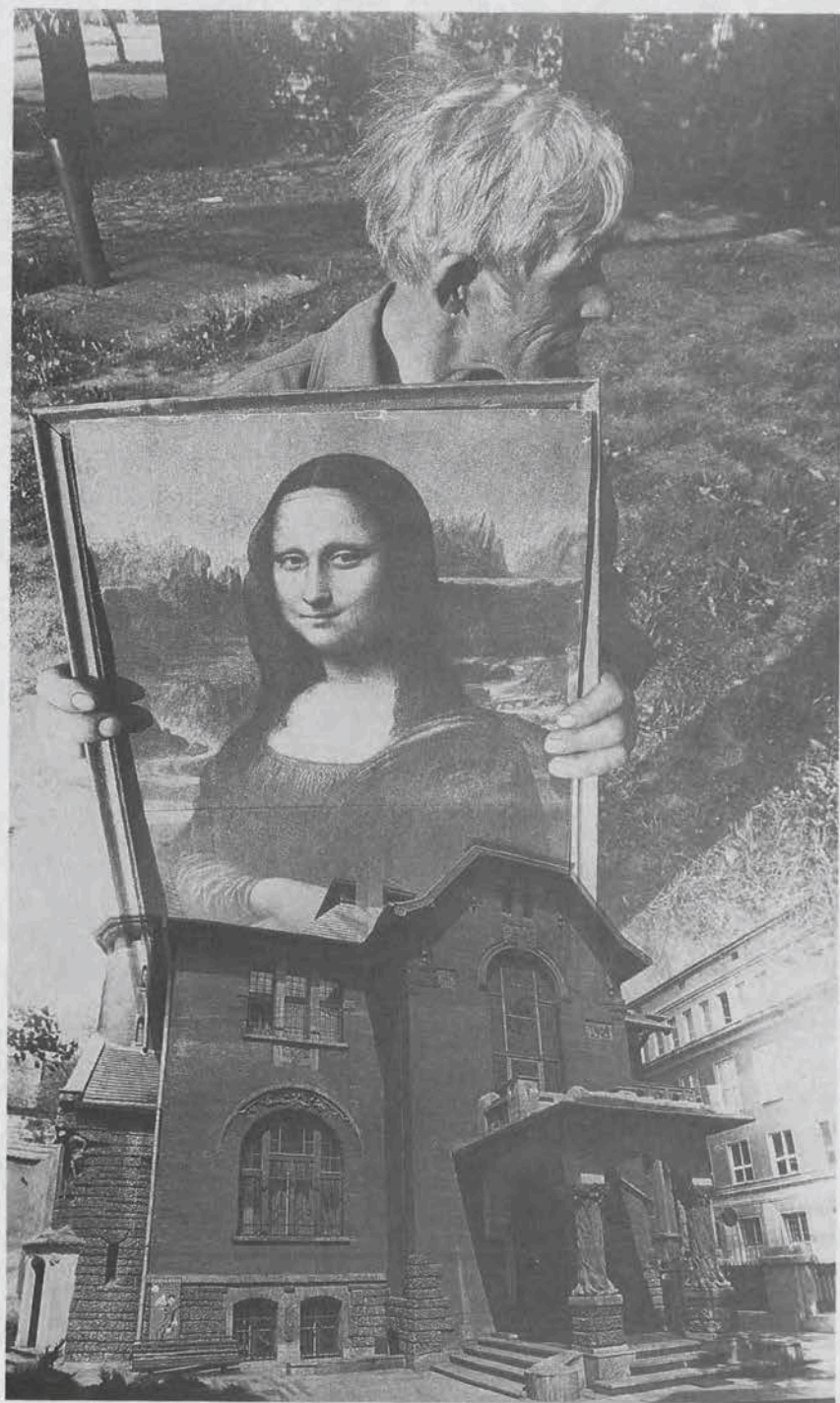
W czasach licealnych do kina jeździło się przynajmniej raz w tygodniu. Na francuski romans z dziewczyną do „Studia” na dalekim „Lumumbowie”. Z kumplami z klasy na kryminal do równie odległego „Pokoju” na Widzewie (bileterka wchodziła na salę po rozpoczęciu projekcji i paliła w piecach). A nieraz, samotnie, obejrzeć raz jeszcze *Pieski świat*, do obscurnego „Świtu” na Bałuckim Rynku. I choć do wyboru było ze dwadzieścia kin, w każdym po pięć seansów dziennie, to bilety najczęściej kupowało się u koników, ewentualnie w kasie, ale z samego rana. Szczytem samozaparcia były jednak nieodmiennie „Konfrontacje”. My, tradycyjnie, obstawialiśmy kino „Włóknarz”. To było zawsze jesienią, zimno jak cholera. Staliśmy w niewiarygodnie zawilej kolejce od szesnastej poprzedniego dnia, w stałym mniej więcej składzie: Adaś Klimczak, Andrzej Wrzesień z narzeczoną, Kozieradzka — wszyscy członkowie pracowni plastycznej Pałacu Młodzieży. Z marnymi raczej szansami na bilety. W tłumie ciągnącym się wzdłuż Próchnika aż do knajpy „Murzynek” przy Wólczańskiej można było zresztą spotkać wszystkich. Niepewność finału wyzwała najróżniejsze pomysły przyspieszenia sytuacji. Na przykład wymienialiśmy się nieustannie, wywołując gwałtowne protesty innych kolejkowiczów. Jednak tłumacząc się umiejętnie, zyskiwaliśmy kilka miejsc do przodu. I trwały wielogodzinne dyskusje na temat nie widzianych jeszcze filmów. Dreszcz oczekiwania na *Wielkie żarcie* urozmaicało spożywanie donoszonych przez dziewczyny kanapek z serem. Przechodziliśmy od napadów energii owocujących rozbawiającymi ulicę dowcipami do katatonicznego odrętwienia związanego z nikłą nadzieją na biletowy sukces. Buxel miał modne buty z szerokim czubem, Klimczak pilotkę. Puszczali gile z nosa i marudzili, że są śmiertelnie chorzy. Ja tłumaczyłem sugestywnie o konieczności odprowadzenia do domu chorego psychicznie brata. Tak zyskiwaliśmy kolejne pozycje. Na koniec, pod wieczór, odwalaliśmy klasyczny numer w drzwiach. Robiąc sztuczny tłok omijaliśmy następne kilkanaście osób.

Wreszcie kasa. I bilety. W pierwszym rzędzie. Byliśmy w siódmym niebie.

* * *

Ten dom byłby na samym rogu, dzisiaj Mickiewicza i Piotrkowskiej. Wyburzyli go wraz z sąsiadami, bo podobno było potrzebne odpowiednie przedpole do zbudowania reprezentacyjnego podziemnego przejścia.

Włodek Adamiak — asystent na Wydziale Architektury, i ja — student roku dyplomowego, robiliśmy wtedy (nigdy nie zrealizowany) projekt kawiarni w Urzędzie Miasta. Podstawą wystroju miały zostać elementy wnętrz pozyskane właśnie z tej rozbieranej kamienicy. Między innymi wspaniałe, standardu pałacowego, boazerie z początku wieku. Dziś już nikt nie robi, czy nawet nie potrafi takich zrobić. Stara



fot. Piotr Zdrzynicki

robota stolarska tworząca jeden „wyrzeźbiony” od podłogi do sufitu mebel. Skomplikowane, politurowane na wysoki połysk, artystycznie gięte płaszczyzny przenosiłiśmy wytrwale na papier projektu. Także oryginalnie przeszklone, przesuwane drzwi zręcznie wbudowane w przemysłne schowki i szafki. Do tego misterne gipsowe plafony z sufitów, kryształowe lustra z głównego hallu. I ręcznie malowane holenderskie kafle zdobiące ogromną kuchnię. To wszystko widzieliśmy już w wyobraźni na nowym miejscu.

Byłem naocznym świadkiem smutnego końca. Kiedy jeden robotnik delikatnie rozbierał parkiet, zrywając przy tym wszystkie pióra i niemiłosiernie kalecząc krawędzie klepek, drugi, nie opodal, niechcący upuszczał z wysokości czterech metrów alabastrowy plafon. Inny przypadkowo tłukł lustro, a kolejny równie dobrze radził sobie w kuchni. Ku zdumieniu budowlanca, ani jeden kafel nie zachował się w całości. Ostatni z nich wyniósł, tak po prostu, girlandowy secesyjny żyrandol.

Dzisiaj widać jak na dłoni, że przedpole było niepotrzebne — po betonowym placu hula wiatr, a miejsce kamienicy dzielnie okupują ozdobne murki i plastikowe budki z szybkim jadem. Gdzie powędrowała rozebrana boazeria — nie wie nikt.

* * *

Jeszcze jeden dom na tym samym skrzyżowaniu. Po przekątnej. Stoi do teraz. „Pomnik Kamienicy”.

Wspólny pomysł Adamiaka, Zbyszka Bińczyka, kolegi z roku i mój, wtedy już wykładowcy na Architekturze. Ten budynek, choć dużo bliżej jezdni, udało się uratować. Zawierucha solidarnościowej odwilży ułatwiła dojście do decydentów, a my, przy okazji, zrobiliśmy ze sprawy wielki happening zaadresowany do wszystkich Łódzian. Chcieliśmy uzmysłowić mieszkańcom, że nawet taka „szpetna” kamienica jest potrzebna, że nowoczesne istnieje tylko w zderzeniu z historią. Że bez ciągłości to miasto stanie się jeszcze „brzydsze”. A takiej Łodzi nie znajdą w żadnym innym mieście.

W południe, przy zatrzymanym ruchu, dokonaliśmy oficjalnego otwarcia. Odślonięcia zapakowanego w białą tkaninę budynku. Na jezdnię opadły kolejne wstęgi materiału. Tego domu miało już nie być. Prawdopodobnie uratował go historyczny przypadek. A tablica wmurowana w posadzkę bramy zaświadcza dzisiaj: „7 maja 1981 roku kamienica ta stała się pomnikiem kamienicy”.

* * *

Policjant zaczepił mnie grubo po południu, kiedy wszystko już było gotowe. Dałem dowód. Stwierdził, że będzie kolegium. Z braku decyzji. Zadzwoiłem do

Prezydenta. Zналиśmy się z poprzednich imprez, popierał je i firmował. Prezydent miał kilkadziesiąt kroków (na tym samym piętrze, w tym samym budynku) do Wojewody. Tamten stosowny papier wreszcie podpisał. Po miesięcznym odleżeniu, w ostatniej chwili przed zakończeniem pracy ostatniego dnia 1993 roku.

Dalej potoczyło się prawie bez przeszkód. O dwudziestej trzeciej spotkaliśmy się wszyscy przy stumetrowym stole. Był wirtuoz skrzypiec, Kusza, który ożenił się z jedną z córek pani Futro i został ślusarzem. Przyszedł Adaś Klimczak, teraz prezes międzynarodowego Muzeum Artystów. Andrzej Wrzesień pracujący w „Filmówce” i fotografujący piękne modelki. I znana projektantka mody, Kozieradzka. Bińczyk wpadł na chwilę, bo bawi się w politykę i ma mało czasu. Odwrotnie niż Buksel, były cinkciarz, obecnie bezrobotny. Spotkałem też Adamiaka; razem zakładaliśmy Fundację Ulicy Piotrkowskiej. W końcu ja sam, dzisiaj prezes tej fundacji, główny organizator imprezy. I mój pierwszy robiony na Piotrkowskiej Sylwester.

O trzeciej w nocy z estrady leci muzyka, pękają petardy, a pół Łodzi tańczy. Podchodzi jeden z mieszkańców pobliskiego bloku-plomby. „To jest skandal!” — krzyczy zdenerwowany. „Jak chcecie grać, to wynocha na Zdrowie!”

Wracam na podwórko dzieciństwa.

Marek Janiak — przede wszystkim artysta (Łódź Kaliska). Także prezes Fundacji Ulicy Piotrkowskiej.

Przywróćmy pamięć



fot. Krzysztof Hejke

o zamordowanym narodzie żydowskim

Arnold Mostowicz urodził się w 1914 roku w Łodzi. Na kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej ukończył studia medyczne we Francji. We wrześniu 1939 roku krótko przebywał w Warszawie, pracując w czasie oblężenia w tamtejszych szpitalach, następnie wrócił do Łodzi, gdzie spędził większą część okupacji. Zamknięty w getcie pracował w szpitalu chorób zakaźnych, w pogotowiu i jako lekarz sanitarny. Po likwidacji getta wywieziony został najpierw do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a następnie do kilku innych obozów hitlerowskich na terenie Rzeszy.

Po wojnie podjął działalność dziennikarską (był między innymi redaktorem naczelnym „Gazety Krakowskiej” i „Szpilek”), przekładową (opracował antologię humoru francuskiego i radzieckiego oraz tomy opowiadań francuskich humorystów: Alfonsa Allais i Camiego) oraz popularyzacją nauki, głównie biologii (wydał książki *Biologia zmienia człowieka*, nagroda im. Bruno Winawera — 1977, *Biologia zmienia medycynę* — 1982, *Biologia uczy myśleć* — 1988). Jego zakres zainteresowań, godny człowieka renesansu, wypada jeszcze uzupełnić o „faktografię fantastyczną” — tematyce tej poświęcił cztery publikacje książkowe (*Mój kosmos* — 1978, *O tych, co z kosmosu* — 1987, *Zagadka Wielkiej Piramidy* — 1990 i *Spór o Synów Nieba* — 1995), obecnie przygotowuje kolejną, ale praca posuwa się, z braku czasu, dość powoli.

Swoje przeżycia w getcie i w hitlerowskich obozach zagłady ujął w formie literackiej w książce *Żółta gwiazda i czerwony krzyż* (1988). Jest także autorem powieści, częściowo autobiograficznej, *Miłość z wariatem w tle* (1993).

Angażuje się społecznie: przewodniczy Stowarzyszeniu Żydów Kombatantów w Polsce, jest członkiem zarządu Fundacji Polsko-Niemieckiej „Pojednanie”, ostatnio objął kierownictwo nowo utworzonej Fundacji „Monumentum Iudaicum Lodzense”, mającej opiekować się między innymi łódzkim cmentarzem żydowskim.

Rozmowa z Arnoldem Mostowiczem

— Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie: kim byli i czym się zajmowali pańscy rodzice, dziadkowie?

— Mój dziadek ze strony matki, Salomon Goldsztajn, był łódzkim felczerem (felczerzy posiadali wówczas wszystkie uprawnienia lekarskie, nie mając tylko tytułu doktora). Miał dużą praktykę i prawdopodobnie doszedł do pieniędzy, bo kupił pięciopokojowe mieszkanie na Narutowicza, pod dwudziestym drugim, w domu sąsiadującym z filharmonią. Był człowiekiem wierzącym, ale rodzinie dał pod tym względem swobodę wyboru i wszyscy bardzo szybko asymilowali się. Moja matka nie знаła słowa w języku jidisz, a jej brat — mój wujek — przeszedł nawet na katolicyzm.

Rodzina ojca pochodziła z Krośniewic, spod Kutna i była bardzo religijna. Pod koniec zeszłego wieku kilkunastoletni wówczas ojciec przybył do Łodzi. Zatrudnił się jako sprzedawca i chłopiec na posyłki w firmie Zachariasza Warszawskiego, będącej filią zakładów Krusche-Endera. Niczym klasyczny bohater powieści pozytywistycznej w dzień pracował, w nocy natomiast uczył się. Musiał być człowiekiem bardzo zdolnym — proszę sobie wyobrazić, że ten absolwent krośniewickiego chederu zdołał zdać, jako ekstern, maturę z trzynastu przedmiotów! Już to było wyczynem niezwykle, ale ojciec chciał kształcić się dalej i pojechał do Warszawy studiować prawo.

W stolicy zafascynował ojca świat teatru. Związał się z kołem literackim Icchaka Lejba Pereca, o czym dowiedziałem się dużo później, z wydanej w Ameryce encyklopedii teatru żydowskiego, w domu bowiem nigdy się o tym nie mówiło (notabene z tej encyklopedii pochodzi jedyne zdjęcie ojca, jakie posiadam: zrobiłem sobie odbitkę, którą stale przy sobie noszę). Okazało się, że ojciec miał nie tylko talent aktorski, ale świetnie recytował, pisał wiersze i felietony. Zaprzyjaźnił się z pisarzem Szolem Alejchemem, z którym jeździł po Polsce, recytując jego utwory.

Domyślam się, że jego małżeństwo z moją matką nie było wynikiem jakiejś romantycznej miłości. Przypuszczam, że ojca, jako bardzo zdolnego młodego człowieka, przedstawiono po prostu mojemu dziadkowi, a ten uznał go za dobrą partię. Prawdopodobnie dziadek zrobił jakieś zastrzeżenie: „Daję ci posag, ale nie po to, żebyś go jako pisarz czy aktor roztrwonił. Musisz zająć się czymś konkretnym”. Zajął się: podjął pracę w hurtowni tekstylnej, a po pierwszej wojnie światowej otworzył nawet sklep z materiałami włókienniczymi. Oczywiście zbankrutował i musiał wrócić na posadę, jednak i tę utracił. Gdy było już naprawdę krucho, dały znać o sobie ojcowskie zdolności — przymuszony brakiem środków na utrzymanie rodziny opracował metodę produkowania kanw, importowanych dotąd z Czechosłowacji. W domu znowu pojawiły się jakieś pieniądze, a ja mogłem wyjechać na studia do Francji.

Prawdziwym żywiołem ojca pozostawała jednak sztuka. Wspólnie z poetą i grafikiem Mosze Brodersem założył żydowskie studium teatralne, z którego narodził się później teatr „Ararat” (ojciec pisał dla niego skecze). Przy towarzystwie „Hazomir” z kolei stworzył grupę teatralną, słynną później w całym kraju. Wystawiał tam sztuki Szolem Alejchem i Pereca, a także sztuki innych, nie tylko żydowskich autorów. Z powodu jednej z nich — *Pogrzebać umarłych* Irwina Shawa — miał kłopoty z cenzurą, bo była to rzecz komunizująca. Dzięki swojej działalności teatralnej znalazł się we wspomnianej encyklopedii, a także w wielu pracach poświęconych teatrowi żydowskiemu, m.in. w pracy Turkowa.

Ojciec pisywał także regularne felietony do łódzkich gazet ukazujących się w języku jidysz.

Gdy przysłała wojna, ojca zaczęło szukać gestapo — w „Hazomirze” znaleźli jakieś jego papiery. Wraz z matką uciekł do Warszawy. Z warszawskiego getta, gdzie utrzymywał siebie i żonę z gry w teatrze, między innymi u Andrzeja Marka, tego, który jako pierwszy wystawił po polsku *Dybuka*, został wywieziony do Treblinki.

* * *

Ciekawe, że tak związany sercem z teatrem żydowskim i literaturą jidysz, teraz, jak to wynikało z listów do syna, pisanych, gdy istniała jeszcze jakaś łączność między gettami warszawskim i łódzkim, grał w teatrze polskim u Andrzeja Marka. Grał wiele, i to role główne, obok takich znakomitości, jak Michał Znicz! A jeszcze tu i ówdzie występował z recytacjami. Nawet matka, która podejrzliwie i z niechęcią odnosiła się do tej sfery zainteresowań męża, pisała o jego sukcesach... Co za ironia losu! Musiała przyjść wojna, musieli Niemcy zabrać się do wcielania w życie swoich szaleńczych planów, aby ojciec mógł zrealizować marzenie swego życia... Poświęcić się wyłącznie teatrowi i utrzymywać się z gry na deskach scenicznych.

* * *

— Gdzie w Łodzi mieszkali pańscy rodzice?

— W domu przy Narutowicza pięćdziesiąt sześć; w sąsiedniej kamienicy mieściła się szkoła Wiśniewskiego (był to zwyczajny budynek zamieniony w szkołę), a jeszcze dalej dzisiejsze Collegium Anatomicum — ten czerwony gmach przed placem Dąbrowskiego. Nasz dom był o tyle interesujący, że był naprawdę ogromny: oficyna poprzeczna, dwie oficyny boczne i front. Razem chyba z pięćdziesiąt mieszkań, nasze było czterdzieste czwarte. W tych pięćdziesięciu lokalach mieszkali

sami Żydzi z wyjątkiem niejakiego pana Kwaśniewskiego, dyrektora z „Naftokorpo-lu” czy „Naftogalu” i dozorczy.

— Działalność pańskiego ojca może być przykładem, jak bogate było w Łodzi do wybuchu drugiej wojny światowej żydowskie życie kulturalne. Niby się o tym wszystkim wie, niby w zbiorowej świadomości łodzian funkcjonuje obraz miasta, któremu kształt nadały trzy żywioły — polski, niemiecki i właśnie żydowski — jednak, gdy przychodzi do konkretów, owo żydowskie dziedzictwo redukuje się do postaci „dyżurnych” — Tuwima i Rubinsteina. Tak na dobrą sprawę wiedza o trzystu tysiącach mieszkających tu przed wojną Żydów jest minimalna...

— Proszę pana, w tym mieście w ciągu kilkudziesięciu lat nie zrobiono nic, żeby z pamięci o Żydach cokolwiek uratować, zrobiono natomiast wszystko, żeby tę pamięć wymazać. W sierpniu 1994 roku, podczas obchodów pięćdziesiątej rocznicy likwidacji łódzkiego getta powiedziałem, że naród można zamordować przy pomocy kuli lub gazu, ale można go też zamordować zabijając pamięć o nim. Coś takiego przytrafiło się Łodzi, a nie ma chyba miasta w Europie, nie powiem „na świecie”, bo są przecież miasta izraelskie, w którym tak wielką i tak twórczą rolę odegraliby Żydzi. Łodzi nie da się porównać z żadnym innym ośrodkiem, nawet z Odessą, w której Żydzi stanowili czynnik znaczący, ale nie od strony twórczej (może poza muzyką), no i nie brali, jak Żydzi łódzcy, tak czynnego udziału w życiu społecznym, politycznym i kulturalnym swojego kraju.

Pytam się, komu zależy, żeby ten olbrzymi wkład poszedł w niepamięć? Dlaczego by nie przywrócić dawnej nazwy szpitalowi Poznańskich, skoro to ta rodzina go ufundowała, czemu nie poświęcić jakiejś tablicy pamięci Alfreda Sztraucha, właściciela księgarni na rogu Wschodniej i Dzielnej (obecnie Narutowicza), który stworzył w Łodzi wspaniałą orkiestrę symfoniczną. Kto dziś pamięta, że wychodząca w Łodzi prasa polska była w ogromnej większości wydawana i redagowana przez Żydów? Właścicielami „Republiki” byli na przykład Poznańscy, wydawcą z kolei „Głosu Porannego” była początkowo firma „Widzewska Manufaktura” Kona. I tu, i tu trzon zespołu stanowili Żydzi, z tym, że ci z „Republiki” byli w większości wychrzczeni, a ci z „Głosu” nie. W tej drugiej gazecie pracował m.in. Gustaw Wascercug, brat profesora Wasowskiego z Warszawy, ojca znanego kompozytora.

Żydzi bardzo zasłużyli się dla łódzkiej sceny. Dyrektorem Teatru Miejskiego był przez dłuższy czas Karol Borowski, reżyserem Henryk Szletyński, wśród aktorów wymienić trzeba Mrozińskiego, Winawera, Znicza czy Jarkowską. Wspomnieć wypada kompozytora Tansmana, malarzy: Szyka, Trębaczę i Barcińskiego, wybitnych lekarzy, choćby Sterlinga, i adwokatów. Właściwie we wszystkich dziedzinach łódzcy Żydzi zapisali przepiękną kartę.

Nie można wreszcie pominąć problemu tzw. „lodzermenschów”. Samo słowo przybrało raczej odcień negatywny, tymczasem ów „lodzermensch” odgrywał wielką rolę w życiu kulturalnym miasta — to był facet, który mógł dyskutować weksle, sprzedawać czy kupować starzyznę, coś produkować, ale jednocześnie chodził na koncerty filharmoniczne, na wystawy i rozczytywał się w „Wiadomościach Literackich”. Taka była Łódź...

— Czy czuje się pan lodzermenschem?

— Niestety, nie starczyło czasu, by nim zostać. Mając osiemnaście lat właściwie Łódź opuściłem, wyjeżdżając za granicę. Wracałem tu co prawda na wakacje, ale były to właśnie wakacje, podczas których nie włączałem się w życie miasta. Natomiast samo słowo „lodzermensch” budzi we mnie skojarzenia bezwzględnie pozytywne.

— Wspomina Pan o udziale łódzkich Żydów w polskim życiu kulturalnym i społecznym. A jak wyglądała w Łodzi żydowska kultura jidysz?

— Była bardzo bogata. To przecież w Łodzi powstał, na początku lat 20., ruch „Jung Jidysz”, stawiający sobie za cel odnowę języka żydowskiego i żydowskiej literatury. Do twórców tego ruchu zaliczał się już Mojżesz Broderson, poeta Icchak Kancenelson, a także jeden z największych malarzy europejskich — Jan-kiel Adler. Czy wie pan, że gdy w 1939 roku wybuchła wojna, Adler, mieszkający wówczas w Düsseldorfie, przedarł się do Francji i chociaż był ciężko chory na gruźlicę, zaciągnął się tam do wojska polskiego. W mundurze pojechał do Anglii, gdzie zmuszono go, by opuścił armię, bo był już umierający. Wkrótce rzeczywiście umarł na gruźlicę. Ruch „Jung Jidysz” zaowocował w wielu dziedzinach, zarówno w literaturze, jak i malarstwie, a także w teatrze (teatry „Azazel” w Warszawie i „Ararat” w Łodzi).

Skoro już o tych sprawach mówimy, to trzeba przecież wspomnieć, że kultura języka jidysz niesłychanie się rozwinęła nie tylko w Łodzi czy wielkich miastach jak Warszawa. Ona wyszła właściwie z małych miasteczek żydowskich (sztetlech). Te „sztetlech”, zamieszkałe w dużej mierze przez ludność żydowską, to był prawdziwy kocioł twórczy, o którym warto kiedyś powiedzieć szerzej.

Wspominałem o tym, że w Łodzi w ciągu blisko półwiecza dokumentnie zamazywano pamięć o tutejszych Żydach. Na miejscu dwóch pięknych synagog (tej przy ulicy Wolborskiej i tej z rogu alei Kościuszki i Zielonej) — synagog zburzonych i spalonych przez Niemców — nie ma po dziś dzień nawet tabliczek pamiątkowych. Ale na miejscu przepięknej synagogi na alei Kościuszki chciano w swoim czasie wybudować publiczny szalet...

Głównym kaznodzieją tej synagogi był dr Markus Braude, niezwykle zasłużony dla żydostwa łódzkiego, o którym też warto wspomnieć i którego też warto zapamiętać...

Co złego by się stało, gdyby jakieś tabliczki pamiątkowe pojawiły się tam, gdzie mieścił się „Hazomir”, albo tam, gdzie do wojny były gimnazja żydowskie?

— Powołana w początkach września Fundacja „Monumentum Iudaicum Lodzense”, na czele której Pan stanął, ma w swoich celach statutowych opiekę nad takimi właśnie pamiętnymi miejscami, między innymi nad łódzkim cmentarzem żydowskim. Może więc sytuacja, o której Pan mówi, zmieni się na lepsze?

— Mnie chodzi o przywrócenie pamięci o zamordowanym narodzie żydowskim. Cmentarz jest oczywiście bardzo istotny, ale ważniejsza jest sprawa pamięci. Tymczasem spotykam się stale z niezrozumieniem. Na konferencji prasowej zorganizowanej po powstaniu Fundacji jeden z łódzkich dziennikarzy spytał mnie z ironią, co jeszcze mam zamiar odnowić. Tu naprawdę chodzi o coś więcej.

Muszę cofnąć się nieco w przeszłość. Otóż widząc, że w Łodzi robi się wszystko, aby zatrzeć nawet ślad po Żydach, którzy tu mieszkali, powziąłem zamiysł stworzenia muzeum łódzkich Żydów. Z jednej strony ważna była dla mnie pamięć o Żydach w ogóle, z drugiej — pamięć o moich przodkach. Późnym latem 1994 roku zwróciłem się z tą ideą do jednego z najbogatszych Żydów w Europie, Josefa Buchmana z Frankfurtu nad Menem. „Trzeba zacząć od cmentarza — usłyszałem. — To jest najważniejsze. To jest wizytówka”.

Uchwyciłem się tego, co powiedział Buchman i od czasu naszej rozmowy robiłem wszystko, by doprowadzić do powołania zajmującej się cmentarzem fundacji. Pomógł w tym, a właściwie przejął inicjatywę i stał się duszą całego przedsięwzięcia pan prezydent Marek Czekalski. Nigdy nie zapomnę wystąpienia pana Czekalskiego w Audytorium Fryderyka Manna — siedzibie telawiwskiej filharmonii mogącej pomieścić 3 tysiące osób. Wywarł tam naprawdę duże wrażenie. Oświadczył, że zrobi wszystko, ażeby przywrócić pamięć o Żydach łódzkich, bowiem — jak powiedział — okrył się wstydem, kiedy na cmentarzu w Łodzi usłyszał moje słowa. Ponieważ moja książka [*Żółta gwiazda i czerwony krzyż* — W. G.] została już w Izraelu wydana i jestem tam dość znany, słowa te wywołały burzliwy aplauz.

Cmentarz jest punktem wyjścia dla działań późniejszych, które będą miały na celu przypomnienie roli łódzkiego żydostwa. Muszę z przykrością stwierdzić, że Polacy nie wykazują w tym kierunku inicjatywy. Jeśli coś się robi, to odgórnie. Za granicą wygląda to trochę inaczej, dostrzega się rolę, jaką odegrali w ciągu stuleci Żydzi we Francji czy Niemczech, chociaż akurat Niemców oceniać należy przez pryzmat ich kompleksu winy.

Niemniej wszędzie w Europie wspomina się o społeczności żydowskiej, która te kraje zamieszkiwała przed niemiecką okupacją, w zupełnie innych kategoriach niż to się robi, jakże często, w naszej prasie. (Nie chcę tego uogólniać, ale zawsze lepiej pamiętać się teksty najbardziej zawstydzające niż te pozytywne). Nie tak dawno „Słowo” wydrukowało na całą szpaltę list jakiegoś czytelnika, który usiłował udo-

wodnić, że Żydzi zawsze i wszędzie szkodzili Polsce. A już nie wspomnę takich wypowiedzi jak ta księdza prałata Jankowskiego, przypominająca najgorsze czasy pogardy i faszyzmu.

* * *

To było badzo dziwne miasto, owa Łódź, przez nikogo w tych czasach nie kochana. Może przez jej mieszkańców, chociaż i tego nie jestem pewien. Łódź to były trzy, co ja mówię, cztery miasta, albo może i więcej. Na pewno więcej. Była Łódź Polaków, Łódź Żydów, Łódź Niemców. Była Łódź Balut, Łódź Chojen, Łódź Środmięcia. W mojej pamięci, bo przecież do niej zechciał się pan odwołać, pozostała Łódź ulic i dzielnic zamieszkałych głównie przez hałaśliwą, rozdygotaną, zagonioną, niespokojną biedotę żydowską, żyjącą od soboty do soboty, od Jom Kipur jednego roku do Jom Kipur drugiego. Na Nowomiejskiej i na Wschodniej, na Kamiennej i na Peipera, na Południowej i Żydowskiej — ona właśnie, kapociarsko-rzemieślniczo-handlarska biedota była wizytówką tej części miasta. W ponurych, szarych, brudnych kamienicach, ponure, szare, brudne mieszkania zapchane były gratami i dziećmi, i zawsze pachniały cebulą i praniem. W tych to mieszkaniach podczas piątkowo-sobotnich spotkań opowiadano sobie o fortunie Poznańskiego, o mądrości i wpływach tego czy innego cadyka, o ostatniej roli Molly Picon, o chorobach dzieci i o podatkach, co oddychać Żydom nie pozwalają, o Palestynie i o Trockim. Tutaj też rodziła się i przechodziła z ust do ust legenda o łódzkiej dintojrze, i o jej bohaterach, o Fajwlu Buciku, o Szai Magnacie, a przede wszystkim o Ślepym Maksie.

* * *

— Muszę się panu przyznać, że dla mnie symbolem Łodzi jest tableau przechowywane w prawosławnej cerkwi katedralnej Aleksandra Newskiego przy Kilińskiego. Na tym tableau umieszczono fotografie łódzkich przemysłowców, donatorów cerkwi. Są wśród nich katolicy, są ewangelicy, są Żydzi i oczywiście prawosławni, choć tych bodaj najmniej. Wydaje mi się, że taka właśnie — wielokulturowa, bogata różnorodnością — była Łódź. Nie od dziś wiadomo, że najpłodniejsze twórczo są pogranicza, a Łódź stanowiła przecież jedno wielkie pogranicze...

— Wymieszanie było tutaj rzeczywiście niezwykle, aczkolwiek w latach międzywojennych między trzema społeczeństwami — Polaków, Niemców i Żydów — praktycznie nie było osmozy. One żyły razem, ale żyły osobno. Muszę się przyznać,

że zdałem sobie z tego sprawę dopiero przy pisaniu *Żółtej gwiazdy*... Dopiero wtedy spojrzałem na to wszystko chłodnym okiem. Można użyć porównania, że Łódź została jakby podzielona na trzy kredowe koła.

— Czy mógłby Pan wskazać te miejsca, te momenty, w których kończyły się kredowe kręgi a zaczynała właściwa wielokulturowość?

— Wielokulturowość? No, można to i tak nazwać. W Łodzi na przykład inteligencja żydowska wykazywała silne tendencje asymilatorskie. Przykładów można by cytować wiele. Zarówno jeśli idzie o inteligencję zawodową (palestra, lekarze), jak i inteligencję twórczą. Tuwim jest tu przykładem najbardziej rzucającym się w oczy, ale nie można zapomnieć o poetach takich jak Stefan Gołąb (wspomina o nim często Rudnicki), Leonid Foksański czy Rafał Len — pisarz, syn wybitnego działacza Bundu — Lichtensteina.

Nie wiem, czy zwrócił Pan uwagę na fakt, że kultura polska, w zasadzie kultura peryferyjna, nie na miarę kultury, powiedzmy francuskiej czy niemieckiej — miała niezwykłą siłę przyciągania? Zaobserwować to można zarówno w dziedzinach samej kultury, jak i nauki. Często wspomina się nazwiska Słonimskiego, Leśmiana, Feldmana, Langego, Tuwima, ale przecież jeszcze ciekawszymi przykładami służyć mogą Estreicherowie — sprowadzeni do Polski pod koniec XVIII wieku przez Kołłątaja. Linde, Finkiel czy Kolberg...

Siła przyciągania kultury polskiej uwidacznia się także w działalności takich rodów jak na przykład Wawelbergowie, Rotwandowie, Natansohnowie, którzy byli, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, animatorami nie tylko życia gospodarczego, ale i naukowego. (Przecież Wawelbergom i Rotwandom zawdzięczamy powstanie warszawskiej Politechniki). W Łodzi nie było to tak widoczne, ale może także i dlatego, że sytuacja wielu rodzin czy rodów była często zależna od chwilowej koniunktury gospodarczej... Ale przecież nie małe są zasługi Poznańskich, Ossewów, a z rodów niemieckich — Geyerów i Grohmanów, które oparły się naciskowi niemieckiemu i swoje przywiązanie do polskości przypłaciły, jak Geyerowie — życiem.

* * *

Masz oczy — patrz uważnie. Masz uszy — dobrze słuchaj... Zapamiętaj to wszystko, gdyż nadejść może taki dzień, że sam nie będziesz pewny, czy to było prawdą, czy może tylko koszmarnym snem. Prawdą? Dla kogo? Dla kogoś, kto czekać będzie na mecie i komu przekażesz ją jak cenny skarb, który chroniłeś podczas całego twego biegu o życie? A może meta straszyć będzie pustką śmierci i tylko wiatr rozniesie na cztery strony świata proch i popiół, popiół i proch, tak jak

roznosi teraz zawartość tej fibrowej walizki, która się płącze pod nogami i na której resztką białego płótna jak klepsydra zachowała atramentem wypisane litery: Gold... czy może Geld.

* * *

— W Pana książce *Żółta gwiazda i czerwony krzyż* przewija się motyw pamięci. „Obym to wszystko, co widzę, zapamiętał” — powtarza sobie narrator stykając się z okrucieństwem, jakiego dopuszczają się okupanci, reflektuje się jednak i sam sobie zadaje pytanie: „czy będzie dla kogo pamiętać?” Skąd bierze się taki pesymizm?

— Bierze się on stąd, że zbyt dobrze znam pewne sprawy i powątpiewam, niestety, w przyszłość żydostwa w Polsce. Społeczność żydowska jest tutaj na wymarciu. Pozostaną być może przez jakiś czas żydowskie grupy wyznaniowe, funkcjonujące na tej samej zasadzie, na jakiej np. funkcjonują grupy mahometan czy karaimów, ale nic ponadto. Jestem również przekonany, że w przyszłości tematyką żydowską już nikt nie będzie się interesował. Oczywiście, będą mniej czy bardziej szlachetni ludzie, mniej czy bardziej zaangażowani w tę tematykę historycy, którzy sięgną po taki czy inny materiał, to jednak będzie wszystko.

Sprawa jest jednak znacznie poważniejsza. Koniec społeczności żydowskiej w Polsce to w jakimś sensie początek końca narodu żydowskiego, który tu powstał w połowie XIX wieku, i tutaj, na terenach centralnej i wschodniej Polski rozwijał się w niezwykłym tempie — na bazie swego własnego narodowego języka (jidysz) i swojej własnej kultury. Ten naród, którego resztki żyją jeszcze w różnych krajach świata (Stany Zjednoczone, Ameryka Południowa, Francja) został przez hitleryzm zamordowany, tak jak to tragicznie opisał w swoim poemacie Icchak Kacnelson.

Naród tworzący się w Izraelu staje się i będzie całkowicie innym narodem. Narodem, który poza religią, coraz mniej będzie miał wspólnego z narodem żydowskim środkowej Europy. Będzie narodem, być może, coraz bardziej lewantyńskim, którego więzy z żydostwem środkowoeuropejskim będą coraz węższe. Zresztą sądzę, że im bezpieczniejszy będzie na swoim terenie naród izraelski, tym większa powstanie przepaść między nim a resztkami Żydów żyjących w diasporze. Myślę, że o ile nie nastąpi jakiś nowy kataklizm wojenny, to żydostwo w diasporze ulegnie w ciągu kilku pokoleń daleko idącej asymilacji...

Niedawno miała w Łodzi miejsce konferencja prasowa, podczas której głos zabierali między innymi ambasador Izraela w Polsce Gershon Zohar oraz przewodniczący Związku Łódzian w Izraelu Abraham Zelig i sekretarz generalny tej organizacji Zee'v Faktor. Wszyscy mówili po polsku. I w zasadzie mówili bezbłędnie. Obe-

cnym na sali dziennikarzom powiedziałem wówczas: „Zobaczcie państwo, jakiej polszczyzny używają Żydzi, którzy opuścili Polskę pięćdziesiąt lat temu”. Chciałem podkreślić, ile straciła kultura polska, jeśli idzie o możliwość ekspansji kulturalnej, przez kretyńskie zerwanie kontaktów z Izraelem, gdzie przecież żyje ponad trzysta tysięcy Żydów polskich. Powiedziałem to nie jako Żyd, ale jako polski pisarz, jako ktoś związany z kulturą polską, któremu los tej kultury i jej sukcesy leżą bardzo na sercu. To jeszcze jeden przykład skomplikowanych więzi kulturowych polsko-żydowskich.

* * *

Jak już panu powiedziałem, na żydowskiej ulicy imiona Fajwla Bucika, Szai Magnata czy Ślepego Maksa wymieniano z nabożeństwem. Przede wszystkim Ślepego Maksa. Nie tylko dlatego, że mu się udało, że się wybił ponad przeciętność i ponad szarżyznę, a jego nazwisko spotykano w prasie, jak nie przymierzając nazwiska Uszera Kona z Widzewskiej Manufaktury czy boksera Szapsi Rotholca, co to przyłożył Niemcowi, ale przede wszystkim dlatego, że dla wielu udręczonych troskami Żydów stał się postacią legendarną, kimś w rodzaju Janosika czy Robin Hooda, aczkolwiek mogę panu przysiąc, że trudno byłoby na tej żydowskiej ulicy znaleźć wielu, którzy by wiedzieli, kim był Janosik czy Robin Hood. Przy czym niech pan zważy, że w ogóle nie wiemy, czy obydwaj bohaterowie legend w ogóle żyli, podczas kiedy Ślepy Maks był człowiekiem z krwi i kości, który w smętnych czasach łódzkiej rzeczywistości międzywojennej na swój sposób regulował pożeranie biednych i słabych tego świata przez bogatych i bezwzględnych rekinów.

* * *

— W rozmowie z Panem, człowiekiem o renesansowej skali zainteresowań, nie może zabraknąć standardowego pytania o plany na przyszłość.

— Między innymi kończę, wraz z reżyserem Krzysztofem Krauzem, scenariusz do filmu o Ślepym Maksie. Nie będzie to film biograficzny. Raczej fikcja oparta o wiele elementów z życia nie tylko łódzkiej dintojry, której Ślepy Maks był szefem i niekonorowanym królem, ale i tak zwanego wielkiego świata przemysłu. Myślę, że dotychczasowe portrety Ślepego Maksa, którego notabene znałem, upraszczały tę postać sprowadzając ją często do jakiejś kryminalnej groteski.

Poza tym drukuję w miesięczniku „Dziś” fragmenty moich wspomnień — już z lat powojennych. Noszą one tytuł *Karambole na czerwonym suknie*. Mają one

ten sam charakter — myślę o sposobie pisania — co *Żółta gwiazda i czerwony krzyż*.

— Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Wojciech Górecki

Wszystkie cytaty pochodzą z książki Arnolda Mostowicza *Żółta gwiazda i czerwony krzyż*.

W wywiadzie z Arnoldem Mostowiczem pada wiele nazwisk i nazw instytucji, które mogą być obce nawet dla Czytelników interesujących się przeszłością Łodzi. Dlatego uzupełniliśmy go niewielkim słownikiem zawierającym podstawowe informacje, które ułatwią lekturę tekstu.

- Adler Jankiel** (1895-1949), malarz i grafik; jego twórczość ukształtowała się pod wpływem współczesnych mu kierunków artystycznych (ekspresjonizm, kubizm, abstrakcjonizm); w 1939 r. wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych we Francji
- Borowski Karol** (właśc. Karol Bilauer), ukończył szkołę dramatyczną przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym; występował poza Łodzią w Krakowie, Lublinie, Wilnie; dyrektor Teatru Miejskiego w Łodzi (1931-32) i Teatru im. Stefana Jaracza (1958-60).
- Braude Markus**, rabin (1869-1949); organizator kilkudziesięciu szkół, w tym jedyne w Cesarstwie Rosyjskim gimnazjum żydowskiego (tzw. Gimnazjum Rabinowicza), funkcjonującego w Łodzi do 1912 r.; w okresie międzywojennym Senator RP.
- Broderson Mosze** (1890-1956), poeta i grafik; większą część życia spędził w Łodzi, gdzie w 1919 r. zorganizował grupę „Jung Jidysz”, skupiającą poetów i malarzy ekspresjonistów; twórca teatru miniatur (kabaretu) „Ararat”; w latach 1948-56 więzień łagru na Syberii, zmarł wkrótce po powrocie do Polski.
- Hazomir**, Żydowskie Towarzystwo Muzyczno-Literackie, założone w 1899 r., propagowało język hebrajski, utrzymywało bibliotekę, kółko dramatyczne i chór, prowadzący swą działalność jeszcze w getcie.
- Jarkowska Stefania** (1909-59), debiutowała w Teatrze Miejskim w Łodzi za dyrekcji Zelwerowicza (1920 r.), później występowała w teatrach warszawskich.
- Kaufman Mieczysław**, lekarz, wybitny działacz oświatowy; twórca Towarzystwa Krzewienia Oświaty, inicjator powstania w Łodzi Biblioteki Publicznej.
- „Łodzer Togblat”** (1908-36), najstarsza łódzka gazeta wychodząca w języku jidysz, wydawana przez I. i M. Hamburskich oraz A. Tennenbauma, redagowana przez I. Ugera i J. Lewiego.
- Marek Andrzej** (właśc. Marek Arnstein), dramaturg (m. in. opowieść sceniczna *Pieśniarze Ghetta*, wystawiona w Teatrze Miejskim w Łodzi w październiku 1931 r., *U źródeł*, *Złote sny*, *Fanatycy*) i reżyser (wystawił m.in. po raz pierwszy *Na pograniczu dwóch światów* Szymona An-skiego — Salomona Rapoporty, sztukę szerzej znaną pod tytułem *Dybuk*).

- „Najer Folksblat”** (1921-36), pismo ukazujące się w języku jidysz, wydawane przez J. Brustowskiego i P. Weintrauba, redagowane przez L. Fuchsa, M. Brodersona i D. Zilbergerga.
- Osserowie**, rodzina łódzkich fabrykantów; Zakłady Bawełniane Adama Ossera (ul. Kilińskiego 222) powstały w 1903 r., a w 1923 r. przekształcone zostały w spółkę akcyjną, fabryka zatrudniała wówczas 634 robotników; Adam Osser był także wiceprezesem Rady Nadzorczej Banku Handlowego w Łodzi.
- Poznańskich szpital** (właśc. Szpital im. Izraela i Leony Poznańskich), istniał od 17 września 1890 r. jako szpital wyznaniowy gminy żydowskiej, początkowo liczył 50 łóżek, w 1911 r. — 106 łóżek; dziś funkcjonuje jako Szpital Kliniczny Nr 3 Akademii Medycznej w Łodzi, mieści się przy ul. Seweryna Sterlinga (dawniej ul. Targowa 1/3).
- „Republika”** (1925-39), dziennik, którego wydawcą i właścicielem był Maurycy Ignacy Poznański (wnuk Izraela Poznańskiego), a współwydawcą i redaktorem naczelnym — Cz. Oltaszewski.
- Sterling Seweryn** (1864-1932), lekarz, naukowiec, społecznik; w 1898 r. w Szpitalu Poznańskich zorganizował pierwszy w Polsce oddział chorych na gruźlicę; redagował „Czasopismo Lekarskie” — organ prasowy Towarzystwa Lekarskiego.
- Synagogi**, w nocy z 10 na 11 listopada 1939 r. Niemcy spalili wszystkie cztery wielkie łódzkie synagogi, mieszczące się przy ul. Wolborskiej, Zachodniej, Wólczańskiej i przy al. Kościuszki.
- Tansman Aleksander** (1897-1985), urodzony w Łodzi prawnik i kompozytor; twórca ponad 300 dzieł muzycznych, członek Królewskiej Akademii Sztuki w Brukseli i Cesarzowskiej Akademii Muzyki w Tokio; miesiąc przed śmiercią uhonorowany został tytułem doktora honoris causa Akademii Muzycznej w Łodzi.
- Znicz Michał** (właśc. Feiertag, 1892-1943), aktor teatralny i filmowy; w latach 1923-35 występował w Teatrze Miejskim w Łodzi (obecnie Teatr im. Stefana Jaracza), grał głównie role komediowe; występował także w Warszawie i w Krakowie; zginął w getcie warszawskim.

Opracował: **Józef Górecki**

*Masz kogoś na tamtym świecie?
Oddam mu ukłony.*

PAWEŁ SPODENKIEWICZ

Notatki do pewnych biografii

Na nazwisko poetki **Miriam Ulinower** (Ulianower) natknąć się można w posłowniu do opublikowanego w roku 1960 *Pamiętnika z getta łódzkiego* Jakuba Poznńskiego. Anonimowy autor (którym był, jak się można domyślać, Horacy Safrin, redaktor książki) napisał, że wokół tej postaci skupiało się w getcie środowisko pisarzy.

W *Antologii poezji żydowskiej* z roku 1983 znajdujemy z kolei jeden wiersz poetki, *Liścik do babci*, w przekładzie Tadeusza Nowaka, opatrzony lapidarną notką biograficzną: „Miriam Ulinower. 1890-1944. Urodziła się w Łodzi. Uprawiała lirykę o zabarwieniu religijnym, a zarazem o głębokiej wymowie społecznej. Zginęła, deportowana z getta łódzkiego, w Oświęcimiu”.

Notkę tę mogę uzupełnić informacją, że poetka debiutowała w roku 1922 tomikiem *Der Bobes Ojster*, wydanym z przedmową wybitnego pisarza hebrajsko-żydowskiego Dawida Frischmana, i w okresie międzywojennym była związana z kręgiem łódzkich literatów, spotykających się w bibliotece im. Ajzenszlosa. Należeli do niego między innymi poeta i prozaik Izrael Rabon oraz felietonista Jakub Obarzanek.

Ta garść informacji to wszystko, co można przeczytać po polsku o autorce, która uchodziła za jedną z najciekawszych poetek piszących w jidysz.

Spuścizna literacka łódzkich pisarzy żydowskich jest u nas słabo znana; po wojnie ukazało się w polskim przekładzie jedynie kilka wierszy Mojsze Brodersona, Icchaka Kacnelsona i Jeszajehu Szpigla. Przed czterema laty wyszła w przekładzie Krzysztofa Modelskiego powieść *Ulica* Izraela Rabona. Systematyczna praca badawcza i translatorska, mająca za przedmiot łódzkie środowisko literackie, jeszcze się na dobrą sprawę nie zaczęła; wrota do skarbcza powstającej w Łodzi literatury jidysz pozostają dla nas wciąż zamknięte.

* * *

Całkiem niedawno postać poetki Miriam Ulianower przybliżyła mi się nieco, za sprawą niespodziewanego gościa, Abrahama Cukierta.

Jest to pisarz i dziennikarz żydowski, kierownik sekcji jidysz w australijskim radio. W tym roku odwiedził Łódź, swoje miasto rodzinne, pierwszy raz od czasów powojennych. Wybraliśmy się wówczas na wspólny spacer po Łodzi, a potem, już u mnie w domu, słuchałem do późna w nocy jego wspomnień. Okazało się, że w czasie wojny Abraham Cukiert zetknął się z Miriam Ulianower. Bywał nawet u niej w domu jako początkujący wówczas literat. Pierwsze spotkanie nastąpiło wiosną 1940 roku.

— *To Bajgelman mnie wyszukał* — wspominał **Abraham Cukiert**. — *Podobały mu się moje wiersze, wydane przed wojną w „Najer Folksblat”. Przyszedł do nas zaraz po Wielkanocy, może jakieś trzy tygodnie po zamknięciu getta... . Patrzymy, stoi jakiś obcy człowiek. W ogóle z innego świata. Bo nasz świat był ortodoksyjnie religijny. Dzieci między sobą mówiły już po polsku, ale rodzice tylko po żydowsku. Przy stole było religijnie, w domu bez czapki się nie chodziło, sobota była sobotą. A Bajgelman to było coś innego, to był świat artystów. On mnie zaprosił do siebie na Pieprzową 4. Pytał się, czy bym się nie sprzeciwił, żeby on do moich wierszy skomponował muzykę. Ja byłem bardzo zadowolony. Przyszło lato, dni były coraz dłuższe, w getcie wolno było chodzić do siódmej. Bajgelman powiedział: „Mam dla ciebie zaproszenie, chodź ze mną”. Przybyliśmy do domu Miriam Ulianower, na Jakuba 15 czy 17. Druga strona to była fabryka, tam, gdzie później zostali ostatni Żydzi skoszarowani w getcie. A z jednej strony były trzy dosyć małe domki. W jednym z nich mieszkała Miriam. Wyglądała już wtedy na 60 lat, albo więcej. Miała urodę nie bardzo żydowską, ale jej język to był prawdziwie łódzki dialekt.*

Znalazłem się na wieczorze poetyckim, na którym Bajgelman mnie przedstawił jako jednego z młodych, jutrzejszych poetów. Oprócz mnie były jeszcze dwie inne osoby, między innymi Chawa Rozenfarb, znana dziś pisarka. Była czwarta. Miriam dała nam kawę ziarnistą. Około piątej Chawa zaczęła czytać, a o szóstej ktoś jej przypomniał, że jest jeszcze Aba Cukiert! To było pierwsze przyjęcie w getcie.

* * *

Warto poświęcić nieco uwagi owej osobie, która w tak niezwykle sposób wpłynęła na los Abrahama Cukierta, wprowadzając go ze światów chasydów Lubawiczer Rebe wprost do środowiska artystów.

Dawid Bajgelman był jednym z najbardziej znanych w Łodzi muzyków. Urodził się w 1888 r. (inne źródła podają rok 1887) w Ostrowcu. Podobnie jak Abraham Cukiert, zdobył gruntowne wykształcenie religijne, najpierw w chederze, a potem w jeshywie. W wieku 14 lat został oddany na naukę do klezmera — muzykanta żydow-



fot. Piotr Zdrzyński

skiego przygrywającego na weselach. Później zaczął pobierać lekcje teorii, harmonii i gry na skrzypcach, m.in. u profesora konserwatorium berlińskiego Richarda Antoniusa. W sezonie 1906/1907 Bajgelman przeniósł się do Łodzi i został zaangażowany jako skrzypek do orkiestry przy trupie teatralnej Icchaka Zandberga. Odtąd jego losy wiązały się z Łodzią, gdzie zaczął prowadzić małe orkiestry teatralne, m.in. w teatrze Scala.

Sporo podróżował. W roku 1926 pojechał wraz z jedną z orkiestr do Brazylii, Argentyny, Paragwaju i Afryki Południowej. Z kolei w roku 1930 prowadził przez wiele miesięcy orkiestrę teatralną w Rydze.

Oprócz pracy dyrygenckiej Bajgelman zajmował się komponowaniem, zwłaszcza muzyki teatralnej, między innymi dla słynnego „Araratu”.

Te wszystkie zajęcia nie przynosiły mu jednak kokosów. Pamiętał to dobrze jeden z moich izraelskich znajomych, Don Goren.

— *Syn Bajgelmana był ze mną w jednej klasie w gimnazjum Kacenelsona. Był świetnym muzykiem, grał na saksofonie. Nie ukończył gimnazjum i zaczął grać. Bo tam nie było dosyć chleba w domu.*

W czasie okupacji Dawid Bajgelman znalazł się w łódzkim getcie. Jak możemy przeczytać w *Kronice Getta Łódzkiego*, był tam nadal aktywny artystycznie. Dokąd tylko było można, prowadził orkiestrę, występującą w domu kultury przy ul. Krawieckiej. Stopniowo zmniejszała się tylko obsada instrumentów.

Stosunkowo szybko zamarły spotkania literackie z udziałem młodych talentów u Miriam Ulianower. Choć starsi pisarze spotykali się u niej nadal, Abraham Cukiert już w domku przy ul. Jakuba nie bywał

— *Przyszła zima* — wspominał. — *Z początku kilo kaszy, które jako rację w getcie trzeba było wykupić za 54 fenigi, sprzedawało się na Jojne Pilicers Plac za 15, 20 fenigów. Nagle, gdzieś w październiku, kiedy zimno się zrobiło i racje stały się mniejsze, kilo kaszy kosztowało 2 marki, 5 marek, 10 marek. W ciągu tygodnia ta kasza, którą się kupiło za 30 fenigów, zaczęła kosztować 10 marek. A potem już nic nie było. I wtedy już się rozpadło to u Ulianower...*

* * *

Zarówno Dawid Bajgelman, jak i Miriam Ulianower, zostali wywiezieni jesienią 1944 roku do Oświęcimia. Oboje, jako ludzie starsi, mieli mało szans na przetrwanie selekcji. Zginęli w komorze gazowej bezpośrednio po przyjeździe do obozu.

Abraham Cukiert jechał tym samym transportem, co Dawid Bajgelman. Pamięta moment w którym się pożegnali:

Jak żeśmy zeszli z wagonów, Bajgelman zwrócił się do mnie: „Masz kogoś na tamtym świecie? Oddam mu ukłony”. I to było ostatnie, co go widziałem. On wiedział. Ja byłem bardzo naiwny, ale on wiedział.

Niemiecka karta

MIECZYSLAW GUMOLA

Zamknięty rozdział



fot. Piotr Zdrzynicki

Przed II wojną światową w ponad 600-tysięcznej Łodzi mieszkało około 60 tysięcy Niemców. W XIX w. bywało, że stanowili oni nawet 2/3 jej mieszkańców.

Niemcy odgrywali w historii Łodzi szczególnie ważną rolę. To przecież oni budowali zręby Łodzi przemysłowej, zakładali fabryki, wznosili domy, kościoły, szpitale i pałace oraz tworzyli najrozmaitsze stowarzyszenia — bractwa kurkowe, organizacje kościelne, zespoły śpiewacze, straż ogniową — bowiem oprócz zdolności organizacyjnych mają wrodzoną, jak się wydaje, predyspozycję do zrzeszania się i wspólnego działania. Rosjanie — czujni i niechętni wobec jakiegokolwiek inicjatywy polskiej — im specjalnie nie przeszkadzali. Niemcy uznawali bowiem, że władzę należy szanować i słuchać jej, co w różny sposób okazywali carskiej zwierzchności. Zastali tę władzę, kiedy osiedlali się w Łodzi, otrzymali od niej rosyjskie paszporty i uznawali ją za tak samo ważną jak władza w innych krajach, nie zaś za zaborczą, narzuconą siłą.

Mijały dziesięciolecia. Polacy, pomimo różnic usposobień i charakterów, nie najgorzej układali sobie życie ze „Szwabami”. Określenie to było z jednej strony łódzkim przezwiskiem Niemców, z drugiej zaś niczym specjalnie obraźliwym, jako że przywędrowali oni do Łodzi również ze Szwabii.

Zakręty historii

„Zawirowania” w istniejącym układzie spowodowała I wojna światowa. Żołnierze niemieccy stacjonujący przez kilka lat w mieście „Łodz”, które stało się sławne dzięki bitwie stoczonej w 1914 r. w jego pobliżu, ku swojemu zaskoczeniu odkrywali, że mieszkający tu Polacy, mówiący po niemiecku, nie tyle są Polakami, co ich pobratymcami. Ci zaś byli dumni z tego, że armia cesarza Wilhelma odnosi zwycięstwa i stacjonuje w mieście, w którym mieszkali od dziesięcioleci. Z drugiej jednak strony widzieli, że przynosi to miastu coraz większy upadek. Okupanci nie bawili się w żadne sentymenty. Łupili fabryki niemieckie, polskie i żydowskie, rabowali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Na koniec doszło do ostatecznej kompromitacji butnej armii w pikielhaubach — Niemcy skapitulowały w połowie listopada 1918 r., a ich żołnierze dawali się rozbrajać na ulicach Łodzi polskim harcerzom, spośród których jedyny poległy, pochowany na cmentarzu ewangelickim, choć Polak i uczeń polskiego gimnazjum, nosił niemieckie nazwisko — Linke.

Utworzenie Polski niepodległej stworzyło konieczność określenia się przez łódzkich Niemców. Mieli oni do wyboru — albo przyjąć obywatelstwo polskie, albo pożegnać się z Łodzią. Wybierali Polskę — również ci, którzy po polsku prawie nie mówili, ale którzy na dobrą sprawę nie mieli dokąd i po co się z niej przenosić.

Dwudziestolecie międzywojenne nie było wolne od napięć, ale Niemcy i Polacy, we własnym interesie, musieli i umieli się dogadywać. Oto jeden z przykładów. Największe, poza granicami Niemiec, gimnazjum niemieckie znajdowało się w Ło-

dzi w gmachu przy alei Kościuszki 65. O tym pamięta się i dzisiaj. Mało kto natomiast wie, że jego dyrektorem w latach 1937-39 był Władysław Głuchowski, którego jeszcze po wielu latach z wdzięcznością wspominają dawni niemieccy uczniowie, widząc w nim wzór pedagoga i humanisty. Tymczasem Głuchowski, podobnie jak jego poprzednik — dyrektor Michejda — byli swego rodzaju „piorunochronami”; z jednej strony obserwowali z bliska wszystko, co się w tym gimnazjum działo i pilnowali w nim polskich interesów, z drugiej zaś pomagali rozwiązywać wiele ważnych dla funkcjonowania szkoły problemów wymagających zgody władz szkolnych i samorządowych.

Podcinanie korzeni

Wkroczenie wojsk hitlerowskich we wrześniu 1939 r. stało się końcem wielonarodowościowej Łodzi. Oznaczało tragedię dla Żydów i Polaków, ale było też początkiem klęski dla łódzkich Niemców, entuzjastycznie witających wkraczające oddziały Wehrmachtu. Nie wszyscy z nich wiwatowali na ulicach, niektórzy sercem byli po polskiej stronie, inni — starsi i doświadczeni — zachowali w pamięci wydarzenia sprzed dwudziestu kilku lat i obawiali się powtórzenia scenariusza z I wojny światowej. Kiedy w 1941 r. Hitler uderzył na Rosję, nie mieli już złudzeń co do ostatecznego wyniku wojny. Przewidywali nieuchronną klęskę wojsk niemieckich.

Niemcy łódzcy potraktowani zostali przez nowych władców miasta jako element wymagający dokładnego przefiltrowania i oczyszczenia z różnych polskich naleciałości. Uznano ich za obywateli drugiej kategorii, zarządzano wpis na listę narodowościową, tzw. volksliste, podzieloną na cztery kategorie. Odtąd miano „folksdojczy” stało się, w odróżnieniu od dawnego „Szwaba”, przezwiskiem naprawdę obraźliwym.

To miasto tolerancji, które uformowało typ człowieka kosmopolitycznego — „Łodzermenscha”, powiązanego interesami ze współmieszkańcami różnych narodowości, religii, wyznań i kultur, w latach II wojny światowej stało się swoją karykaturą — podcinało korzenie, z których wyrosło.

Z czasem coraz więcej łódzkich Niemców nabierało dystansu wobec porządków wprowadzanych w mieście, któremu odebrano dawną nazwę i przemianowano na Litzmannstadt. Ich moralne dylematy oraz różnice postaw w czasie okupacji nie znalazły odbicia w żadnych źródłach polskich. Nie dlatego, że ich nie było, ale dlatego, że przytłoczył je ogrom zbrodni popełnionych przez hitlerowców. A przecież była niemała grupa Niemców, zaprzyjaźnionych z rodzinami polskimi i pomagających im w różny sposób. Zdarzały się przypadki ostrzegania przed aresztowaniem, zatrudniania w celu ochrony przed wywózką na przymusowe roboty, pomocy materialnej. Łódzka księga „sprawiedliwych”, gdyby ją spisano, byłaby pasjonującą lekturą.

Nie zmienia to faktu, iż większość rozgrzeszała się uznając, że na nic nie ma wpływu, a wymaga się jedynie od niej posłuszeństwa i pracy aż do granic wytrzymałości. Minorowe nastroje pogłębiały nadchodzące coraz częściej do rodzin łódzkich Niemców wiadomości o śmierci najbliższych, których wcielono do niemieckiej armii, i o klęskach ponoszonych przez tę armię na wszystkich frontach.

Ucieczka

W styczniu 1945 r. nie powtórzyła się sytuacja z I wojny światowej. Wtedy łódzcy Niemcy nie obawiali się pozostać w Łodzi, teraz w panice z niej uciekali ze strachu przed nadchodzącymi Rosjanami i przed nienawiścią, jaką wobec nich zrodziły lata okupacji hitlerowskiej.

Rodziny fabrykanckie opuszczały miasto wiele miesięcy przed ofensywą, natomiast większość Niemców czekała posłuszenie do ostatniej chwili, a później przeżywała gorycz upokarzającej ucieczki — w pustkę i nieznane.

Tak kończył się szlak wędrowki, który przed stu kilkudziesięciu laty, w odwrotnym kierunku, przemierzali ich przodkowie. Wędrowali do Łodzi, w której pragnęli (jak później śpiewali) zbudować „dom i fabrykę”. Zbudowali je. Dorobili się majątków i fortun, żyli się z tym miastem i z czasem je pokochali.

Ich potomkowie, w trzecim i czwartym pokoleniu, opuszczali to miasto w panice i popłochu. Była to kompletna klęska. Kolejny raz Niemcy z Reichu nie przynieśli szczęścia swym łódzkim pobratymcom. Jednak tylko u nich mogli szukać teraz schronienia.

Uciekali do ojczyzny — Vaterlandu, który właściwie ich ojczyzną nigdy nie był. Prawdziwe strony rodzinne — Heimat — pozostawały w Polsce; pozostawała w niej Łódź, ich miasto rodzinne — Heimatstadt. Oddalali się od niej z każdą godziną wędrowki, ze świadomością, że opuszczają ją na zawsze.

Po wojnie niektórzy Niemcy, z różnych powodów, pozostali w Łodzi. Uważali, że mają czyste sumienie, niczego niegodnego w minionych latach nie popełnili, więc nie mają powodów do obaw. Bywało różnie — często cierpieli za winy innych.

Powojenne losy Niemców, w tym łódzkich, zostały starannie udokumentowane w Republice Federalnej Niemiec. Natomiast nikt nie spisał relacji o pomocy, jakiej w tych trudnych dla nich chwilach udzielali im polscy sąsiedzi i zaprzyjaźnione z nimi polskie rodziny. Kiedyś, w czasach stalinowskich, opisy takie byłyby przysłowiową niedźwiedzią przysługą. Obecnie dobrze byłoby, dla prawdy historycznej, aby takie relacje powstały — zanim odejdzie pokolenie pamiętające tamte wydarzenia.

Kolejny rozdział dziejów Niemców łódzkich zapisany został nad Sprewą i Renem. Jest on w Łodzi nieznanym. Przedstawię go w następnym numerze „Kroniki”.

Życie filozoficzne Łodzi międzywojennej

Gdy pada pytanie dotyczące kwestii postawionej w tytule tego szkicu, wiele osób — często nieźle zorientowanych w problematyce — skłonnych jest twierdzić, że owo filozoficzne życie, jeśli nawet istniało, to w postaci zalążkowej i nie odgrywało żadnej zauważalnej roli w kulturze i nauce ówczesnej Łodzi. Z takiego przekonania bierze się skłonność do traktowania międzywojennej Łodzi jako filozoficznej pustyni. Zwolennicy takiego stanowiska powołać się mogą na niebłahe argumenty, takie jak nieobecność w naszym mieście wyższej uczelni z prawdziwego zdarzenia czy brak periodyków poświęconych, choćby w części, problematyce filozoficznej. Mogą także dodać, że w ogóle łódzka inteligencja słabiej zaznaczała swą obecność w życiu miasta niż to miało miejsce w innych ośrodkach o bogatszej tradycji.

Takie widzenie problemu — jestem o tym głęboko przekonany — jest niepełne i zniekształca przeszłość. Bierze się ono, być może, z lekceważenia własnej tradycji, niedostrzegania dorobku własnego miasta pod nierzadko używanym pretekstem, że w tym mieście nic ważnego dla kultury i nauki zrobić się nie da. Spróbujmy więc przełamać te stereotypowe, a moim zdaniem — w sferze, o której tutaj mówimy — nie całkiem uzasadnione przekonania i opinie.

1 Twierdzenie, że Łódź w okresie po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. nie dorobiła się, pomimo licznych starań, samodzielnej wyższej uczelni jest prawdziwe. Zarazem jednak podejmowane w tym zakresie próby doprowadziły do pewnych rezultatów. Wskazać należy, że w latach 1921-27 funkcjonował w naszym mieście Instytut Nauczycielski, placówka przeznaczona dla dokształcania nauczycieli. Instytut ten nie miał wprawdzie praw wyższej uczelni, organizowano w nim jednak wykłady z rozmaitych przedmiotów — w tym także z filozofii. Z uczelnią tą związani byli m.in.: Adam Zieleńczyk (1880-1943), historyk filozofii (uczeń W. Windelbanda), znawca filozofii niemieckiej, tłumacz prac Fichtego i Hegla; Stefan Błachowski, znany psycholog ze szkoły Kazimierza Twardowskiego czy też pedagog Zygmunt Mysłakowski. Organizowane w tej placówce wykłady z filozofii (i dyscyplin pokrewnych) miały jednak charakter nieregularny, zaś wspomniani wybitni wykładowcy dojeżdżali do Łodzi¹.

Inna uczelnia, działająca w Łodzi w okresie 1924-28, tj. Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i Ekonomicznych, niczym nie wzbogaciła życia filozoficznego miasta. Przełomowe znaczenie miało natomiast powołanie w 1928 r. Oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej². Uczelnia ta wywodziła się jeszcze z Towarzystwa Kursów Naukowych i w niepodległej Polsce, od 1919 r., funkcjonowała pod tą właśnie nazwą. Oddział Łódzki WWP, z siedzibą przy ulicy Nowotargowej 24 (obecnie Sterlinga) — funkcjonujący od roku akademickiego 1928/29 — miał 3 wydziały: Humanistyczny, Pedagogiczny oraz Nauk Politycznych i Społecznych. Wydział Humanistyczny prowadził trzy rodzaje studiów w zakresie historii, polonistyki i filozofii. Problemem dla Wolnej Wszechnicy Polskiej był brak pełnych uprawnień szkoły wyższej. Uczelnia ta (a tym samym i oddział łódzki) otrzymała uprawnienia prywatnej wyższej uczelni dopiero w roku 1933. Stopniowo też uzyskiwała prawo do nadawania stopni magisterskich. W zakresie filozofii prawo to przyznane zostało dopiero w roku 1937.

Ponieważ jednak od początku w łódzkim oddziale Wszechnicy istniały studia filozoficzne, oznaczało to, że wielu filozofów prowadziło zajęcia w Łodzi. Wymienić należy: **Ignacego Halperna-Myślickiego**, **Benedykta Bornsteina**, **Wiktora Wąsika**, **Sergiusza Hessena**, wspomnianego już **Adama Zieleńczyka**, a także **Narcyza Łubnickiego** i **Bogumiła Jasinowskiego**. Filozofowie ci, poza N. Łubnickim, dojeżdżali z Warszawy.

I. Halpern-Myślicki (1874-1935) wykładał w Łodzi w latach 1928-35. Był on wykształconym w szkole W. Diltheya historykiem filozofii, znawcą i tłumaczem Spi-

¹ Zajęcia z zakresu filozofii prowadziły też osoby związane z Łodzią. Trudno mówić jednak o systematycznych wykładach z zakresu tej problematyki. W programie na rok 1922/23 znajdujemy m.in. następujące wykłady: dr M. Odrzywolski, *Filozofia współczesna*, dr A. Holzberger, *Historia filozofii*, dr S. Kopciński i dr M. Odrzywolski, *Psychologia*.

² Na temat działalności łódzkiego oddziału WWP por.: K. Baranowski, *Oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi 1928-1939*, Warszawa-Łódź 1977, *passim*.

nozy. Benedykt Bornstein — filozof wykładający przez cały okres łódzki Wszechnicy logikę i metafizykę, to oryginalny uczony o skłonnościach spekulatywnych. W pierwszym okresie swej twórczości zajmował się myślą I. Kanta. Później przeszedł do refleksji budującej własny system metafizyczny. Chciał wykorzystać do tego algebrę Boole'a, której aksjomaty i twierdzenia poddawał interpretacji geometrycznej (logika geometryczna). Logika ta miała, w przekonaniu Bornsteina, umożliwiać uchwycenie logicznej struktury rzeczywistości. Wiele lat później pisał o nim L. Kołakowski jako typie człowieka o: „nadzwyczajnej erudycji i pomysłowości filozoficznej, dziś zdaje się całkiem a niesłusznie zapomnianym”³. W. Wąsik, wykładający od roku 1932/33 historię filozofii i pedagogikę, prowadził badania nad filozofią polską. Jest autorem poważnej monografii o Petrycy z Pilzna. Z łódzkim oddziałem miał także od połowy lat 30. łączność S. Hessen. Ten wybitny uczony, wydany z Rosji Radzieckiej w 1922 r., przebywał najpierw w Czechosłowacji, a potem w Polsce. Czerpał on z dwu źródeł inspiracji. Jednym była filozofia neokantyzmu niemieckiego, drugim zaś zorientowana religijnie „metafizyka wszechjedności” W. Sołowjowa. Zajmował się w swej pracy naukową pedagogiką, filozofią prawa i historią idei.

B. Bornstein, W. Wąsik i S. Hessen zastali po drugiej wojnie profesorami Uniwersytetu Łódzkiego. Z oddziałem łódzkim Wszechnicy związani byli także wspomniani już A. Zieleńczyk, N. Łubnicki — jeden z nielicznych filozofów zamieszkałych w Łodzi — oraz w pewnym okresie B. Jasinowski (1930/1931), późniejszy profesor USB w Wilnie. Nadto wykładowcami psychologii byli m.in.: **Jakub Segal**, **Albert Dryjski** oraz zasłużona dla Łodzi **M. Karpińska-Woyczyńska**. Wspominam tutaj psychologów, ponieważ byli to wówczas na ogół filozofowie wybierający specjalizację psychologiczną. Psychologia ówczesna nie stanowiła jeszcze dyscypliny całkowicie oddzielonej od filozofii.

2 Studia filozoficzne w Łodzi wybierało niewiele osób. Program natomiast, po pewnych zmianach, przypominał programy uczelni państwowych. Faktyczna ilość studiujących filozofię nie przekraczała nigdy kilkunastu osób, magisteria zaś zdobyło zaledwie kilka, co spowodowane było późnym uzyskaniem uprawnień do przyznawania stopni magisterskich. Program studiów obejmował 5 obowiązkowych egzaminów. Cztery obowiązywały wszystkich: logika i metodologia nauk, psychologia, historia filozofii starożytnej i średniowiecznej oraz historia filozofii nowożytnej. Piąty przedmiot egzaminacyjny wybierało się z obszernej grupy przedmiotów.

Należy dodać, że łódzka Wszechnica nie tylko kształciła, lecz także inicjowała cykle odczytów publicznych popularyzujących wiedzę. Odbýwały się one w ramach *Collegium Publicum*, które organizowało je w siedzibie Rady Miejskiej. Wśród

³ Por. L. Kołakowski, *Diabeł kłamie również, kiedy mówi prawdę*, (w:) *Honoris causa. Księga pamiątkowa dla uczczenia aktu nadania profesorowi Leszkowi Kołakowskiemu honorowego doktoratu Uniwersytetu Łódzkiego*, Łódź 1994, s. 17.

prezentowanych odczytów były też takie, które obejmowały problematykę filozoficzną.

3 Życie filozoficzne Łodzi toczyło się również w stowarzyszeniach⁴. Szczególnie bogatą działalność prowadziły instytucje i stowarzyszenia o profilu psychologicznym, które jednocześnie podejmowały problemy *stricte* filozoficzne. Pamiętać przy tym należy, że w Łodzi, począwszy od 1919 r., funkcjonowała Miejska Pracownia Psychologiczna kierowana przez M. Karpińską-Woyczyńską. Towarzystwo Psychologiczne, powstałe w 1931 r., odbyło do wybuchu wojny kilkadziesiąt posiedzeń. Jego celem było „szerzenie i rozwijanie psychologii teoretycznej i praktycznej”. Siedziba Towarzystwa Psychologicznego mieściła się przy ulicy Wółczańskiej 17.

Najbardziej znani jego działacze to: **M. Więckowska**, dr **H. Ormian**, dr **W. Jakobson**. Problematyka odczytów dotyczyła rozmaitych działów psychologii, także tych mających walory praktyczne w sferze pedagogiki czy wymiaru sprawiedliwości. Co godne odnotowania, w czasie odczytów podejmowano m.in. problemy psychoanalizy, która nie była na ogół przedmiotem zainteresowania ówczesnej psychologii uniwersyteckiej. Problematyką filozoficzną zajmował się zwłaszcza N. Łubnicki (problem psychofizyczny, zagadnienie celowości), uczony o wykształceniu tak psychologicznym, jak i filozoficznym.

Stowarzyszeniem o charakterze wyraźnie filozoficznym był oddział łódzki Societas Spinozana Polonica, działający od 1935 r.⁵ Organizacja ta korzystała z siedziby ówczesnego oddziału WWP i zrzeszała 20-30 osób. Do wybuchu wojny zorganizowała 30 posiedzeń naukowych. Przewodniczącym oddziału był ówczesny adiunkt oddziału Wszechnicy Polskiej dr N. Łubnicki. Wśród autorów odczytów znajdujemy m.in.: **B. Bornsteina**, **S. Czajkowskiego**, **T. Kotarbińskiego**, **A. Landmana**, **I. Halperna-Myślickiego**, a także znanego po wojnie i zasłużonego filozofa belgijskiego **Ch. Perelmana**. Jedno ze spotkań w 1938 r. poświęcono pamięci K. Twardowskiego.

Członkowie stowarzyszenia myśleli o przekształceniu go w Łódzkie Towarzystwo Filozoficzne. Zamiar ten jednak do wybuchu wojny nie został zrealizowany.

Działalność wymienionych instytucji nie wyczerpuje bynajmniej wszystkiego, co w zakresie filozofii działało się w Łodzi międzywojennej. Problematykę filozoficz-

⁴ Informacje o działalności stowarzyszeń filozoficznych i pokrewnych znaleźć można w redagowanym przez prof. K. Twardowskiego, a wówczas wydawanym we Lwowie, „Ruchu Filozoficznym”. Por. tomy VI—XV, obejmujące cały okres międzywojenny.

⁵ Stowarzyszenie to powstało w Warszawie w roku 1935. Posiadało prawo zakładania oddziałów, zaś jego celem było propagowanie myśli Spinozy. Filozofami działającymi w Societas Spinozana Polonica byli m.in. I. Halpern-Myślicki i E. Frauenglas. Stowarzyszenie zrzeszało także przedstawicieli lewicowej inteligencji. Jego działaczem był m.in. W. Barcikowski, po wojnie I Prezes Sądu Najwyższego (1952-56).

na podejmowały okazjonalnie inne jeszcze organizacje społeczne: katolickie i świeckie, ogólnokulturowe i polityczne. Spotkania poświęcone były np. rocznicom śmierci filozofów (Spinoza, Hobbes). Niekiedy wykładawcami byli znani filozofowie, np. oprócz już wymienionych — W. Tatarkiewicz⁶.

4 Wymienione wyżej instytucje i stowarzyszenia oraz podejmowane przez nie przedsięwzięcia dowodzą, że problematyka filozoficzna znajdowała miejsce w działalności ówczesnych placówek naukowych, oświatowych i kulturalnych. Jeżeli jednak mówi się o słabo zauważalnej obecności filozofii w Łodzi, to należy wziąć pod uwagę fakt, że niewielu z wymienionych tu filozofów mieszkało na stałe w tym mieście. Nadto część osób o formalnie filozoficznym wykształceniu zajmowała się *de facto* psychologią. Tym bardziej warto więc przypomnieć nazwiska kilku filozofów zamieszkałych na stałe w Łodzi.

* Dr **Stanisław Czajkowski** (1904-61, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego i Sorbony, był historykiem filozofii, zwłaszcza nowożytnej francuskiej. Jego zainteresowania obejmowały myśl Kartezjusza, Malebranche'a oraz Maine de Birana. Publikował prace z tego zakresu na łamach „Przeglądu Filozoficznego” i „Kwartalnika Filozoficznego”.

* Dr **Narcyz Łubnicki** (1904-84), mieszkał w okresie międzywojennym w Łodzi. Ukończył Wolną Wszechnicę Polską, doktoryzował się natomiast na Sorbonie u A. Lalande'a, pisząc pracę pod tytułem *Critique des éléments fondamentaux de la doctrine kantienne* (1929). N. Łubnicki był asystentem w Katedrze Logiki i Metodologii oddziału Wszechnicy w Łodzi. W 1934 r. wydał pracę habilitacyjną *Zasady ekonomii w świecie krytyki epistemologicznej*. Jego habilitacja nie została do wybuchu wojny sfinalizowana. N. Łubnicki był uczestnikiem Polskiego Zjazdu Filozoficznego w Krakowie w 1936 r., gdzie wygłosił referat pt. *Podstawowe momenty światopoglądu pozytywistycznego*⁷.

* **Hersz Rundstein** (1909-?), studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem T. Kotarbińskiego, kształcąc się równocześnie w Instytucie Judaistycznym. Zajmował się problemami myśli M. Majmonidesa, Filona z Aleksandrii oraz B. Spinozy. Publikował m.in. w „Przeglądzie Filozoficznym”.

* Dr **W. Jakobsonówna**, działaczka Towarzystwa Psychologicznego, interesowała się psychoanalizą Adlera i Freuda. Wygłosiła wiele odczytów na ten temat.

⁶ W. Tatarkiewicz gościł w Łodzi na zaproszenie Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych 1 XII 1938 roku. Wygłosił wówczas odczyt „Poezja i proza”.

⁷ Wśród uczestników ogólnopolskich zjazdów filozoficznych znajdujemy niewielu zamieszkałych w Łodzi. W I zjeździe lwowskim (1923) nie było łódzian w ogóle, w drugim warszawskim (1927) uczestniczyły dwie osoby, w trzecim krakowskim (1936) także dwie.

* Dr **Maria Karpińska-Woyczyńska**, wspomniana już wcześniej, doktoryzowała się z filozofii w Zurychu. Była docentem Uniwersytetu Warszawskiego. Przez pewien czas w okresie międzywojennym mieszkała w Łodzi. Wiele lat kierowała Miejską Pracownią Psychologiczną.

5 Wydaje się, że kontakty wielu filozofów z Łodzią miały wpływ na pewną atmosferę w środowiskach inteligencji, a także w środowiskach decyzyjnych miasta. Można zastanawiać się, czy bez tej widocznej obecności filozofów możliwe byłoby przyznanie K. Twardowskiemu Nagrody Miasta Łodzi dla Nauki Polskiej w roku 1936. Nagroda przyznana „za całokształt jego wybitnej pracy naukowej w dziedzinie filozofii” odbiła się znacznym echem w ówczesnej prasie krajowej, zwłaszcza lwowskiej i warszawskiej. Z powodu choroby Profesora Twardowskiego przedstawiciele miasta wręczyli mu ją we Lwowie. Wygłaszając z tej okazji przemówienie, laureat powiedział m.in.:

Jak każda okolica i każdy krajobraz, tak też każde miasto ma swoją fizjognomię, będącą wyrazem jego charakteru. Są miasta tchnące tradycją historyczną i wspomnieniami przeszłości, są miasta żyjące gorączkowym tętnem współczesności, są miasta ponure i miasta pogodne, miasta smutne i miasta wesołe. Otóż Łódź jest miastem, z którego wieje jakaś osobliwa powaga, a tę powagę swoją zawdzięcza Łódź temu, że jest miastem pracy. Praca wyciska na mieście Łodzi swe piętno, praca jest jego najistotniejszą cechą, praca czyni je tak cennym klejnotem w koronie miast polskich⁸.

Słowa te wypowiedział wybitny filozof, założyciel szkoły lwowsko-warszawskiej, której stulecie ufundowania w bieżącym roku obchodzimy. Czy nie jest znaczące, że to właśnie ten wybitny umysł dostrzegł w naszym mieście coś, czego my nie widzimy lub dostrzec nie chcemy?

* Część drugą szkicu R. Kleszcza, obejmującą lata 1945-56, w następnym numerze „Kroniki”.

⁸ Cyt. za R. Jadcza, *Kazimierz Twardowski. Twórca szkoły lwowsko-warszawskiej*, Toruń 1991, s. 139.

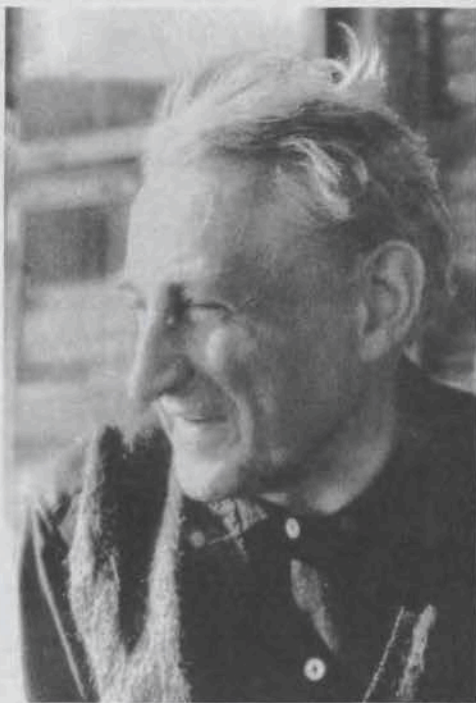
Ostatni, który zbierał pieczarki na ulicy Piotrkowskiej...

Łódź i łodzianie
w życiu i twórczości Jana Sztaudyngera

Pod koniec życia Ojciec tak pisał: *Jestem człowiekiem szczęśliwym. Los wprawdzie miotał mnie okrutnie po całej Polsce, ale bronilem się przed nim miłością. Kocham Warszawę, gdzie rodzina moja wypisała sobie tak piękną kartę. Kocham Kraków, który mnie urodził i przez ćwierć wieku szkolił i kołysał. Kocham Poznań, któremu zawdzięczam żonę i córkę. I Łódź, gdzie mi się urodził syn i wnuczka. I gdzie pieczarki zbieram na ulicy Piotrkowskiej...*

Wróćmy jednak do początków, do pierwszych powojennych lat.

Zaraz po wyzwoleniu jesienią 1944 r. Ojciec rozpoczął organizowanie ruchu lalkarskiego w resorcie kultury i sztuki Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie. Utworzył Towarzystwo Przyjaciół Teatrów Lalek (15 listopada 1944 r.). Pomagał Bolesławowi Kleniewskiemu zorganizować pierwszy po wyzwoleniu teatr lalek. Była to kontynuacja działalności przedwojennej, poznańskiej, gdzie wydał pierwszą w literaturze polskiej książkę o teatrze lalek pt. *Marionetki* (1938), 7 numerów pisma „Bał u lał” (1938-39) i wykladał na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego na temat: Teatr lalek i jego wpływ na literaturę polską.



Zakopane 1965
fot. prof. Julian Aleksandrowicz

W lutym 1945 r. redakcja „Zielonego Sztandaru”, w którym pracowała Mama, została przeniesiona do Łodzi. I tak zamieszkaliśmy przy ul. Żwirki 1c m. 6 w Łodzi.

Ojciec w pierwszych latach pracował w Wydziale Kultury i Sztuki Wojewódzkiej Rady Narodowej. Następnie (1950-53) redagował z Mamą pismo „Teatr Lalek”. Był to obszerny, około 100 stron liczący, dużego formatu kwartalnik, bogato ilustrowany, informujący o bujnym rozwoju teatrów lalek oraz zajmujący się zarówno teorią ruchu lalkarskiego, jak i sprawami technik lalkowych oraz repertuarem teatrów.

Ojciec walczył o pozycję lalkarstwa w powojennej Polsce jak umiał, nawet w 1950 r. skierował duży memoriał do ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza, w którym pisał:

W niewiarygodnie krótkim czasie powstało u nas szereg świetnych teatrów lalek, które niekiedy dawały dzieła o zdumiewającej doskonałości o znaczeniu już nie polskim, ale europejskim, teatrów, których wysoki, najwyższy w Europie poziom nappełnił ostatnio Czechów podziwem i znalazł wyraz w całym szeregu entuzjastycznych wypowiedzi na łamach zagranicznych pism fachowych. Mimo to milczałbym, przyzwyczajony do lekceważenia całej tej dziedziny, która od lat porywa swoim czarem, swoją demokratycznością, prostotą i dostosowaniem do najprymitywniejszych warunków wielu pracowników teatru, gdyby nie to, że widzę tutaj... nie tylko szkodę lalkarzy, ale szkodę młodego widza i samego Państwa.

Niestety, z nastaniem w Ministerstwie Kultury i Sztuki Henryka Jurkowskiego i narastającym terrorem stalinowskim rozpoczęła się likwidacja niezależnych teatrów lalek. Na pierwszy ogień poszedł Wileński Teatr Łątek. Kiedy Ojciec pisał i mówił w jego obronie, Henryk Ryl, dyrektor teatru Arlekin w Łodzi, oświadczył: *Dr J. Sztudynger popierając „Łątki” dowodzi, że ma zły gust. Marionetki to technika burżuazyjno-kapitalistyczna, bo w ZSRR marionetek nie ma.* Twierdzono: *Teatr Łątek nie pasuje do sieci teatrów w Polsce zaplanowanej przez ob. H. Jurkowskiego z MKiSz.* A sam, obecnie profesor, Henryk Jurkowski pisał: *Czy p. Totwen musi robić teatr? Przecież ukończyła wydział architektury, a Leon Schiller pod koniec życia nie pracował w teatrze.*

Następną „jedyną słuszną decyzję” podjęto w sprawie pisma „Teatr Lalek”, którego redakcję odebrano Ojcu w 1953 r.

Zastanawiam się często, jak potoczyłoby się życie naszej rodziny, gdyby na początku lat 50. tak skutecznie nie obrzydzono Ojcu spraw teatru lalek. Czy aby nie wyrządzono Ojcu i nam największej przysługi? Ojciec wrócił bowiem do pracy literackiej. W 1954 r. wydał pierwszy tom fraszek *Piórka*, a potem prawie co roku następne tomiki wierszy i fraszek. Uznanie czytelników i słuchaczy na licznych wieczorach autorskich, popularność fraszek, wynagrodziły mu chyba zawód jaki sprawili lalkarze. Stał się sławny, lubiany, stale cytowany i poprawiły się nieco nasze warunki materialne. Jednak zawód, jaki zgotowali mu lalkarze i

nadgorliwi urzędnicy Ministerstwa Kultury i Sztuki, był ciosem, od którego zaczęły się choroby i z którym nie mógł się pogodzić do końca życia. Nie chciał znać Henryka Ryla i dyrektora Jurkowskiego. Ostatnie 16 lat to stałe choroby i szpitale, w których był 20, czy nawet 21 razy. Napisał gorzką fraszkę:

*Nic tak serca nie studzi
Jak poznawanie ludzi.*

Żegnając swoją wielką życiową pasję wrócił do liryki i pisał:

O lalki, lalki...

*O lalki, lalki, lalki pełne czaru
W miłości do was nie miałem umiaru...
I waszym wdziękiem do głębi wstrząśnięty,
Zwiedzałem miasta, kraje, kontynenty,
Bez butów, sławy... zapatrzony w halki
Nie żywych lalek, lecz w prawdziwe lalki.*

* * *

Jakkolwiek sprawy teatrów lalek zawsze żywo Ojca interesowały, w istocie był poetą i satyrykiem. W Łodzi szybko się zaaklimatyzował i polubił zarówno miasto, jak i większość nowo poznanych ludzi.

Sympatia do Łodzi nie przeszkadzała Tacie w spojrzeniu satyrycznym. Pisał:

Jak długo

*Jak długo będziemy czuć
Miłość do Łodzi i ... Łódź?*

Największa troska

*To największą w Łodzi troską,
Aby Łódź całą zmieścić na Piotrkowską.*

Po remontach tylko fasad kamienic przy Piotrkowskiej pisał:

Na odmalowaną Piotrkowską

*Kryć czarne zady w jasne fasady
Oto zasady łódzkiej parady.*

O ciągłych zmianach nazw ulic w Łodzi powstała fraszka:

Dusza miasta

*Ojcowie miasta,
Pamiętajcie o tym:
Przejazd — Przejazdem,
I Nawrot — Nawrotem.
Te nazwy zmieniać się nie mogą
Nigdy i dla nikogo.*

Zwalczał palenie i papierosy we fraszce:

Prośba o „Bezdymkę”

*Ojcowie miasta (mam trudności z rymem),
Stwórzcie kawiarnię rozwiedzioną z dymem,
Gdzie nas nie zawędzą jak wieprzowe szynki.
Mam dla niej nazwę — czy dobrą?
— „Bezdymki”!*

* * *

Ojciec miał łatwość nawiązywania znajomości i przyjaźni. Bardzo szybko zawarł w Łodzi szereg znajomości, które często przeradzały się w przyjaźnię. Wiele z nich utrwalił we fraszkach:

Na Horacego Safrina

*Spółdzielnia pracy:
Safrin i Horacy.*

Na dyrektora Postołowa

*Fraszek po sto łowię,
Drukuj, Postołowie!*

Pan Aleksander Postołow, wieloletni dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego, po przejściu na wcześniejszą emeryturę w 1968 r. zaprzyjaźnił się z Ojcem i przez ostatnie dwa lata przyjeżdżał często do nas do Zakopanego. Dorotka, moja córka, nazywała go dziadkiem. Wszyscy w naszym domu bardzo lubiliśmy tego pana pełnego delikatności, mądrości, ogromnie wykształconego i ocytanego, z dużym poczuciem humoru.

Malarz Feliks Turski był naszym sąsiadem (mieszkał na ulicy Wigury) i często grywał z Ojcem w szachy. Jedną z dedykacji nawiązywała do wybuchowego temperamentu i małych obrazków malowanych przez pana Turskiego:

*Awanturski — Miniaturski
Jednym słowem — Feliks Turski*

Niezapomnianą postacią był wybitny malarz i zapalony dyskutant Konstanty Mackiewicz. Był on częstym bywalcem Klubu Dziennikarza i prywatnej kawiarni „Honoratka” przy ulicy Moniuszki. Właśnie w „Honoratce” powstało szereg fraszek o malarzach:

O Konstantym Mackiewiczu

*Czym dla Wilna był Mickiewicz
Tym dla Łodzi jest Mackiewicz.*

„Honoratka” od roku 1972 stanowiła właściwie klub artystyczny. Dyskutowało się w „Honoratce” o nowościach literackich, omawiało ciekawe filmy i premiery teatralne. Właściciele tej kawiarni, państwo Bruzdzińscy, a specjalnie pani Stefania, przyjaźnili się ze stałymi bywalcami. Znali ich zwyczaje i dogadzali ich zachciankom. Kawa, herbata i napój żurawinowy miały w „Honoratce” smak przepyszny, a o szarlotce i serniku z bitą śmietaną czy torcie, najczęściej makowym, można by powiedzieć fraszkę:

*Kiedy widzę taki tort,
Żałuję, że nie mam trzech mord.*

Fraszka ta powstała co prawda na cześć tortu orzechowego, najlepszego jaki w życiu jadłam — dzieła pani Natalii Boryńcowej, żony wybitnego specjalisty „od włókien sztucznych”, profesora Politechniki Łódzkiej i wieloletniego dziekana Wydziału Włókienniczego Atanazego Boryńca, z którymi rodzice się przyjaźnili.

Do „Honoratki” przychodzili ludzie różnych profesji. Obok aktorów i reżyserów, takich jak Roman Polański, widywało się wielu uczonych. Częstymi bywalcami „Honoratki” byli państwo Halina i Jerzy Jaroniowie. On matematyk, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, później Politechniki Wrocławskiej, ona chemiczka. Tomik fraszek *Wiórki* jest dedykowany:

Pani Halinie Jaroniowej,

*zdradź chemię podłą,
matematykę nikczemną
ze mną*

Jan Sztaudynger

Stałym bywalcem „Honoratki” był dystyngowany, starszy już wówczas pan, malarz wiejskich pejzaży i miłośnik Kazimierza nad Wisłą, Kazimierz Pieniążek:

Na malarza Pieniążka

*Pieniążek to szczęśliwy gość
My wszyscy siebie mamy dość,
A jemu siebie wciąż za mało.
Więcej pieniążków by się zdało.*

Ojciec serdecznie zaprzyjaźnił się z Wacławem Kondkiem i Jerzym Nowosielskim, którzy byli w tym czasie związani z teatrem lalek (scenografie) i zajmowali się także stroną graficzną pisma „Teatr Lalek”. W rozmowach między Kondkiem a Ojcem stale przewijała się sprawa ewentualnych ilustracji Kondka do kolejnego tomu fraszek. Trudno teraz powiedzieć, dlaczego te projekty nie zostały zrealizowane. Pozostał jednak ich ślad w postaci pięciu akwarel Kondka z zapisanymi obok jego ręką fraszkami. Może zacytuje trzy fraszki, do których ilustracje szczególnie podobały się Ojcu:

*Nie jeden bubek na czole ma wyryte,
Że nie zna alfabetu oprócz czterech liter.*

*Jeśli dzieci wyrabiamy
To ze względu na ich mamy.*

Daltonista

*To co na czarną chował godzinę,
Wnet na różową wydał dziewczynę.*

Pamiętam, że akwarele te zachwyciły Ojca subtelnością rysunku, koloru i dziewczęcym wdziękiem portretowanych kobiet.

Oglądając kolejną wystawę prac graficznych Kondka, Ojciec pod podobizną pięknej Czarnej Pani napisał:

Wszystko do bani

*Z wyjątkiem tej Pani.
Ofiaruj mi ten wyjątek
Panie Wacławie Kondk.*

2 VI 1966 r. Jan Szaundynger

Rozmowom z Wacławem Kondkiem towarzyszył zawsze humor, prostota i niekonwencjonalne, a przy tym ostre sądy, co ogromnie pociągało mego Ojca i dlatego

widywało się razem obu panów, najczęściej w kawiarni „Fraszka”, a w późniejszych latach w Klubie Dziennikarza.

W bibliotece Kondka znajdują się kolejne tomiki wierszy i fraszek Ojca z żartobliwymi dedykacjami, na przykład wydane w 1970 r. *Rymy* mają zapis:

*Przesyłam panu, panie Kondk,
Wiersze dobre na żołądek.*

Korespondencja, zwykle na kartkach pocztowych, zawiera najczęściej życzenia z różnych okazji, np. z okazji nagrody artystycznej Łodzi dla Kondka. W zakończeniu serdecznych gratulacji widnieje dwuwiersz:

*Winszuję Ci laureacie,
Ja, co mam podarte gacie!*

20 I 1969 r. Jan Sztaudynger

Zachowało się także kilka kartek Ojca pisanych ze szpitala w Krakowie w czasie ostatniej choroby. Dwie z tych kartek dotyczą będących, niestety, nadal w rękopisie *Listów z Italii* Kondka. Ojciec zachwycał się zarówno literacką, jak i plastyczną formą *Listów* — Józefa do Wacława, to jest mistyfikacją polegającą na pisaniu do samego siebie. Kartki w tej sprawie adresował: Józef Wacław Kondk i pisał: *Drogi Kolego! Rozczytuję się w Pańskim tekście. Uwagi moje niezadługo przekażę. Szkoda, że nie ma wszystkich Pańskich rysunków, jak to nadawałoby smaku lekturze.*

Kraków, 13 VII 1970 r.

Ojciec całe życie marzył o podróży do Włoch. Lektura *Listów z Italii* pozwoliła mu choćby w imaginacji przenieść się ze szpitalnego łóżka do słonecznej Italii. W ten sposób Wacław Kondk pomagał Ojcu w oczekiwaniu na tę ostatnią, trudną podróż, o której Ojciec pisał:

*Nie boję się niebytu,
Boję się chwili tranzytu.*

W styczniu 1976 r., kiedy dowiedziałam się o przedwczesnej śmierci Wacława Kondka, żywo przypomniały mi się te drobne, ale jakże charakterystyczne ślady przyjaźni, zabarwione humorem i prostotą.

* * *

W latach 50. aktorzy łódzcy także zainkasowali porcję fraszek:

Na Leona Niemczyka

*Jedna używa grzebyka,
A druga Niemczyka.*

Fraszkę tę przekazał mi Mieczysław Szargan, poeta i aktor.

Na Alicję Raciszówną

*Na widok Alicji
Wołam Milicji,
Bo się boję
O serce moje.*

Na Przybyłę

*Talentu złota żyła:
Przybyła.*

Ojciec zachwycił się aktorstwem Przybyły, zwłaszcza rolą Napoleona, nie było więc w tej fraszce przesady.

* * *

Oczywiście najwięcej fraszek poświęcił kolegom — pisarzom. Zaśmiewając się opowiadał mi Włodzimierz Słobodnik swoją rozmowę z Ojcem na Festiwalu Poezji w Łodzi pod koniec lat 50. W przerwie obrad siedzieli w kularach, Słobodnik opowiadał o jakiejś uroczej pani, co zostało natychmiast skwitowane fraszką:

*Rozkosze nocne staruszka
To jasiek i poduszka.*

Kiedy na bankiecie po tymże festiwalu przystąpiono do wznoszenia toastu za zdrowie Mariana Piechała, który wtedy przenosił się do Warszawy, wypchnięto także Ojca, który powiedział:

*Wypijmy zdrowie Piechała,
Jakie to szczęście dla Łodzi, że się oddała.*

W antykwariacie łódzkim zakupiłam szereg książek mego Ojca, dedykowanych Piechałowi, m. in. *Krakowskie Piórka* z takim wpisem:

*Tom z Piechalem wymienilem
I 5 złotych zarobilem...*
Łódź, 15 VI 1959

Książka Piechala była o 5 zł droższa od tomiku Ojca. Inna dedykacja na *Piórkach z gór*:

*100% łodzianinowi
łodzianin 50%.*
2 III 1963

I pierwszy Ojca powojenny tomik wierszy *Strofy wrocławskie*:

Marianowi Piechalowi —

*Poecie
Z prośbą o przyjęcie i polubienie.*
Łódź, 15 IV 1948 Jan Sztaudynger

Nie wiem, czy ta prośba została spełniona.

O Annie Pogonowskiej, poetce mieszkającej w Łodzi, Ojciec napisał:

*Śluchamy zapatrzeni, patrzymy zasluchani,
Że takie piękne wiersze i takiej pięknej Ani.*

Kilka fraszek sytuacyjnych przekazał mi pisarz Bernard Sztajnert. Kiedy Sztajnert zaczął pracować w „SeMaForze” — wytwórni filmów lalkowych i animowanych — a było to w okresie jego poetyckiego debiutu, Tata zawołał:

*Zamiast wypiekać wierszy zakalce,
Lepiej pracować w „Lalce”.*

Inna fraszka do dwóch łódzkich poetów:

Couleur locale
*To są kolory łódzkiej liryki,
Sami Czarni i Czerniki.*

We fraszce mowa o Stanisławie Czerniku, subtelnym człowieku i poecie, wydawcy, który przed wojną redagował „Okolice Poetów”, a po wojnie założył Wydawnictwo Łódzkie.

Drugim adresatem fraszki jest Jan Czarny. Ojciec bardzo lubił Czarnego. Często dyskutowali o nowościach artystycznych i spierali się na tematy aktualne i literackie. Czarny był komunistą wrażliwym na nowe kierunki sztuki, a Ojciec piłsudczykiem, odpornym na mody literackie zarówno we własnej twórczości, jak i w ocenie utworów innych. Czarny — poeta, satyryk, prozaik i malarz w jednej osobie — nie przywiązywał większej wagi do swej twórczości satyrycznej i trochę jakby lekceważył fraszkę jako gatunek literacki, choć sam pisał świetne fraszki i aforyzmy. Obaj byli gwałtowni i dowcipni (także w życiu prywatnym, co nie zawsze jest cechą satyryków), ale w sporach Czarny był zwykle poważny, uparty, a nawet zasadniczy, a Ojciec wesoły, skłonny do paradoksu. Toteż dyskusje te były niekiedy bardzo ostre i zabawne, bo kiedy Janowi Czarnemu brakowało argumentów — irytował się, co Ojca bawiło i często kończył dyskusję fraszką. Jakże żałuję, że nie zapisywałam na gorąco tych sporów. Kilka jednak zapamiętałam. A więc sprawa fraszki jako gatunku literackiego stale powracała w rozmowach. Ojciec upierał się, że im fraszka krótsza tym lepsza, twierdził, że nie długość utworu świadczy o jego jakości, ale celność i dowcip, co zresztą zaraz zilustrował fraszkami:

*Słowa kunsztowne, słowa piękne bledną,
Wobec prostego, które trafia w sedno.*

W epoce

*W epoce płodnej tak w gaduły
Ja fraszką piszę artykuły.*

Szumi

*Szumi drętwa mowa
Jak muszla klozetowa.*

Ojciec, kiedy już na stałe przeprowadził się do Zakopanego, przyjeżdżając do Łodzi zawsze telefonował do Czarnego i umawiali się na rozmowy. Zachowało się kilka książek Ojca z dedykacjami dla Czarnego.

Wydany przez Czytelnik tomik *Krople liryczne* ma dedykację:

*Tę garść fraszek, garść przysłowi
Ofiarowuje Jan Janowi...*

Janowi Czarnemu

28 XI 1959

Jan Izidor Sztaudynger

Na tomiku *Wiórki* jest Ojca ręką napisane:

Janowi Czarnemu

*Czarusiu, czarne w tobie wszystko:
Włos, charakter i nazwisko.*

31 V 1966 Łódź

Kiedy po śmierci Ojca miałam kłopoty z uwagami redakcyjnymi do *Chwalipięty* (wspomnień spisanych w ostatnich miesiącach życia Ojca) pan Jan Czarny przez wiele dni czytał ze mną tekst i bardzo mi pomógł zwalczyć ingerencję redakcji. W tym czasie często nas odwiedzał i usiłował mnie pocieszyć po śmierci Ojca. Na imieniny 1972 ofiarował mi książkę, z dedykacją:

Dla kogo Polska?

*Nie dla idei
Lecz dla złodziei.*

Fraszka ta okazała się w latach 70. tragicznie celna.

* * *

Od 1954 r. Ojciec stale chorował, a w 1960 r. prof. Julian Aleksandrowicz rozpoznał u Ojca czerwienicę, która pomimo intensywnego leczenia przeszła w białaczkę. Jednak jakby na przekór tym doświadczeniom i ciężkim przeżyciom, poczynając od wydanych pierwszych *Piórek*, co roku ukazywał się nowy tom fraszek.

Fraszki były pogodne, pełne humoru i świetnie oddawały stosunek Ojca do życia:

Gdy siwy śnieg

*Gdy siwy śnieg na głowę prószy,
Przynajmniej w górę trzymaj uszy.*

Spokojnie przyjm

*Spokojnie przyjm cierpienie,
Nie potrwa nieskończenie.*

Postępek męski

*Postępek męski
Z uśmiechem witać klęski.*

Od 1961 r. Rodzice przenieśli się ostatecznie do Zakopanego, gdzie pod Skocznią odziedziczyli góralski dom po dziadkach. Ojciec miał jednak nadal silne związki z Łodzią. Właśnie w 1961 r. wydał tom fraszek *Łatki na szachownicy* — poświęcony Łodzi i regionowi łódzkiemu. A w nim wiersz:

*Kto Ciebie zna po wierzchu, niedbały przechodzień,
Kto tylko przez Piotrkowską przewleka się co dzień,
Ten niech nigdy o Tobie nie zabiera głosu,
Bo nie zna Twojej zadumy, piękna i patosu.
Topole tutaj pachną pod bokiem kominów.
Mury krwawe (bo ze krwi) biel zdobi jaśminów.
Jesteś szorstka jak dłonie chłopki spracowanej,
Ale oczy masz piękne. Więc zbieram kasztany,
Jakie mi w czapkę moją Tve rzucają drzewa
I kochając Cię cicho i dyskretnie... śpię.*

* * *

Przy ul. Żwirki jest tablica pamiątkowa z napisem:



fot. Sylwester Rzepka

Widziałem wielu takich wyznawców wolnej sztuki, niektórych nawet pijanych ze szczęścia

JÓZEF ROBAKOWSKI

Idą PROGRESYWNI

Łódzki ruch sztuki progresywnej niewątpliwie żyje i ma się dobrze (II Marcowe Gody, 17-18 marca 1995 r., Pałac Grohmana, Galeria 86, Muzeum Artystów). Ta żywa i pełna (ognistej) energii impreza wskazuje na to, że ostatnio w MIEŚCIE coś się ruszyło! Zaczęły, niezależnie od oficjalnych placówek kulturalnych, powoływać się samorzutnie tzw. NOWE MIEJSCA — Muzeum Artystów, interdyscyplinarna scena kina Charlie, różne kluby, Irish Pub, Fabryka, okazałe dyskoteki, jak Alcatraz, galeria w mieszkaniu J. Ciesielskiej oraz bardzo dobre wystawy np. GDAŃSZCZAN w Muzeum Artystów, spotkania międzynarodowe Candid Camera i wypadły artystyczne łodzian do Cardiff, Poznania i za chwilę do Gdańska... Rusza na nowo Galeria Wschodnia, wrócił z wygnania A. Kwietniewski, a w ogólnopolskiej telewizji (ART NOC) coraz częściej widzimy alternatywne programy Galerii Wymiany z cyklu UDERZENIE SZTUKI, prace Muzeum Łodzi Kaliskiej, J. Jóźwiaka, B. Konopki, M. Waśko, L. Czołnowskiego, Wspólnoty Leeieżec, R. Balińskiego, a ostatnio M. Zamenhoffa... Polskę (nie tylko) zaczyna fascynować ekscentryczna propozycja tzw. mody nieużytkowej, wymknąwszy się niepostrzeżenie zza murów Szkoły Plastycznej, która jeszcze do niedawna uchodziła za bardzo konserwatywną.



Małgorzata Potocka, z cyklu: Warty 1983
fot. A. Wyróżewski

Ta „świeża fala” przyszła niewątpliwie wraz z poczuciem wolności, ale nie tylko. Wydaje się pewne, że została przygotowana przez tzw. ruch progresywny (poszukujący), który ma bogatą tradycję w tym mieście. Tradycja ta wybita została teraz z wyjątkową mocą przez wielkie, na wskroś interesujące wystawy monograficzne **Strzebińskiego** i **Stażewskiego** oraz działalność aktualną wielu artystów, sympatyków sztuki, nawet urzędników. Postawa **progresywna** dzisiaj, w dobie rodzącej się wolności, ma wielką szansę realizacji i utwierdzenia. W związku z tym faktem przyszedł mi pomysł, aby z dzisiejszego punktu widzenia odszukać w szkicu intuicyjnym tę tradycję. Interesujące jest to, że musimy się cofnąć do 1919 r.; wtedy to właśnie zaczęła działać w naszym mieście pierwsza niezawisła od jakichkolwiek INSTYTUCJI grupa alternatywna pod nazwą „Jung Jidysz”, złożona z plastyków, muzyków, literatów i artystów teatru. W jej skład wchodził m.in.: M. Broderson, ideolog i twórca tego stowarzyszenia, dalej — J. Adler, I. (Vincent) Brauner, I. Braunerówna, H. Barciński, P. Lindenfeldówna, I. Kacnelson, M. Neuman, H. Kohn i inni. W pierwszym, bardzo interesującym (typografia ekspresjonistyczna) własnym periodyku manifestowali oni entuzjazm dla nowej sztuki następującymi hasłami:

**Wybijamy rytm istnienia,
z nami jest Bóg,
Bóg wieczności,
Piękno i wszelaka Prawda!
Za Sztukę!...**

Miejszem spotkań, narad redakcyjnych, koncertów i wieczorów poetyckich było najczęściej mieszkanie Braunerów (al. Kościuszki 29) oraz majątek rodziców tego rodzeństwa w Smardzewie pod Łodzią. „Jung Jidysz” nawiązał własnym sumptem wiele kontaktów międzynarodowych i ściśle współpracował z poznańskim Zrzeszeniem Artystów „Bunt”. Organizowali nieschematyczne wystawy i pierwsze interdyscyplinarne akcje artystyczne, np. w Sali Malinowej Grand Hotelu — wieczór poetycki SŁOWA, GŁOSU i TONU. W 1920 r. plastycy i młodzi poeci (A. Krasiniański, M. Braun, H.S. Płochocki) zredagowali nowe pismo artystyczne o ekscytującym tytule „Tańczący ogień”, opatrując je ekspresjonistyczną typografią (grafika i rysunek).

Od 1921 r. w ruch ten włączył się bardzo aktywnie K. Hiller, artysta otwarty na nowe prądy w sztuce, oraz W. Wandurski ściśle współpracujący z młodymi plastykami znanymi z ekspresjonistycznego Teatru Żydowskiego i Teatru Marionetek, w

którym już wcześniej pracował I. Brauner. Efektem tego wieloletniego działania tych kilku łódzkich artystów była dobrze zorganizowana w 1923 r. duża manifestacja alternatywna, czyli Międzynarodowa Wystawa Nowej Sztuki w sali łódzkiego „Kasy-na”. Brali w niej udział wybitni ekspresjoniści niemieccy, np.: Heckel, Schmidt-Rottluff, ale i wielu artystów polskich, jak np.: Rafałowski, Brauner, Stażewski, Hirszwang, Żarnowerówna, Szczuka, Hiller...

Kolejną wyjątkowo interesującą sytuację stworzyli tutaj (około 1930 r.)

**artyści z ugrupowania „a.r.”,
którzy działając właściwie na zasadzie desantu
weszli bez pardonu
w łódzkie środowisko artystyczne.**

Niewątpliwie inicjatorem tego przedsięwzięcia było małżeństwo Strzeмиńskich mieszkających w pobliskich Koluszkach. Grupa ta składając się z plastyków: K. Kobro, W. Strzeмиński, H. Stażewski, i poetów: J. Przyboś, J. Brzękowski, tworzyła na terenie Polski nowy progresywny układ mianując się „artystami rzeczowymi”. Dzięki dużej operatywności, żarliwości i niesłychanemu uporowi zorganizowali oni na terenie Łodzi pierwszą w Polsce Międzynarodową Kolekcję Sztuki Nowoczesnej, którą przy wydatnej pomocy przedstawiciela Magistratu, ławnika Przecława Smolika, zdeponowali w Muzeum Historii i Sztuki im. J. K. Bartoszewiczów. Było to wielkie zwycięstwo sił postępowych tego miasta. Silna, konserwatywna opozycja w postaci artystów zrzeszonych w ugrupowaniu RYNGRAF pod naciskiem oczywistych argumentów upadła bezpowrotnie. Kolejne „Komunikaty” ogłaszane przez „a.r.”, ich wyśmienite wydawnictwa, praca społeczno-pedagogiczna, systematyczne wykłady w lokalnym Instytucie Propagandy Sztuki zjednały Strzeмиńskim kolejnych zwolenników skupionych przy ambitnym wydawnictwie alternatywnym „Forma”. Samorzutnie zawiązało się nowe aktywne środowisko artystyczne, które tworzyli już doświadczeni artyści jak Hiller, Brauner, Strzeмиńscy, Wegner, Blonder, Menkesowa, Krauze, ale i bardzo młodzi jak J. Lewin czy S. Szczekacz. Ci ostatni zapowiadali swą twórczością (reprodukcje i wypowiedzi w czasopiśmie „Forma”) niespotykane przed II wojną światową rozwiązania plastyczne. Niestety **wojna** zniweczyła doszczętnie ich możliwości i gotowość artystyczną. Plastycy skupieni przy interdyscyplinarnym wydawnictwie „Forma” zostali rozproszeni po całym świecie, a K. Hiller i I. Brauner zginęli z rąk oprawców niemieckich.

Po wojnie dalej aktywnie działa Strzeмиński, pracując nad nową koncepcją „obrazów powidokowych”. Organizuje się z trudem nowe środowisko artystyczne, głównie związane z państwowymi szkołami artystycznymi.

Zaczynają obowiązywać SOCJALISTYCZNE rygory i zwyczaje

— upokarzanie wszelkich indywidualnych przejawów działalności. Strzeмиński musi zrezygnować z pracy pedagogicznej. Walczy jeszcze o niepodległość artysty J. Przyboś, charakteryzując postawę awangardową następującym tekstem: „to ugrupowania artystów, którzy świadomie uprawiają sztukę wyprzedzającą, uznaną sztukę swego czasu, przeciwstawiają się panującemu smakowi, rezygnują więc z natychmiastowego powodzenia u szerokiej publiczności, mierząc w przyszłość. Penetrując nieznanе dotychczas tereny uczuć i wyobraźni, przewartościowują istniejące upodobania i skłonności estetyczne, wnosząc w ocenę dzieł sztuki to, co zowie się «nową wrażliwością». Awangardową nazywa się więc sztukę nowatorską, antytradycjonalistyczną...” (J. Przyboś, *Sens poetycki*, Kraków 1963, s. 261).

Są to już lata 60. W Łodzi działa w rozproszeniu kilka bardzo interesujących indywidualności artystycznych: T. Tyszkiewiczowa, J. Krawczyk, S. Fijałkowski, L. Kunka, I. Pierzgalski, S. Wegner, K. Zieliński, L. Różga, T. Jaśkiewicz, S. Krygier, A. Łobodziński, A. Starczewski...

Nie potrafili oni jednak stworzyć samodzielnego i niezależnego środowiska artystycznego. Włączali się raczej chętnie w inicjatywy innych artystów (np. chętnie wystawiali w warszawskim Krzywym Kole). Podobnie rzecz się miała z filmowcami, muzykami czy ludźmi teatru. Kompletnie skłócone środowisko literackie nie proponowało niczego poza stereotypowymi działaniami w łonie silnego Związku Literatów. Prawie nikomu z tych twórców nie przyszło do głowy, aby zbudować tu, w Łodzi, gdzie przed wojną działały niezależne, progresywne ugrupowania „Jung Jidysh” i „a.r.” czegoś podobnego, uwolnionego od wpływów państwowych instytucji, związków zawodowych czy mecenatu państwowego. Dopiero

zasadniczą zmianę przynieśli artyści z zewnątrz. Mam tu na myśli członków grupy ZERO-61 z Torunia, którzy osiedlili się w Łodzi

w drugiej połowie lat 60. Grupę tę stanowili: W. Bruszewski (pochodzący jako jedyny z Wrocławia), J. Robakowski, A. Mikołajczyk i A. Różycki. Długoletnie interdyscyplinarne działania tego ugrupowania w Toruniu (film, fotografia, plastyka, teksty,

interwencje artystyczne) i duża operatywność organizacyjna w nieformalnym progresywnym ruchu na terenie całej Polski pozwoliły na szybkie zaadoptowanie się tych nikomu nieznanych w tym środowisku przybyszy. Ostatnim gestem „zerowców” w Toruniu była niecodzienna wystawa już grupy ZERO-69 pt. KUŹNIA, gdzie uczestnicy tego wystąpienia doszczętnie zdegradowali tzw. dzieło sztuki, powołując zastaną przestrzeń starej kuźni jako własny gest artystyczny. Następnym krokiem było stworzenie w Łodzi kolejnej grupy progresywnej w łonie Szkoły Filmowej pod nazwą WARSZTAT FORMY FILMOWEJ. Ten zespół absolwentów i studentów zaczął swą laboratoryjną pracę pod egidą Koła Naukowego, aby się oderwać od typowego programu nauczania. WARSZTAT — jako grupa o otwartym multimedialnym i badawczym programie — zaczął aktywnie działać od 1970 r. Akurat w tym samym czasie rodzi się alternatywny układ artystyczny łódzkich artystów. Działalność K. Zielińskiego, A. Łobodzińskiego, J. Trelińskiego, A. Pierzgańskiego i E. Partum odrywa się znacznie od tradycjonalistycznych gestów artystów związkowych (ZPAP) wystawiających najchętniej w Biurze Wystaw Artystycznych. Ważną rolę zaczyna odgrywać w młodym środowisku łódzkim praca pedagogiczna i artystyczna Z. Dłubaka — artysty warszawskiego, który zaczął prowadzić bardzo interesujące zajęcia z fotografii w Szkole Filmowej i Plastycznej. Otwierają się głowy studentów na inną jeszcze perspektywę rozumienia istoty sztuki. Jednak na ogół ten nowy vitalny ruch odbywa się poza programami oficjalnymi uczelni artystycznych. Ma on raczej charakter samokształceniowy.

W Łodzi pojawia się kolejna silna osobowość artystyczna, myślę tu o przybyłym z Krakowa Z. Warpechowskim. Zaznacza też swoją indywidualność E. Łazikowski. INNE MEDIA stają się obecne.

W Nowej Rudzie podczas Festiwalu Szkół Artystycznych dochodzi do ogólnopolskiej integracji artystów multimedialnych

chcących od tej pory pracować wspólnie. Powstaje cała bardzo skomplikowana sieć kontaktowa i sympatie programowe wiążące ludzi na całe lata. W Warsztacie Formy Filmowej powstaje (o charakterze laboratoryjnym, niekomercyjnym) pierwszy zestaw filmów eksponowanych na wielu przeglądach w całej Polsce (Kraków, Lublin, Poznań, Gdańsk, Warszawa, Łagów...). Pojawia się nowy kanał dystrybucyjny, czyli galerie, kluby i muzea. Aktywnie funkcjonuje na obrzeżach oficjalnej kultury absurdałny Teatr E. Kowalskiego z W. Antczakiem (samozwańczym artystą) w głównej roli, którego zadaniem była destrukcja zamierzeń reżysera-emeryta. Mają miejsce

różnego rodzaju precyzyjnie opracowane akcje interwencyjne, ignorujące publicznie nadmuchane, pompacyjne państwowe imprezy — festiwale (Zakopane, Łagów, Gdańsk, Zielona Góra...). W latach 1971-75 pierwszy zestaw filmowy WARSZTATU zasilają następne realizacje: Z. Rybczyńskiego, K. Bendkowskiego, R. Waśki, P. Kwieka, T. Junaka, M. Koterskiego, R. Gajewskiego, R. Lenczewskiego, W. Bruszewskiego, J. Robakowskiego i innych. Ma miejsce spora aktywność wystawiennicza, która zwraca swym poziomem i odmiennością ideową uwagę ośrodków zagranicznych. Wyśmienicie funkcjonuje szkoła poczty, przenikając bez pardonu dotąd bardzo szczelną dla niezależnego ruchu ŻELAZNĄ KURTYNĘ.

**Pojawiają się wreszcie pierwsze od przedwojnia
ambitne niekomercyjne
galerie autorskie**

(Galeria 80 × 140 — J. Trelińskiego, Galeria A4 — A. Pierzgałskiego, Galeria ADRES — E. Partum, Galeria NA PIĘTRZE — T. Porady, M. Woźnicy i B. Stawickiej ze współpracującym G. Sztabińskim). Mnożą się również prywatnie zrealizowane wy-



Kapela rockowa „Moskwa”, Łódź 1984. Kadr z clipu „Moskwa”, realizacji Józefa Robakowskiego

dawnictwa, sprytnie omijające cenzurę (Zeszyty WARSZTATU, druki ulotne i opracowania książkowe Galerii ADRES, Galerii Trelińskiego i Pierzgałskiego). Pojawia się też zamiar stworzenia nieoficjalnego pisma teoretyczno-artystycznego (konspekt opr. W. Bruszewski i J. Robakowski) o zasięgu ogólnopolskim, który z powodu braku możliwości finansowych nie dochodzi do skutku. Rodzi się w Łodzi (pierwsze realizacje od 1973 r.) nowy ruch VIDEO, a w Wytwórni Filmów Oświatowych i SeMaForze powstają nowoczesne, profesjonalnie wykonane, wartościowe filmy o artystach polskiej awangardy historycznej i współczesnej. Przywołują one publicznie nazwiska K. Kobro, W. Strzemińskiego, T. Czyżewskiego, L. Chwistka, Witkacego, artystów KONSTRUKTYWIZMU POLSKIEGO, grupy „a.r.”, A. Szapocznikow, H. Stażewskiego oraz wielu niekonwencjonalnych artystów współczesnych („Żywa Galeria”, „Krzesła”), którzy do tej pory przez oficjalnych ekspertów uważani są za niegodnych monografii filmowych. Wymykają się też z **państwowego klucza** poeci, tworząc kwartalnik literacki „Puls” (J. Bierezin, T. Filipczak, W. Sułkowski, T. Walendowski z Warszawy i in.). Staje się aktywny Z. Jaskuła wraz ze swoją żoną Sławą, tworząc we własnym mieszkaniu przyczółek myśli alternatywnej. Pracuje też Teatr 77 (Z. Hejduk) i CENTRUM INICJATYW NIEZALEŻNYCH, czyli Stowarzyszenie Twórców Kultury prowadzone przez samych artystów, które jest dla **władz** miasta ogniskiem wszelkiego zła i niepodległej myśli artystycznej. Pod koniec lat 70. powstają inne związki alternatywne, np. ZESPÓŁ T (J. Szczerek, A. Paruzel, T. Konart, P. Weychert, J. Kołodrubiec) oraz liczna ŁÓDŹ KALISKA z aktywistami M. Janiakiem, A. Kwietniewskim i A. Rzepeckim, dojeżdżającym często z Krakowa.

W Stowarzyszeniu Twórców Kultury mają miejsce

wielkie międzynarodowe mityngi: SZTUKA NIEZIDENTYFIKOWANA i TEKSTY WIZUALNE.

W ostatnim zdarzeniu brało udział ok. 120 artystów z całego świata, z wyboru wybitnego eksperta i artysty czeskiego J. Valocha z Brna. Wszystkie prace (wiele unikalnych) przekazało STK jako dar Muzeum Sztuki w Łodzi. W tym też miejscu realizuje konsekwentnie swój ambitny program kustosz Muzeum Sztuki J. Zagrodzki, powołując pod koniec lat 70. Galerię ŚLAD. Jest to też moment powstania w 1978 r. galerii domowej M. Potockiej i J. Robakowskiego pod nazwą GALERII WYMIANY (myśli artystycznej), gdzie powstało największe archiwum i kolekcja prac progresywnych. Ważnym też kolejnym miejscem staje się w środowisku neoawangardowym ARTFORUM, prowadzone fachowo przez zespół młodych zwolenników sztuki

ki aktualnej pod kierownictwem B. Stawickiej i T. Porady, a kuratelą artystyczną Z. Warpechowskiego, który konsekwentnie propagował na terenie całego kraju sztukę performance.

Podsumowując tę dekadę wspomnieć trzeba kilka ważnych wystaw i przeglądów w kraju i za granicą łódzkich artystów nurtu progresywnego:

Fotografowie Poszukujący — Warszawa, KINOLABORATORIUM — Elbląg, ZJAZD MARZYCIELI — Elbląg, ATELIER 72 — Edynburg, XII Biennale — Sao Paulo, OFERTA I i II — Lublin, V Festiwal Filmów Eksperymentalnych — Knokke-Heist, Film als Film — Kolonia, 5 Festiwal Video — Antwerpia, OSIEKI — 1974, Fotografowie Poszukujący — Kolonia, Akcja WARSZTAT — Łódź, Aktualna Sztuka Wschodniej Europy — Antwerpia, Aspekty Nowoczesnej Sztuki Polskiej — Warszawa, „FILM”, międzynarodowy pokaz kina niezależnego — Warszawa, Sztuka Kontekstualna — Lund, Amsterdam, Padwa..., Pokaz Sztuki PROGRESYWNEJ — Amsterdam, VIDEO ART — Lublin, Łódź, Warszawa..., Film als Film — Londyn, „Sztuka jako realność mechaniczna” — Łódź, POEZJA WIZUALNA — Lublin i Łódź, Stany Graniczne Fotografii — Katowice, Warsztat Formy Filmowej — Moskwa, Hamburg, Kopenhaga, Oslo, Edynburg, Padwa, Zagrzeb, Essen, Paryż, Nowy Jork, Amsterdam, Praga, Wiedeń, Zurych itd. itd..., DOCUMENTA 6, 7 i 8, Fotografia jako sztuka — sztuka jako fotografia — Kassel, LINIA — Budapeszt, WORKS and WORDS — Amsterdam...

Nie sposób wymienić tych wszystkich inicjatyw robionych na ogół własnym sumptem, które przełamywały wszelkie bariery, granice i zdecydowany opór naszych władz państwowych. Witalność sztuki progresywnej nie ma granic, jako że jest naturalnym ludzkim odruchem bycia sobą nawet za wszelką cenę.

Nowa DEKADA przynosi podsumowanie WARTOŚCI

wypracowanych w latach 70. — czyli wielkie wystawy monograficzne tego ruchu. Tu w Łodzi planuje się zorganizowanie w 1980 r. wystawy dokumentacyjnej — „Sztuka Progresywna lat 70.” — lecz dyrekcja miejscowego BWA nie podejmuje tej inicjatywy, urządzając w zamian za to **socjalistyczną** wystawę młodych. Udaje się ją zorganizować dzięki przypadkowi (fajny dyrektor) w sopockim BWA w 1981 r. pt. „70—80” (Nowe zjawiska w sztuce polskiej lat 70.) pod kuratelą J. Świdzińskiego, J. Robakowskiego, W. Czerwonki. Była to spora manifestacja około 40 polskich galerii niezależnych, miejsc alternatywnych, różnych indywidualnych koncepcji teore-

tycznych, wydawnictw własnych, druków ulotnych, dokumentacji fotograficznych, filmowych i telewizyjnych. Trzeba zaznaczyć w tym miejscu (wbrew pogładowi autora fałszywej DEKADY, historyka sztuki P. Piotrowskiego, wydanej w Poznaniu — 1991 r.), że ten wielki przegląd organizowany był własnymi siłami wielu artystów i szefów autorskich galerii, bez jakichkolwiek honorariów, wielkich pieniędzy, propagandy w mediach państwowych. Jedynym wydawnictwem przy tej okazji akurat jest moja ksero-książka (100 egz.) pt. *TEKSTY-KONCEPCJE*, która stanowi dzisiaj bezcenną antologię prawie wszystkich piszących w latach 70. artystów. Teksty te zostały powielone bez honorariów, jako druki do użytku wewnętrznego. Kolejną (również podejrzaną ideologicznie przez P. Piotrowskiego)

wielką wystawą była tutejsza KONSTRUKCJA W PROCESIE zorganizowana przez tzw. Grupę Pracy,

którą wyłonił inicjator tego śmiałego przedsięwzięcia, asystent Wydziału Operatorskiego — R. Waśko z Komitetu Odnowy Uczelni (Szkoła Filmowa). Dzisiaj, po kilku już latach można stwierdzić, że niewątpliwie była to najistotniejsza międzynarodowa manifestacja **sztuki współczesnej** w PRL, stworzona dzięki politycznie i społecznie dogodnej sytuacji, bez tzw. oficjalnych nacisków „ekspertów” **państwa socjalistycznego**. Dla miasta przyniosła ta wystawa wyjątkowy **dar**, dar **Solidarności**, która zdeponowała wiele bezcennych dzieł wybitnych artystów zachodnich w Muzeum Sztuki. Wystawie tej towarzyszył duży **pokaz aktualnej sztuki polskiej** pod nazwą **FALOCHRON**, którego autorem był A. Mikołajczyk, artysta ściśle związany z łódzkim ruchem progresywnym.

W czasie organizowania się „Konstrukcji w procesie” i „Falochronu” zaczyna dawać znać o sobie jeszcze jedna unikalna galeria prywatna, inicjująca aukcję **solidarnościową** pod niecodziennym, zakamuflowanym tytułem galeria **CZY-SZCZENIA DYWANÓW** — S. Sowiaka i A. Paczkowskiego. To interesujące przedsięwzięcie „ludzi znikąd” budziło w tzw. środowisku alternatywnym wiele sporów, dyskusji i podejrzeń. Tzw. **DYWANIARZE** okazali się w praktyce ludźmi wartościowymi, bowiem w swej maleńkiej przestrzeni-mieszkańiu zorganizowali wiele interesujących spotkań, pokazów aukcyjnych i wystaw. Wydawali też absolutnie podziemny (obowiązujący dekret o **stanie wojennym** — 1982/83) własny organ prasowy zatytułowany *Mersapon*. Jest to akurat moment budzenia się **STRYCHU**, miejsca **ŁODZI KALISKIEJ**, z którą ściśle współpracują absolwenci Szkoły Filmowej J. Józwiak i T. Snopkiewicz (tęga głowa i świetny organizator). Zaczynają się wspólne, mimo **stanu wojennego** prywatne zjazdy i mityngi artystyczne na terenie całego kraju.

Organizuje się tzw. KULTURA ZRZUTY.

Obejmuje ona wspólne inicjatywy całego podziemnego „towarzystwa” alternatywnego (kilku miast). W wyniku tych spotkań samorzutnie inicjują się bardzo interesujące akcje integrujące — „7 dni stworzenia świata” — wypad do Krakowa. „Urodziny w Łażni Miejskiej” — Warszawa, trzy edycje NIEMEGO KINA — Łódź, zjazdy w Kazimierzu nad Wisłą, KOLEDA — Koszalin, wspólna realizacja filmu PAŃSTWO WOJNY — Osiek k. Torunia, TANGO — Warszawa, PIELGRZYMKA ARTYSTYCZNA — Łódź, plenery w Teofilowie itd., itd...

Równolegle bardzo aktywnym jest dalej STK, tu planuje się omawiany w mieszkaniu M. Nitosławskiej i J. Połoma wielki międzynarodowy mityng kina niezależnego „FORWARD”. **Władza** (SB) cenzurując dokładnie nasze listy przenika tę intencję i nie wydaje wiz zaproszonym z całego świata wybitnym filmowcom reprezentującym ruch niezależnego kina. Jeszcze w 1981 r. w czasie wspólnego pobytu w Budapeszcie udało nam się utworzyć międzynarodową kooperację video-filmową INFERMENTAL — według projektu wybitnego filmowca węgierskiego G. Body. Teraz, w czasie zablokowanych granic, można było przez studentów węgierskich przemycić prace video-filmowe.

INFERMENTAL
rozpowszechniał je na cały świat
jako pierwszy na Kuli Ziemskiej
Magazyn Video.
Dzięki tej współpracy nasze filmy
weszły jeszcze w stanie wojennym
w krwiobieg sztuki światowej.

Mnożą się jednak uciążliwe przesłuchania i aresztowania, rewizje, nagminne kasowanie bezcennych przesylek (książki, videokasety, filmy), wreszcie zablokowano niektórym paszporty i możliwości kontaktowania się z tzw. **wolnym światem**. W Szkole Filmowej, gdzie wielu z nas pracowało, Komitet Odnowy Uczelni wraz z grudniem 1981 r. zostaje rozwiązany, ciężko wywalczone reformy ulegają zniwelowaniu. Musimy ustąpić! Odgórnie powołane tzw. **władze uczelni** przywracają starą strukturę szkoły. Prawie wszyscy młodszy pracownicy odchodzą. Mimo to, **ruch progresywny rokwita**. Pojawia się wiele podziemnych wydawnictw, np. *FABRYKA*, ukazują się kolej-

ne wydania składowego organu Łodzi Kaliskiej — *TANGA*, wychodzą dwie edycje *NIEMEGO KINA* oraz „PST! — czyli sygnia nowej sztuki”, powstają nowe filmy, prace video, kolejne wystawy, wiele druków ulotnych, obiektów artystycznych, fotografii i świetnych plakatów (T. Piechury i M. Nowakowskiego). Z tego ruchu powstaje arcyciekawa inicjatywa A. Honorego i W. Grochowskiego pt. *PRAWDZIWE BRZMIENIE ŁODZI*, która podrywa do aktywności kilkanaście kapel rockowych z całej Polski. Koncert ten poszerza zasięg ruchu alternatywnego — odkrywając nową energię, siłę i witalność naszej muzyki podziemnej. Impreza ta, na której po raz pierwszy zagrało razem tak wiele różnych zespołów (ok. 30), odkrywa nam *MOSKWE*, z którą udało się za własne pieniądze nagrać profesjonalnie ich wyśmienite utwory i zrealizować kilka videoclipów, które dziś stanowią już historię tego gatunku muzyki. Stale obecny jest w tym ruchu krąg artystów muzyki, skupiony przy barwnych postaciach (W. Czajkowski, W. Kiniorski, J. Bieliński), autorów wielu intrygujących koncertów na terenie całego kraju. W. Czajkowski jest też autorem muzyki do dwu edycji filmowych *KONSTRUKCJI W PROCESIE*, a W. Kiniorski współpracuje stale z reż. J. Józwiakiem przy jego pracach telewizyjnych i filmowych.

**Lata osiemdziesiąte,
wbrew wielu trudnościom,
przynoszą kolejne wartościowe
filmy o sztuce,**

np. M. Potockiej — o K. Zarębskim, Z. Warpechowskim, E. Kasińskim, J. Dobkowskim, R. Winiarskim, B. Schaefferze oraz R. Waśki o H. Stażewskim, A. Różyckiego o Z. Rydet, P. Zarębskiego o F. i S. Themersonach. Powstaje też seria wspaniałych videoclipów robionych przez B. Lukicza, T. Ciesielskiego, H. Taczanowskiego, M. Potocką i A. Wyrozębskiego dla *KORY, KULTU, SIEKIERY, REPUBLIKI...* Tymczasem Galeria Wymiany rozpoczyna na własną rękę pracę dokumentującą różne zachodzące w kraju zjawiska alternatywne: pobyty w Jarocinie, performance Z. Warpechowskiego, A. Partuma, E. Zarzyckiej, J. Truszkowskiego, B. Konopki, M. Janiaka, P. Kwaśniewskiego i wielu innych. Podobną inicjatywę przejawia również J. Kołodrubiec i J. Józwiak.

W tym czasie rozwija się bardzo intensywnie *POLSKI RUCH VIDEO*, który upowszechniany jest przez międzynarodowe przeglądy *VIDEO-ART-CLIP* (trzy edycje z inicjatywy prywatnej *GALERII WYMIANY*). Natomiast regularną dystrybucję prac video i filmów eksperymentalnych podejmuje pod koniec lat 80. wyśmienity ekspert i organizator R. Kluszczyński. To ożywienie realizatorów video spowodowało powołanie przez małżeństwo V. i P. Krajewskich oraz Z. Kupisza dużego multi-



Jerzy Grzegorski i Adam Klimczak (szefowie Galerii Wschodniej), 1990
fot. Józef Robakowski

medialnego festiwalu o charakterze międzynarodowym we Wrocławiu. WRO do tej pory uchodzi za najważniejszy przegląd **sztuki video** w tej części Europy.

W wyniku dużego zainteresowania naszymi pracami przez II Program TV udaje się nam wcielić wiele realizacji do **Telewizji Polskiej**, która pod egidą J. Kapuścińskiego i M. Krzyżanowskiego zaczyna rozpowszechniać je w programach nocnych. Druga połowa lat 80. to wielka eksplozja energii artystycznej. Z zajętego nielegalnie mieszkania przez trupę muzyczno-teatralną (AiP) przy ul. Wschodniej 29, którą powołali do życia m.in. J. Orłowski, P. Bikont i W. Czajkowski — wykuwa się znakomite **NOWE MIEJSCE** — mam tu na myśli **GALERIE WSCHODNIA** prowadzoną od początku przez A. Klimczaka i J. Grzegorskiego. Jest to akurat moment regresu aktywności Stowarzyszenia Twórców Kultury i łódzkiego SPATiF-u, który **władze miasta** odbierają w haniebnym sposób całemu środowisku kulturalnemu. **GALERIA WSCHODNIA** staje się więc w mieście jedyną otwartą placówką niezależną w Łodzi.

Małe mieszkaniowe galerie (jak **ŚLAD II J. Zagrodzkiego**, **U ZOCHY**, czy **CZYSZCZENIE DYWANÓW**, a nawet **STRYCH**) umierają śmiercią naturalną. Czynne jest nadal mieszkanie-miejsce B. i A. Chętków, Punkt Konsultacyjny — A. Mikołajczyka i **GALERIA WYMIANY**, która organizuje w 1986 r. duże spotkanie

środowiskowe ŚWIATŁO CISZY i wystawę-kolekcję pt. OBRAZY. Wrócić tu należy do GALERII WSCHODNIEJ, która jest też właściwie galerią-mieszkanem prywatnym, ponieważ jej stałymi lokatorami są E. Robak i A. Klimczak (małżeństwo). Otwierają oni to miejsce dla wszystkich.

**Galeria ta staje się szybko
OAZĄ WOLNOŚCI TWÓRCZEJ
dla artystów polskich i zagranicznych.**

Jestem pewien, że to była w latach 80. najważniejsza galeria prywatna w naszym kraju. Tu odbyło się, dzięki wielkiej tolerancji, ofiarności i bezinteresowności gospodarzy, wiele istotnych dla kultury spotkań, manifestacji zbiorowych i indywidualnych. Tu realizowały się duże projekty innych artystów, np. A. Mikołajczyka — POSTAWY (polska fotografia) lub tego samego autora spotkanie międzynarodowe UTOPIA I RZECZYWISTOŚĆ, także innych artystów — teatr Z. Micha i W. Królikiewicza im. KICI KOCI, tu występował słynny BLACK MARKET i odbył się duży międzynarodowy festiwal VIDEO-ART-CLIP oraz VIDEOPERFORMANCE — niezliczona ilość wystąpień indywidualnych i grupowych, aż do III edycji KONSTRUKCJI W PROCESIE... W opozycji do tego miejsca wyrastało następne pokolenie PROGRESYWNICH, czyli artyści POMARAŃCZOWEJ ALTERNATYWY (podobno w Łodzi BIAŁEJ) i GALERII MANIAKALNEJ, z których potem już w latach 90. wyłoniła się bardzo aktywna frakcja WSPÓLNOTA LEEŻEĆ — charakteryzująca się bezwzględными interwencjami w mieszczańską mentalność. W zgodzie ze WSCHODNIĄ — startowali w niej artyści z grupy ŁÓDŹ FABRYCZNA organizując absurdalne koncerto-obiekty.

**Jest to także czas
ARTYSTÓW OSOBNYCH,**

do których niewątpliwie należy J. Zachara, A. Paruzel ze swoim Biurem Przewodników Po/Sztuce i Kulturze, L. Golec, K. Cichosz — jako artysta i szef Galerii FF o własnym alternatywnym programie. Należy też przy okazji wspomnieć na pewno E. Łazikowskiego, który programowo nie chce być awangardowy, samotnika A. Janaszewskiego i W. Bruszewskiego, A. Różyckiego, J. Józwiaka, utajonego poetę M. Olszewskiego, L. Grabowskiego, A. Chętko, W. Krymarysa, A. Honorego z Kolonii, coraz bardziej intrygującą swą poezją L. Skompską, K. Kuzyszyną, Z. Dudka i pewnie wielu jeszcze innych, młodszych artystów, aktywnych już w latach 90. Za-

uważyłem, że gościnnym zawsze miejscem dla artystów alternatywnych jest TEATR STUDYJNY, goszczący kiedyś operatywną galerię J. Ciesielskiej. Ważne było dla nas, łódzian, krajowe środowisko artystów o podobnych niezależnych postawach. Jest ich bardzo wielu w stałym kontakcie z nami, zawsze gotowych do wspólnych inicjatyw, np. Z. Rytka, W. Czerwonka, J. Świdziński, J. Truszkowski, Z. Libera, E. Zarzycka, E. Kalinowska, A. Płotnicka, A. Rzepecki, A. Partum, J. Kryszkowski, J. Ryba, M. Smoczyński, T. Woźniakowski, A. Ciesielski, obecnie mieszkający w Sandomierzu Z. Warpechowski, P. Kwiek, E. Kulasek, M. Kijewski, A. Dłużniewski, W. Borowski, I. Gustowska, Natalia LL i wielu innych...

Pod koniec lat 80. wreszcie udaje się zrealizować stary, czekający na dogodną sytuację projekt z 1979 r. pt. SZTUKA INNYCH MEDIÓW. Z pomocą przyszło Muzeum Kinematografii, dzięki któremu udało się otworzyć 18 maja 1989 r. tzw. LOCHY MANHATTANU. Ta miesięczna impreza miała na celu (tym razem) przerwać hegemonię malarstwa neoekspresjonistycznego, niepodzielnie panującego przez całą prawie dekadę w polskiej oficjalnej i nieoficjalnej sztuce. Ta modna i obowiązująca wtedy SZTUKA DZIKICH w pewnym momencie stała się nieznośna poprzez prawie powszechną akceptację muzeów (nawet Narodowych), galerii oficjalnych, Szkół Artystycznych (poza łódzką), handlarzy sztuki i samopowołujących się nagminnie tzw. „ekspertów”. Po 1985 r. **trend** ten stał się wyjątkowo przymilny, obiegowy, bezkrytyczny i na pewno wtórny w porównaniu z normalnie rozwijającą się na świecie sztuką wszelkich dziedzin. W dodatku jako powszechnie zrozumiałą i akceptowaną został sprytnie wkalkulowany przez tzw. oficjalną **władzę** w głośno zapowiadane „PRZEMIANY” — miał być wyrazem nadziei dla młodego pokolenia. Ubrany w humorystyczny i beztroski sarkazm, pełen młodzieńczej energii i swady perfidnie niwelował cały dorobek kulturowy nawet tych najwybitniejszych twórców lat 60. i 70. zarzucając im kolaborację z **władzą ludową**, miałość konceptualnych nowinek, apolityczność i kosmopolityzm.

LOCHY MANHATTANU — jako wielka manifestacja około 120 artystów PROGRESYWNYCH różnych pokoleń i dyscyplin —

przywołała ten fatalny obraz sztuki polskiej do porządku. **Sztuka** jako taka uzyskała swoje miejsce, bowiem zrzuciła z siebie podczas tego spotkania **falszowy oręż**, przestała służyć różnym politycznym manipulacjom. To „oczyszczenie” — wielu łódzian potwierdziło kolejną jeszcze bardziej poważną manifestacją w 1992 r. (Pałac Grohmana) — jako zwolennicy NEOAWANGARDY.

Wydaje mi się, że wszyscy ci ludzie skupieni w tym niepodległym ruchu progresywnym są za tzw. NOWĄ WRAŻLIWOŚCIĄ, o której kiedyś wspominał J. Przyboś. Na II MARCOWYCH GODACH widziałem wielu takich wyznawców wolnej sztuki, niektórych nawet pijanych ze szczęścia...

(1995)

Dedykuję ten tekst autorowi DEKADY p. Piotrowi Piotrowskiemu z Poznania.

Łódzka inauguracja 100-lecia kina była jednym z ważniejszych wydarzeń kulturalnych w kraju.

ANNA PŁĄŻEWSKA

Wiek kina

Świat obchodzi w tym roku jubileusz 100-lecia kina. Łódź, szczycąca się do niedawna mianem stolicy polskiego filmu i usiłująca uratować swoją nieco nadwątloną pozycję największego ośrodka przemysłu filmowego w kraju, jako pierwsza zgłosiła w Komitecie Kinematografii plan obchodów jubileuszu. Mimo, że nasz program okazał się najobszerniejszy i najbardziej zróżnicowany, niezbyt żywo zainteresował Tadeusza Ścibora-Rylskiego, przewodniczącego KK. Dlatego z kosztami jego realizacji prawdopodobnie będziemy musieli poradzić sobie sami.

Filmowa gala

Ogólnopolskie obchody jubileuszu kina rozpoczęły się właśnie w Łodzi. Zainaugurowała je w maju 1994 r., w łódzkim Teatrze Wielkim, filmowa gala, która adekwatnie do rangi święta miała wyjątkowo uroczysty charakter. Otworzył ją pokaz zrekonstruowanej wersji francuskiego filmu niemego z 1926 r. *Szachista* w reżyserii Raymonda Bernarda, którego akcja toczy się w XVIII-wiecznej Polsce. Dodatkową atrakcją tej projekcji stanowiła orkiestra Teatru Wielkiego pod dyktando Aleksandra Tracza. Gwóździem wieczoru była jednak zaplanowana w drugiej części programu uroczysta premiera filmu Krzysztofa Kieślowskiego *Trzy kolory. Czerwony*, w której uczestniczyli: sam reżyser, odtwórca jednej z głównych ról — wybitny francuski aktor Jean-Louis Trintignant, współautor scenariusza Krzysztof Piesiewicz, operator Piotr Sobociński oraz autor muzyki Zbigniew Preisner.

W kontekście późniejszych sukcesów, jakie stały się udziałem obecnych wtedy w Łodzi twórców (oscarowe nominacje dla Sobocińskiego, Piesiewicza i Kieślowskiego), łódzka inauguracja była niewątpliwie jednym z ważniejszych wydarzeń kulturalnych w kraju.

Łódzki projekt

Zachęcający początek obchodów zmobilizował do działania środowisko związane z licznymi jeszcze łódzkimi instytucjami filmowymi. **W listopadzie powstał w Łodzi pierwszy w Polsce Społeczny Komitet Obchodów Jubileuszu 100-lecia Kina**, który zajął się przygotowaniem wstępnego ramowego programu. **W jego skład weszli:**

* prof. dr hab. Ewelina Nurczyńska-Fidelska z Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego (przewodnicząca),

* prof. dr hab. Edward Zajicek z Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej,



Od lewej: Jean-Louis Trintignant, Krzysztof Kieślowski; w głębi: Zbigniew Preisner i Krzysztof Piesiewicz

fot. Małgorzata Kujawka

- * Piotr Holwek, ówczesny dyrektor Łódzkiego Centrum Filmowego,
- * Jacek Gwizdała, szef „Contra Studio”,
- * Tadeusz Wijata, z działającego jeszcze wtedy Programu Promocyjnego „Niech żyje kino” i jednocześnie radny Komisji Kultury Rady Miejskiej,
- * Antoni Szram, dyrektor Muzeum Kinematografii.

Zespół stanął przed niełatwym zadaniem wyselekcjonowania spośród kilkudziesięciu propozycji jubileuszowych zgłoszonych m.in. przez szkołę filmową, Uniwersytet Łódzki, Muzeum Kinematografii, Centrum Filmowe, Studio Filmowe „Logos”, „SeMaFor”, Wytwórnię Filmów Oświatowych, „Contra Studio” i Centralny Gabinet Metodyczny Edukacji Filmowej, tych najwartościowszych, które w najbardziej spektakularny sposób uczciłyby jubileusz kina.

Po długotrwałych dyskusjach i analizach zespół ogłosił listę trzydziestu imprez. Znalazły się na niej sesje i seminaria naukowe, publikacje, wystawy, przeglądy i konkursy. Na listę trafiły też pomysły zrealizowane jeszcze przed powołaniem Komitetu. Już w październiku 1994 r. Łódzki Dom Kultury i Centralny Gabinet Metodyczny Edukacji Filmowej zorganizowały wspólnie sesję filmoznawczo-metodyczną „Sztuka interpretacji klasycznych i współczesnych dzieł filmowych”. Dwa miesiące później sesja „Kino ma 100 lat” swój udział w jubileuszu zaznaczyło Filmoznawcze Koło Naukowe Studentów UŁ. Mniej więcej w tym samym czasie studenci łódzkiej „filmówki” rozpoczęli przygotowania do kilkudniowego międzynarodowego seminarium połączonego z warsztatami pt. „Prawdomówna kamera?” poświęconego problemom cenzury w sztuce, zwłaszcza w filmie dokumentalnym. „Prawdomówna kamera?” odbyła się na przełomie stycznia i lutego 1995 r., w którym, jak założyli członkowie komitetu obchodów, miała nastąpić kulminacja imprez rocznicowych. Ustalono, że uroczystości potrwać do końca 1996 r. i tym samym zbiegną się z rocznicą 100-lecia kina na ziemiach polskich.

Łódzki program, który jak zapewnia prof. Nurczyńska-Fidelska, był jednym z najbogatszych i najbardziej zróżnicowanych, zgłoszono do działającego przy Komitecie Kinematografii zespołu koordynującego obchody 100-lecia kina w Polsce. Wybrane pozycje zostały nawet wstępnie włączone w kalendarz imprez ogólnopolskich, na niektóre obiecano dofinansowanie z budżetu centralnego.

— *Obliczyliśmy, że na łódzkie obchody 100-lecia kina potrzeba około 6 miliardów starych złotych. Tymczasem Tadeusz Ścibor-Rylski, przewodniczący Komitetu Kinematografii, poinformował, że na ogólnopolskie uroczystości święta kina przewidziano tylko 3,5 mld. Mimo to obiecał, że spośród zorganizowanych w Łodzi imprez dofinansowanie dostaną: Międzynarodowa Naukowa Sesja Filmoznawcza przygotowywana przez Uniwersytet Łódzki i Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną, wielka objazdowa wystawa Muzeum Kinematografii „100 lat kinematografii na ziemiach polskich” oraz wystawa poświęcona niedawno zmarłemu prof. Jerzemu Toeplitzowi — powiedziała prof. Ewelina Nurczyńska-Fidelska.*

Skąd pieniądze

Wkrótce okazało się, że obietnice Komitetu Kinematografii są bez pokrycia, bo wszystkie pieniądze pochłonęła wystawa upamiętniająca jubileusz kina, przygotowana z inicjatywy Andrzeja Wajdy w warszawskiej „Zachęcie”. Wprawdzie większość zaplanowanych w Łodzi imprez prawdopodobnie odbędzie się, ale tylko dzięki dotacjom z budżetu miasta i województwa. **Prezydent i wojewoda, doceniając rangę jubileuszu, przekazali w sumie 900 milionów starych złotych.** Pozbawiony dotacji z KK łódzki komitet obchodów musi szukać pieniędzy gdzie indziej. Wystąpił już na przykład do Komitetu Badań Naukowych o dofinansowanie międzynarodowej sesji z udziałem gości zagranicznych. Koszt jej przygotowania wyniesie około 700 mln. Przewodnicząca komitetu nie wyklucza, że o pomoc trzeba będzie prosić znowu prezydenta i wojewodę.

Imprezy jubileuszowe zakwalifikowane do realizacji zostały podzielone na sześć działów programowych. Oprócz „Prawdopodobnej kamery?” zaplanowano trzy duże sesje filmoznawcze. Już w październiku odbyła się V Ogólnopolska Sesja Filmoznawczo-Metodyczna dla nauczycieli „Stulecie kina. W poszukiwaniu arcydzieła filmowego — o problemach estetyki kina”. Jej wynikiem ma być publikacja adresowana do nauczycieli pt. „Stulecie kina. W poszukiwaniu arcydzieła”.

Kino socrealistyczne będzie tematem sesji, której pomysłodawcą jest Łódzki Dom Kultury. Poświęcona politycznym i propagandowym aspektom filmów realizmu socjalistycznego, ma być ilustrowana filmami fabularnymi i dokumentalnymi produkcji radzieckiej, polskiej, bułgarskiej, NRD-owskiej, czechosłowackiej i węgierskiej, reprezentującymi różne gatunki, od epiki wojennej i rewolucyjnej po film obyczajowy i propagandowy. Natomiast jako jedno z najważniejszych wydarzeń obchodów uznano międzynarodową sesję filmoznawczą z okazji 100-lecia kina, którą w porozumieniu z ośrodkami filmoznawstwa uniwersyteckiego w Polsce przygotowują UŁ i PWSFTviT.

Mistrzowie kina — publikacje

Jubileusz kina stał się też dobrym pretekstem do wydania kilkunastu publikacji filmowych. Wkrótce nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego ukaże się *Wybór pism* Bolesława W. Lewickiego. Zaawansowane są także prace nad dwiema publikacjami zbiorowymi. *Kino polskie w dziesięciu sekwencjach* pod redakcją Eweliny Nurczyńskiej-Fidelskiej zawiera 10 szkiców o polskich twórcach filmowych, od Andrzeja Wajdy do Zbigniewa Rybczyńskiego. Druga — *Mistrzowie kina europejskiego* pod redakcją Kazimierza Sobotki — składa się z 10 esejów, których bohaterami są m.in. Ingmar Bergman, Federico Fellini, Michelangelo Antonioni i znowu Andrzej Wajda.

Spośród pozostałych planowanych wydawnictw warto wymienić: *Bibliografię polskiej twórczości filmowej i polonistów do 1939 roku* Władysława Jewsiewickiego, monografię *Eugeniusz Cękański* Jolanty Lemann, *Sztukę interpretacji dzieła filmowego* pod redakcją Bronisławy Stolarskiej, *Kanon polskiego kina* redagowany przez Tadeusza Lubelskiego, kolejne pozycje z cyklu „Analizy arcydzieł filmów i sylwetki mistrzów kina” Grzegorza Królikiewicza oraz monografię Leona Niemczyka i wydawnictwo popularno-naukowe, opracowane z perspektywy historii sztuki — *Pałac Scheiblera — siedziba Muzeum Kinematografii*.

W Muzeum Kinematografii

Jednym z najobszerniejszych działów w programie obchodów są wystawy. Ciężar ich przygotowania spoczął przede wszystkim na Muzeum Kinematografii. Jednym z najpoważniejszych przedsięwzięć w tym zakresie ma być wielka ekspozycja objazdowa „100 lat kinematografii na ziemiach polskich”. Znajdą się w niej tylko materiały ikonograficzne, co ułatwi przetransportowanie jej do innych miast. Ponieważ wystawą zainteresowane są ośrodki polskie i zagraniczne, ma być realizowana w trzech wersjach językowych: angielskiej, francuskiej i niemieckiej. Brak obiecanych pieniędzy z Komitetu Kinematografii spowodował, że wystawa będzie powstawać etapami. Wernisaż pierwszej części odbędzie się na tegorocznym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Nie wiadomo kiedy i gdzie nastąpi otwarcie kolejnych ekspozycji, ale Mieczysław Kuźmicki, wicedyrektor muzeum, jest dobrej myśli i wierzy, że uda się jednak zdobyć w KK brakujące pieniądze.

Traktując objazdową wystawę jako jedno z priorytetowych przedsięwzięć obchodów, łódzki komitet zdecydował się scedować na ten cel ponad 120 milionów starych złotych, przeznaczonych wcześniej na przygotowanie wystawy „Historia animacji”, poświęconej dziejom polskiego filmu animowanego i jego twórcom — od Starewicza do Dumay.

Druga wielka inicjatywa Muzeum Kinematografii to wystawa stała „Polskie dzieje sztuki filmowej”. Będzie ona ilustrować — w układzie chronologiczno-problemowym — najważniejsze tematy składające się na dzieje techniki i sztuki filmowej w Polsce. W ekspozycji znajdą się m.in. wynalazki i zabawki imitujące ruch, materiały poświęcone polskim wynalazcom, teoretykom i twórcom kina (Pruszyński, Lebiecki, Szczepanik, Matuszewski, Starewicz), aparaty projekcyjne, sylwetki reżyserów, aktorów — gwiazd, operatorów i scenografów. Przedstawiony zostanie też proces technologiczny powstawania filmu. Otwarcie wystawy zaplanowano na koniec przyszłego roku, po zakończeniu trwającego od stycznia remontu Muzeum Kinematografii.

Odnowienie muzeum można z powodzeniem wpisać na listę jubileuszowych osiągnięć, tym bardziej, że jego otwarcie zbiegnie się z przypadającą w grudniu 1996 r. rocznicą 100-lecia kina na ziemiach polskich.

Na remont muzeum przeznaczono około 10 miliardów starych złotych. Najwięcej — 9 mld przekazała polsko-niemiecka fundacja, 100 milionów wpłynęło z Urzędu Wojewódzkiego, a 1 mld 250 mln z budżetu gminy. Prace obejmują m.in. roboty konserwatorskie na zewnątrz budynku, renowację wewnątrz z zachowaniem ich historycznego kształtu, rekonstrukcję części ogrodowej, czyli części Parku Źródłiska bezpośrednio przylegającej do siedziby muzeum. Przewidziano również remont sali widowiskowo-kinowej znajdującej się w starej wozowni. Będzie ona przystosowana także dla potrzeb widzów niepełnosprawnych. — *Niezależnie od remontu będziemy starać się przygotować zaplanowane wcześniej mniejsze wystawy jubileuszowe* — mówi **Mieczysław Kuźmicki**. — *Podczas Międzynarodowej Sesji Filmoznawczej chcielibyśmy otworzyć monograficzną wystawę poświęconą profesorowi Jerzemu Toeplitzowi.*

Wśród innych ekspozycji, uświetniających jubileusz kina, znajdują się też: „Aktor i jego czasy. Aktor w polskim filmie powojennym”, której bohaterem będzie Leon Niemczyk, „Allan Starski — monografia scenografa, laureata Oscara 1994” oraz Krajowa Wystawa Filatelistyczna „Film-Fil '95”, prezentująca znaczki o tematyce filmowej.

Mistrzowie kina — projekcje

Jeszcze jedną ważną imprezą wpisaną w kalendarz łódzkich obchodów będzie IV Forum Kina Europejskiego. Organizator Forum, Centrum Filmowe „Pro Cinema”, od kilku miesięcy przygotowuje program, na który złożą się projekcje klasycznych i najnowszych filmów europejskich oraz tradycyjne tytuły amerykańskie reżyserowane przez twórców z Europy, z udziałem europejskich aktorów.

Wiadomo już, że podczas imprezy odbędzie się Przegląd Kina Brytyjskiego. Zaplanowano także festiwal filmów Eliasa Querejety — jednego z największych producentów europejskich, twórcy nowego kina hiszpańskiego, dzięki któremu powstały m.in. dzieła Carlosa Saury, Victora Erice i Montxo Armendariza. Mówi się też o przyjeździe samego Querejety do Łodzi. Tylko u nas będzie można uczestniczyć w uroczystej prezentacji produkcji francuskiej firmy „Pathe”, pokazywanej z okazji 100-lecia kina na największych przeglądach filmowych w Europie. Miłośnicy twórczości brytyjskiego reżysera Jamesa Ivory'ego będą mogli przypomnieć sobie jego największe filmy, m.in. *Pokój z widokiem*, *Maurice*, *Upał i kurz* oraz *Okruchy dnia*. Swoje filmy pokaże także awangardowa „Łódź Kaliska”, a dzięki współpracy z warszawskim Goethe Institut zostaną wyświetlone sztandarowe dzieła ekspresjonizmu niemieckiego. Ponadto kilkadziesiąt tytułówłoży się na cykl „Wszystko co najważniejsze — kino europejskie lat 90.”. Organizatorzy starają się też o sprowadzenie najnowszych filmów produkcji Unii Europejskiej. Całość dopełnią projekcje filmów eksperymentalnych — trójwymiarowych pod redakcją Ryszarda W. Kluszczyńskiego.

go i Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie oraz przegląd monograficzny hiszpańskiego reżysera Bigasa Luny. Zgodnie z tradycją organizatorzy przewidują też premiery najnowszych filmów europejskich i liczne imprezy towarzyszące (koncerty, pokazy mody, happeningi).

* * *

Nie tylko brak dotacji z Komitetu Kinematografii komplikuje realizację łódzkich pomysłów na 100-lecie kina. Niedawna, w zasadzie likwidacja Centralnego Gabinetu Metodycznego Edukacji Filmowej, w którym pozostawiono jeden etat spowodowała, że najprawdopodobniej trzeba będzie zrezygnować z większości imprez kierowanych do dzieci i młodzieży. — *W tej chwili nie ma kto zająć się ich przygotowaniem* — mówi **prof. Ewelina Nurczyńska-Fidelska**. — *Dlatego uda się chyba tylko zorganizować ogólnopolski konkurs literacki „Kino w moim życiu”.*

Nie do końca przemyślane decyzje, jak ta o faktycznej likwidacji Centralnego Gabinetu Metodycznego Edukacji Filmowej, mogą spowodować, że pieczołowicie przygotowany w Łodzi jubileusz kina okaże się jeszcze jedną imprezą, adresowaną wyłącznie do środowiska związanego z filmem. Byłaby to duża szkoda. Ale w końcu, czy kino może jeszcze zainteresować młodzież? — Ma przecież już 100 lat.

*Zjawiał się przed widzem jak szczodry
Pan Bóg...*

KAZIMIERZ LEWKOWSKI

Aleksander Bardini

Nigdy z Aleksandrem Bardinim nie zetknąłem się osobiście. A mogło przecież stać się inaczej. Kilkakrotnie zapraszaliśmy Go do Szkoły Filmowej, co przyjmował z radością, ale jednocześnie coś zakłócało Mu przyjazd do Łodzi. Zapraszałem Go także na Festiwal Szkół Teatralnych, aby przewodniczył jury, ale i tu ingerowały siły z zewnątrz: zachorował.

Ten Jego niespełniony przyjazd do Łodzi może zastanawiać. Tu się przecież urodził 17 listopada 1913 roku, jednak swego miasta rodzinnego nie wspominał z nostalgiczną nutą, przeciwnie — z rozgoryczeniem i niechęcią. Dlaczego? Bóg raczej wiedzieć. Być może to — jak się mówi — niedobre miasto było dla Niego rzeczywiście niedobre. W tym mieście, prawie nietkniętym przez II wojnę światową, spłonął doszczętnie jego dom rodzinny, a najbliżsi zaginęli bez wieści.

Łódź jednak, pomimo wszystko, ukształtowała Aleksandra Bardiniego. Pożegnał się z nią przecież dopiero po maturze. Tu obcował z muzyką i teatrem. Właśnie w Łodzi grywał dla przyjemności u siebie w domu i w domach swoich przyjaciół (to wspólne muzykowanie należało do tradycji), słuchał koncertów w filharmonii, chodził do teatru. Te doświadczenia musiały zaważyć na decyzji młodego maturzysty o wstąpieniu do Szkoły Dramatycznej. Tym bardziej, że teatr łódzki lat 1925-31, teatr Arnolda Szyfmana i Karola Adwentowicza, teatr artystyczny ze znakomitym repertuarem — od Słowackiego do Witkacego — mógł dostarczać takich inspiracji. Choć publicznosc łódzka nie była tak wyrobiona, by z Łodzi zrobić miasto teatralne, obaj wielcy artyści takie właśnie przed sobą postawili zadanie. Liczyli na poparcie zespołu artystycznego i środowisk młodej inteligencji, która w żartobliwych wierszykach zwracała się do łódzkiej publiczności tymi słowami:

*Oto przybytek boskiej Melpomeny
Dziś swe otwiera gościnne podwoje,
Z obojętnymi na kulturę ludźmi,*

*By znów prowadzić swe zaszczytne boje...
Będą rzucane perły przed publiczność,
Czerpane garścią z Szyfmanowskiej miski,
Pójdzie paskarskie grono nuworyszów
W przeciągłym ziewie rozwierając pyski.*

*Hola Łodzianie: (Chrześcijańska grupa)
Kto z was pretensje rości do kultury
Ten nie po knajpach winien zadymionych
Siedzieć, lecz zapchać Melpomeny mury.*

*Dziś przeżyjecie jedną noc rozkoszy,
„Sen nocy letniej” nigdy nie przespany,
A zaś niedługo „Cud świętej Joanny”
Ujrzenie cudnie przez Malicką grany.*

*Więc pasibrzuchy! Smakosze! Opoje!
Trzeba już wreszcie zmienić pożywienie
I zamiast wódkę zagryzać śledzikiem
Raz do teatru iść na przedstawienie!*

Powiem zatem wprost — to łódzki teatr zadecydował o wyborze drogi życiowej Aleksandra Bardiniego. W roku 1935 jest wśród absolwentów Wydziału Aktorskiego, a w 1939 wśród dyplomantów Wydziału Reżyserii Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej (PIST) w Warszawie. Czym był przedwojenny PIST? Była to szkoła teatralna złożona z dwóch wydziałów, aktorskiego i reżyserii teatralnej. Twórcami PIST-u byli Aleksander Zelwerowicz i Leon Schiller, a uczyli tam m.in. Stefan Jaracz, Zofia Małynicz, Janina Mieczysława, Aleksander Węgierko i wielu innych wielkich polskiego teatru.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że wśród absolwentów PIST-u, aktorów i reżyserów, pojawi się talent tak nieoczekiwany, różny od stereotypu talentu aktorskiego czy reżyserskiego. Urodziła się bowiem osobowość teatru, która w krótkim czasie — już po wojnie — stała się wzorcem dla młodych oraz autorytetem moralnym i artystycznym dla pokoleń ludzi polskiej sceny.

Wspominamy Aleksandra Bardiniego jako wielkiego moralistę i filozofa współczesnego teatru, kogoś na kształt starych mądrych myślicieli, którzy wędrując przez życie uczyli innych wcale im tego nie ujawniając. W środowisku teatralnym Aleksander Bardin był tym człowiekiem teatru, który swoim istnieniem, swoją twórczością aktorską, reżyserską, swoim kunsztem pedagoga (od 1950 w warszawskiej PWST) dawał nam wszystkim poczucie spokoju. „Oto jestem” — zdawał się mówić. — I był — samym swoim istnieniem dokumentował

wszystko co najlepsze w polskiej sztuce teatru. Dlatego chcieli Go w świecie, w Europie i w Ameryce, w Izraelu i w Polsce, w teatrze dramatycznym i w operze, w telewizji i w filmie.

Zjawiał się przed widzem, jak szczodry Pan Bóg, który prowadził swego wernego wyznawcę poprzez labirynt sztuki i życia. Aż przyszedł czas, że sam stanął w szeregu tych ludzi teatru, którzy wieczną sztukę przenoszą do wieczności. Nam natomiast zostawił Pamięć i Wiarę w nieprzemijający dyskretny urok piękna, którego był najwyższym kapłanem.

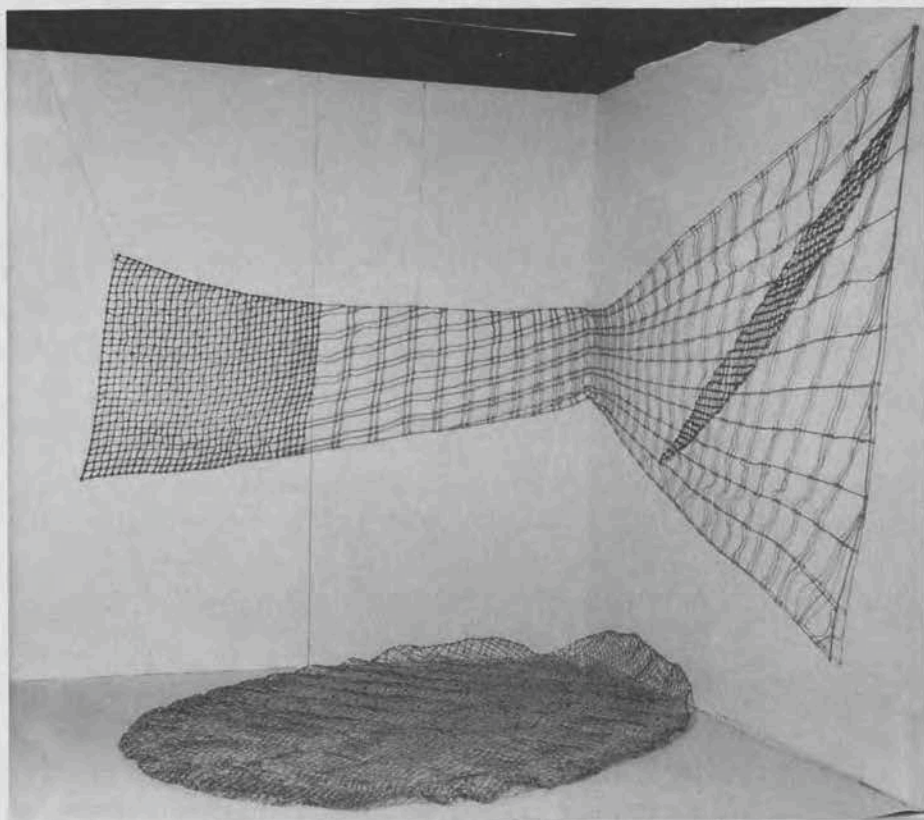
DOMINIKA ŁARIONOW

Wariacje na temat tkaniny w królestwie fabrykanta

Kiedy Ludwik Geyer w 1835 roku rozpoczął budowę swojej manufaktury przy ulicy Piotrkowskiej 282, zwanej dzisiaj „Białą fabryką”, nie przypuszczał nawet, że 160 lat później w tym miejscu już nie będzie słyszeć stukotu maszyn przędzalnianych, ale delikatne tupanie gości zwiedzających sale Centralnego Muzeum Włókiennictwa. Tegoroczny jubileusz jest podwójny. Jest to nie tylko rocznica założenia fabryki, ale mija również 35 lat istnienia Muzeum. Z tej okazji mieliśmy możliwość obejrzenia unikatowej, jak na skalę polską, ekspozycji ubioru, reprezentującego głównie tendencje w modzie od XIX wieku po dzień dzisiejszy. Na ten rok przypada również 8 edycja Międzynarodowego Triennale Tkaniny, jednego z ważniejszych konkursów artystycznych odbywających się w Polsce, którego łódzkie Muzeum jest głównym organizatorem.

Zanim jednak podejmę się omówienia najważniejszej ekspozycji roku 1995 w salach muzeum, powróćmy na chwilę do XIX stulecia, kiedy to jeszcze nikt nie znał terminu „tkanina artystyczna”. W Łodzi produkowano głównie tkaniny na eksport w głąb Rosji. Ludwik Geyer, fundator i właściciel „Białej fabryki”, przybył z Niemiec do Królestwa Polskiego w 1826 r. Grunty przy ulicy Piotrkowskiej 282 zakupił w 1833 r. Od 1835 r. rozpoczął na tym terenie budowę chyba największej inwestycji swojego życia. Trzypiętrowy budynek zwany „przędzalnią” został ukończony w 1837 r. Był to najnowocześniejszy zakład w mieście. W rok po otwarciu Geyer zainstalował tam pierwszą w Łodzi maszynę parową o mocy 60 KM. To właśnie nad „Białą fabryką” wyrósł pierwszy komin. Później kominy miały stać się cechą charakterystyczną miasta. Prawie wszystkie zostały rozebrane w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych naszego stulecia, zmieniając krajobraz Łodzi — mało kto dziś jeszcze o nich pamięta.

„Biała fabryka” należała do królestwa manufakturowego rodziny Geyerów aż do powszechnego uwłaszczenia po II wojnie światowej. **Od roku 1960 w tym bu-**



Medal złoty, Zaiga Putrama (Łotwa), „Pasaż”

dynku mieści się Centralne Muzeum Włókiennictwa, jedyna placówka o takim charakterze w Polsce. Swą wyjątkowość zawdzięcza trzem dyrektorom: Krystynie Kondratiukowej (1960-76), która powołała muzeum do istnienia, Adamowi Nahlikowi (wicedyrektor w latach 1960-76, później dyrektor 1976-80), Norbertowi Zawiszcy (od 1981 do tej pory). Początkowo ekspozycje ograniczały się do prezentacji tkactwa na przestrzeni wieków, starych narzędzi i maszyn włókienniczych. Dopiero wraz z pojawieniem się idei zorganizowania Triennale zmienia się profil wystawieniczny muzeum.

I. ÓSME MIĘDZYNARODOWE TRIENNALE TKANINY

Do lat pięćdziesiątych naszego wieku tkanina artystyczna pełniła tylko rolę dekoracyjną. Nierzadko w swym wzornictwie reprodukowała malarstwo. Eksperymenty artystyczne zapoczątkowane w połowie XX wieku stworzyły z niej odrębną dziedzinę sztuki, równą malarstwu, rzeźbie czy grafice. W roku 1962 zainicjowano pierwsze Biennale Tkaniny w Lozannie. Słynny był wówczas sukces polskich artystów-tkaczy: Magdaleny Abakanowicz, Wojciecha Sadleya, Jolanty Owidzkiej. Ich twórczość została potem nazwana przez krytyków „polską szkołą tkaniny”. Prace tej grupy zachwyciły śmiałością wykorzystania wielu materiałów tradycyjnie uznanych za nie-tkackie, szokowały odrzuceniem powszechnie akceptowanych, konwencjonalnych form artystycznych.

Atmosfera artystyczna lat sześćdziesiątych w Polsce, sukces naszych tkaczy w Szwajcarii przyczyniły się do zorganizowania w 1972 r. pierwszego Ogólnopolskiego Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej. Głównym pomysłodawcą było Muzeum Włókiennictwa w Łodzi oraz środowisko łódzkich artystów-plastyków. W 1975 r. Triennale stało się już imprezą międzynarodową, a miejscem jego ekspozycji — sale wystawowe „Białej fabryki”. Od 1981 r. zrezygnowano z prezentacji tkaniny przemysłowej.

Rada Programowa kieruje przygotowaniem i organizacją Międzynarodowego Triennale Tkaniny. Poszczególnych artystów zgłaszają wybrani przez Radę krytycy sztuki, kuratorzy muzeów, związki twórcze, wybitni artyści. Nadesłane prace winny być wykonane z surowców włókienniczych lub operować techniką przepłotu.

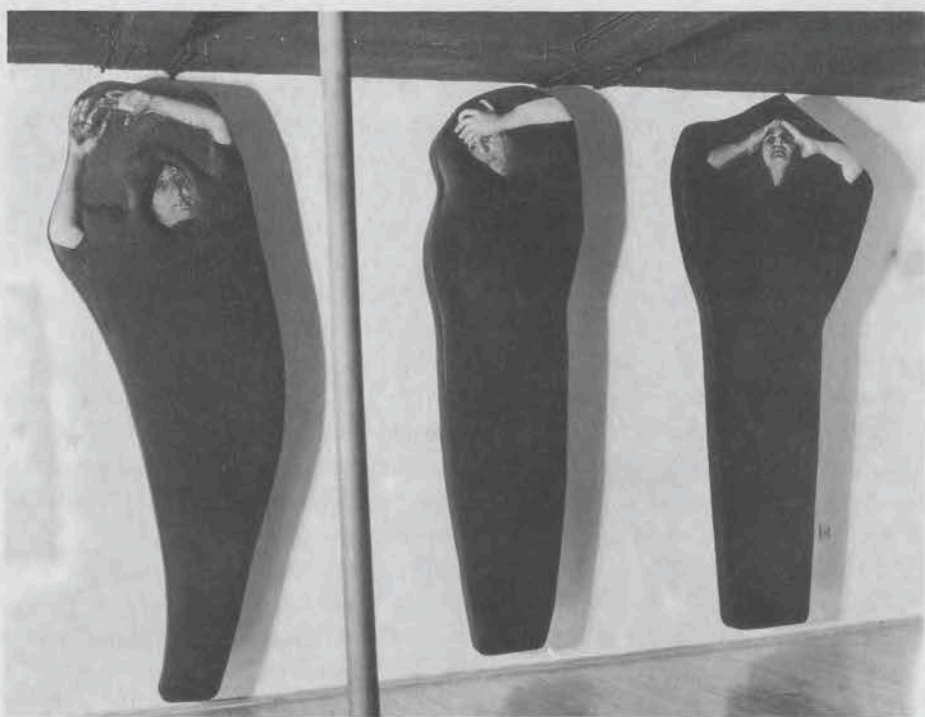
Tkaniny ocenia międzynarodowe jury, które za najlepsze, nowatorskie prace przyznaje medale. Odrębny medal jest przyznawany przez Centralne Muzeum Włókiennictwa. W każdym triennale bierze udział około 100 artystów, z 30 krajów. Tegoroczna, ósma już edycja należy do rekordowych (130 uczestników z 47 krajów).

Triennale zrodziło pytanie: czym jest dziś tkanina artystyczna? Często w swojej technice jest bardzo odległa od warsztatu tkackiego w klasycznym znaczeniu. Ekspozycja jest dobrym momentem na przedstawienie wielu nowych nurtów w tej

dziedzinie sztuki. Tkanina artystyczna stała się nie tylko sztuką włókna. W swej formie często korzysta z wielu tworzyw, które pozornie nie są materiałem dla artysty-tkacza. Za przykład może posłużyć praca polskiego artysty Alojzego Gryta zatytułowana „Spotkanie...”. Wykonana została ze szkła wiążanego sznurem. Tak „utkany” kobierzec pokrywa przestrzeń, przypominając ciężki aksamitny obrus. Jest w nim coś nieskończonego. Wydaje się, że ciągle można doń dowiązywać kolejne szklane kwadraty. Popularnym tworzywem artystów pokazujących swe prace w tym roku były papier oraz metal. **Nagrodzona złotym medalem praca Zaigi Putramy (Łotwa) — „Pasaż”, to plecionka z drutu metalowego.** Przypomina w swej strukturze sieć. Uroku dodaje ekspozycja. Dzieło zostało zawieszone na białej przestrzeni, dzięki której dodatkowo widać delikatną „nić” splotu. Kompozycja składa się z dwóch nie połączonych ze sobą elementów. Jeden rozciąga się na białej podłodze, drugi zawieszony nad nim ciągnie się — jak pasaż — bez końca.

W kategoriach tkaniny możemy mówić o pracy Wojciecha Sadleja zatytułowanej „Całun”, nagrodzonej srebrnym medalem. Nestor polskiego tkactwa posłużył się jedwabiem, na którym namalował portret chabrowej ziemi z poświętą słońca z jednej, a księżyca z drugiej strony. Koloryt, choć obfitujący w zimne barwy, niesie w sobie coś wesołego, choć to przecież całun. Może krytyk pozwolił sobie w tym miejscu na interpretację zbyt daleko idącą, ale jest w tej tkaninie niezapomniany urok skłaniający do refleksji. Odmienne uczucia wzbudza praca Izabeli Gustowskiej (Polska) „Sen czarny (Lamentacje)” nagrodzona również srebrnym medalem. Na ekspozycję składają się trzy wielkie rzeźby, przedstawiające tę samą kobietę zastygłą w różnych gestach rozpacz. Gustowska posłużyła się włóknem syntetycznym, drewnem, plexi, metalem, kliszą fotograficzną. Istotnie jest to czarny sen. Postacie wystają jakby z kokonów. Stają się zrozpaczonymi posągami, których gesty wskazują na to, że najchętniej by stąd uciekły. Ocena tej pracy przez jury była szeroko komentowana podczas pierwszych dni otwarcia Triennale. Dyskusji przysporzyło umieszczone obok dzieło Urszuli Plewki-Schmidt zatytułowane „Historia”. Składa się ono z wielu elementów. Trzon stanowią konie — rzeźby, pokazujące szkielety uplecione z wełny i lnu podtrzymanego metalem. Stoją dumnie wyprostowane na tle gobelinów przedstawiających wizerunki prehistorycznej bogini płodności. Całość utrzymana jest w odcieniach zieleni. Chyba nie potrzebujemy czarnych egzystencjalnych snów. Uzasadnieniem nagrody jury dla Gustowskiej mogło być dość oryginalne zastosowanie fotografii jako tworzywa tkackiego. Ale przecież z ostatecznym werdyktem nie należy się spierać. Jury było międzynarodowe; być może podczas 9 edycji Triennale okaże się, że fotograficzne rzeźbo-tkaniny stały się zaczątkiem nowej formy artystycznej.

Wśród nagrodzonych prac, posługujących się niekonwencjonalną techniką i formą, zastanawia brązowy medal przyznany Peterowi Hornowi (RFN) za pracę „Bez tytułu”. To wszak tradycyjnie utkany gobelin! Osia tej tkaniny są twarze grupy Żydów, wysiadających z bydlęcych wagonów. Ten zbiorowy czarno-biały portret zaj-



Medal srebrny, Izabela Gustowska (Polska), „Sen czarny. Lamentacje”, 1994

muje jedną trzecią powierzchni dzieła. Spuszczając zaskoczony wzrok niżej, w dół, widzimy zielone pnie drzew. Te dwa obrazy kłócą się ze sobą. Czerń i biel starego dokumentu kontrastuje z żywą zielenią przyrody. Horn posłużył się prostym zestawieniem symbolicznym, aby osiągnąć przejmujący efekt.

Również tradycyjnie tkaną jest praca „Trzeci kwadrans”, autorstwa Włodzimierza Cygana, nagrodzona medalem Związku Artystów „Sztuka Użytkowa”. Znany w środowisku tkaczy łodzianin jest redaktorem naczelnym specjalistycznego pisma „TextilTextil”. Jego tkanina przypomina formą ćwiartkę zegara ubarwioną szeregiem drobnych, niespodziewanych elementów. Małe drobne aplikacje ożywiają kolorystykę tkaniny zakomponowanej w czarno-beżowych odcieniach. Medal Centralnego Muzeum Włókiennictwa otrzymał Hans Herpich (RFN) za pracę „60/10 — Nm 10/2 12/2”. Tak matematycznie oznaczona tkanina jest zbiorem pięciu jednakowych kwadratów w odcieniach bieli.

Trudno jest oceniać poziom tegorocznego Triennale. Każdy z reprezentowanych krajów przedstawił pozornie różne prace. **Jednak wydaje się, że artyści ze wszystkich stron świata łączy jeden wspólny cel — poszukiwanie nowych technik wyrazu.** Miło stwierdzić, że polscy twórcy cały czas nieprzerwanie od lat 60. należą do światowej czołówki. Można pokusić się o jakieś za-

szufladkowanie nurtów reprezentowanych przez tkaczy z niektórych krajów. Artysty ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii śmiało operują bardzo ostrą barwą. Medal brązowy otrzymał Rushon Aust (Wielka Brytania) za pracę „Azof Posts” — kolorowe wiszące pasy, częściowo tkane, częściowo aplikowane. Wyóżnienie honorowe zostało przyznane jaskrawej kompozycji Michaela F. Jamesa „Metafizyka akcji”

Japończycy zawsze zaskakiwali odbiorców Triennale. W tym roku, choć nie znaleóli się oni wśród laureatów, nie zawiedli swych zwolenników. Pokazano nam delikatne prace z juty, bambusu, jak dzieło Yoshiko Tanabe „Bez tytułu”, której eteryczna kula wręcz „fruwala” po salach muzealnych. Masao Yoshimura przedstawił „Materię powietrza” — delikatne metalowe kwadraty pokryte włóknami jedwabiu i bawełny. Te „ulotne” kompozycje ujawniły doskonały warsztat Japończyków.

Prace artystów indyjskich, choć wykonane zostały w tradycyjnej technice, nie wzbudziły zainteresowania krytyków. Pełnią one, niestety, tylko funkcję dekoracyjną. Nie są zapowiedzią jakiejś ciekawej kompozycji ani nowej formy. Przy tej okazji można zauwaózyć, jak silne są w tym kraju związki sztuki z tradycją.

Wychodząc z ekspozycji Triennale, która zajęła w tym roku aż 3000 m², warto jeszcze spojrzeć w wielkie oczy nadrukowane na kawałku bawełnianego prześcieraóła. Hiszpański artysta Julian Ruesga Bono podpisał swoje dzieło: „Caution, Art Watching You”, co oznacza: „Ostroóźnie, Sztuka Cię obserwuje”.

II. KALENDARIUM MIĘDZYNARODOWEGO TRIENNALE TKANINY

1 Ogólnopolskie Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, Łódź 1972

Nagrody Ministra Kultury i Sztuki dla:

- * Teresy Muszyńskiej za zestaw prac w dziedzinie tkanin unikatowych,
- * Henryka Kubika za zestaw prac dywanów w dziedzinie tkaniny przemysłowej.

Nagrody Ministra Przemysłu Lekkiego dla:

- * Janiny Pierzgalskiej za zestaw prac w dziale tkaniny unikatowej,
- * Jana Dekczyńskiego i Kazimierzy Rusak za zestaw prac w dziale tkaniny przemysłowej.

1 Międzynarodowe Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, Łódź 1975

Nagroda Ministra Kultury i Sztuki dla:

- * Masakazu Kabajasz (Japonia) za kombinację „Wiatr IV”.

Nagroda Ministra Przemysłu Lekkiego dla:

- * Edite Viguer (ZSRR) za prace „Wrażenia z podróóy”.

3 Międzynarodowe Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, Łódź 1978

W dziale tkaniny unikatowej przyznano:

- * złoty medal Berit Hejelhort (Dania) za: „Długa podróż”.

Srebrne medale otrzymali:

- * Irnia Kukkasjarsi (Finlandia) za: „Ukończona forma 3. Skała”,

- * Archie Bseman (Wielka Brytania) za pracę „Udział”.

W dziale tkaniny przemysłowej nie przyznano złotego medalu.

Srebrne medale otrzymali:

- * Janagishi Masafumi (Japonia),

- * Hiroshi Awatsuji (Japonia).

4 Międzynarodowe Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, Łódź 1981

Złoty medal:

- * Naomi Kobayahi za kompozycję z bawełnianego sznura „Ito wa ito”.

Srebrny medal:

- * Anie Lupas (Rumunia) za pracę „Prolegomena do okrągłej mogiły”.

5 Międzynarodowe Triennale Tkaniny, Łódź 1985

Jury nie przyznało złotego medalu.

Srebrne otrzymali:

- * Maria Chojnacka (Polska) za tkaninę „Diuny”,

- * Akio Hamatani (Japonia) za pracę „Biały łuk 6”.

6 Międzynarodowe Triennale Tkaniny, Łódź 1988

Złoty medal:

- * Dobrosława Kowalewska (Polska) za pracę „Ikariada D”.

Srebrne medale otrzymali:

- * Katsuhiro Fujimura (Japonia) za pracę „Bez tytułu”,

- * Wojciech Jaskółka (Polska) za „Moment czasu”.

7 Międzynarodowe Triennale Tkaniny, Łódź 1992

Złoty medal:

- * Jolanta Rudzka-Habisiak (Polska) za pracę „Marzenie dzieciństwa czyli obraz zapamiętany”.

Srebrne medale otrzymali:

- * James Bassler (USA) za pracę „Dziesięć skór”,

- * Kristine Jansdottir (Islandia) za tkaniny „Księga czasu”.

8 Międzynarodowe Triennale Tkaniny, Łódź 1995

Złoty medal:

- * Zaiga Putrama (Łotwa) za pracę „Pasaż”.

Srebrne medale otrzymali:

- * Wojciech Sadley (Polska) za pracę „Całun”,
- * Izabela Gustowska (Polska) za pracę „Sen czarny/ Lamentacje”.

III. OD EMPIRU DO BEATLESÓW

Krótką historia mody

W Londynie wielką atrakcją sezonu teatralnego w Coven Garden była premiera *Così fan tutti* Amadeusza Mozarta. Nie stało się to bynajmniej za sprawą znakomitego wykonania czy reżyserii Jonathana Millera. Przyczyną całego zamieszania były kostiumy zaprojektowane przez Giorgio Armaniego. Ten tytan światowej haute couture ubrał rozśpiewanych, flirtujących operowych kochanków w stroje ze swojej najnowszej letniej kolekcji — wiosna-lato 1995. Nie pierwszy to przypadek, kiedy wielki projektant mody przygotowuje kostiumy do spektaklu teatralnego. Natomiast interesujące było to, że dzięki współczesnej oprawie Armaniego i ascetycznym dekoracjom Millera ta kostiumowa opera nabrała wręcz ponadczasowego charakteru i prostoty.

W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto w tym roku nową wystawę, bazującą na zbiorach muzeum — „Od empiru do Beatlesów”. Przedstawia ona historię ubioru i tkaniny od roku 1800 do 1970. Obejmuje zatem czas ogromnych reform w modzie, uwarunkowanych historią (począwszy od rewolucji francuskiej, Napoleona, poprzez obydwie wojny, na fascynacjach spod znaku Beatlesów kończąc). Ekspozycja ta nie doczekała się jeszcze obszerniejszej publikacji. Urządzona skromnie, w jednej dużej sali, jest pierwszą tego typu wystawą w Polsce. Zupełnie zauroczona, przewędrowałam przez dwa wieki mody.

Podróż rozpoczyna się na przełomie wieków XVIII i XIX, wraz z rozwojem tkactwa maszynowego. Wówczas w Europie dominowała moda francuska. Rewolucja francuska dokonała wielkich przemian nie tylko w społeczeństwie czy kulturze, ale i w ubiorze, co można określić jako pierwszą reformę ubioru. W okresie Dyktariatu i rządów Napoleona kobiety, po raz pierwszy od dwóch wieków, zrezygnowały z gorsetu i szerokiej spódnicy na rzecz długiej jednoczęściowej sukni, nawiązującej do starożytnej tuniki. Szyto ją z białego tiulu, muszliny czy lnianego batystu, często zdobiąc haftem. Styl klasyczny wyrażał ideały tej epoki. Nie zapominajmy, że życie towarzyskie i artystyczne skupiało się wtedy w salonach wybitnych kobiet. Najbar-

dziej znane z paryskich salonów to salony madame de Staël i madame Récamier. Zwłaszcza ta ostatnia, obdarzona niepospolitym wdziękiem, talentem towarzyskim i sztuką konwersacji, grupowała wokół siebie najznakomitszych artystów. Była też często portretowana.

Moda ta, zwana *empirem*, trwająca do roku 1815, rozszerzyła się na całą Europę, a szczególnie przyjęła się w Polsce, która z Napoleonem wiązała wielkie nadzieje na odzyskanie niepodległości. Związek mody z polityką odzwierciedlały suknie polskich dam.

Niestety po upadku Napoleona kobiety powróciły do gorsetów (styl *biedermeier*) i ciemnych kolorów (zgaszone brązy, zielenie, fiolety i granaty). W owym czasie za tkaninę najbardziej wytworną uważany był biały i kolorowy jedwabny atlas — „*Medicis*” — w złote i srebrne kwiaty. W okresie cesarstwa (Napoleon III, 1848-70) do krępującego kobietę gorsetu dochodzi ogromna krynolina usztywniona obręczami z bambusa, metalu i fiszbinów. Modnym elementem stroju staje się mała parasolka, bogato przystrojona koronkami. W latach 1860-70 polskie kobiety na znak żałoby narodowej (upadek Powstania Styczniowego) ubierały się na czarno.

Lata 1870-1920 łączą się z ogromnym rozwojem przemysłu; pojawiły się różne możliwości wzornictwa tkaniny odzieżowej. Sylwetka kobiety uległa zmianie — zwężona spódnica w przodzie, z tyłu zebrana w tiuniurę. Przełom wieków XIX i XX to czas wspaniałej, fantazyjnej secesji. Forma sukni staje się falista, podobna do litery „S”. Wszystkie ubiory damskie cechowało dość duże bogactwo ozdób i dodatków. Wzornictwo tkanin było już bardzo rozwinięte. W okresie I wojny światowej forma uległa jeszcze większemu uproszczeniu. Pojawia się nowy asortyment odzieży — kostium złożony z żakietu i długiej, wąskiej spódnicy. Duży kapelusz noszony przed wojną zamienia się w kapelusik-kask. Wzrasta wśród kobiet nowoczesnych zainteresowanie sportami, dlatego pojawił się m.in. kostium kąpielowy.

Lata dwudzieste naszego wieku to druga ogromna reforma mody. Złożyło się na nią wiele czynników — emancypacja kobiet, zmiany obyczajowe po I wojnie światowej, pojawienie się samolotu, auta i tramwaju. Najważniejszym ośrodkiem mody jest znów Paryż, gdzie rewolucjonistką wśród projektantów jest Coco Chanel, która lansując prostotę sprawiła, że do mody przeniknął powiew młodości. Jak wyglądała kobieta w stylu Chanel? Włosy obcięte krótko, nazywane „chłopczycą”, suknia prosta, krótka (do kolan, ale zdarzało się i nieco ponad) złożona z dwóch części: góra gładka i spódnica od bioder plisowana lub z ułożonymi fałdami, co utrzymywało pion, nie poszerzając jej dołem. Na głowie królował głęboko osadzony kask. W ten sposób suknia lat dwudziestych maskuje biodra i piersi; zaczyna być modna kobieta płaska i szczupła.

Na bale, „fajfy”, wieczorki tańczące, rauty nadal stosowane były bardzo luksusowe i ozdobne tkaniny. Chętnie zestawiano błyszczące z matowymi. Pojawiły się też materiały haftowane przemysłowo, na przykład paciorkami, „sieczką” szklaną i cekinami. Druk na tkaninach był inspirowany ówczesną awangardą malarską. Roz-

szerzyła się moda na ubiory sportowe i pojawiło się dużo nowych form stroju, np. pilotka.

Lata trzydzieste to pełne prostoty suknie podkreślające naturalne kształty kobiecego ciała. Suknia wydłuża się do połowy łydek, czasami aż do kostek. Kostiumy noszone są powszechnie — czasami inspirowane modą męską — szczególnie w końcu tej dekady. W latach tych wzrasta też ogromnie popularność wzorzystych tkanin drukowanych, o kolorach czystych, nasyconych. Po raz pierwszy pojawia się sztuczny jedwab.

Wiele eksponatów z tego okresu podarowała muzeum zapisem testamentowym p. Teresa Roszkowska (wybitny scenograf polski). Doskonale dopełniają one kolekcję, a na szczególną uwagę zasługuje pochodzące z Paryża urocze „sortie” ze skóry małpy.

Na wystawie wzrusza nas widok przepięknych tkanin, dziś już nie produkowanych, które nosiły nasze babki i prababki. Czy możliwe są dzisiaj takie tkaniny z lnu i bawełny jak: organdyny, muśliny, tiule, batysty, grenadyny? A jedwab — gruby i mięsisty, a krepy, aksamity, żorżety, adamaszki i atłasy? Materiały te cechuje znakomita jakość i wykończenie.

W latach czterdziestych (II wojna światowa) długość ubioru zostaje skrócona do kolan, natomiast znacznie poszerzają się ramiona. Suknie, kostiumy, płaszcze miały charakterystyczne wcięcie w pasie i szerokie watowane ramiona. W skład codziennego stroju weszły spodnie i swetry. Ubiory te sztyto z podobnych tkanin jak w latach poprzednich, ale były one znacznie gorsze zarówno pod względem technicznym, jak i surowcowym (tkano nawet konopie i jutę z dodatkiem papieru). Pojawiły się też nowe materiały produkowane z włókien syntetycznych. Często bywały to niedawne surowce strategiczne, np. ze zużytych nylonowych spadochronów sztyto bluzki. Pojawiły się też tkaniny powlekane lub nadrukowywane tworzywem sztucznym, a nawet laminowane warstwą pianki. Niezwykle rozwinęła się też produkcja dzianiny, ówczesnie zwanej dżersejem.

W roku 1947 odnotowujemy powrót do naturalnej kobiecości. Wraca długość do połowy łydki. Co ciekawe, zmęczeni wojną mężczyźni zaczynają przejmować wiele elementów z mody kobiecej, a przede wszystkim intensywne kolory.

Okolo roku 1955 sięgające połowy łydki spódnice zaczęto stopniowo skracać, a dziesięć lat później zapanowała już moda bardzo krótkich spódniczek „mini”.

W końcu lat pięćdziesiątych i w początkach sześćdziesiątych dominowała w stroju linia prosta, której klasycznym przykładem była garsonka lub komplet z dzianiny w typie Coco Chanel. Popularny codzienny ubiór stanowiły spódnica i sweter lub „błiniak” (komplet dwóch swetrów). Weszła też w modę nowa tkanina ortalionowa, z której sztyto bardzo popularne w owym czasie płaszcze. Lata te ilustrują m.in. eksponaty „mistrza grzebienia” Anotoine’a, osobiście przez niego zaprojektowane i noszone. Na szczególną uwagę zasługuje garnitur zimowy uszyty ze sztucznego futra, tzw. „misia”. Jego forma wyprzedza co najmniej o 20 lat ówczesne tendencje mody.

Oprócz tradycyjnego stylu w ubiorach rozwinęła się odrębna moda młodzieżowa, na którą ogromny wpływ mieli bohaterowie kina (Brigitte Bardot, James Dean), piosenkarze i słynni wykonawcy rockowi (Elvis Presley i „The Beatles”).

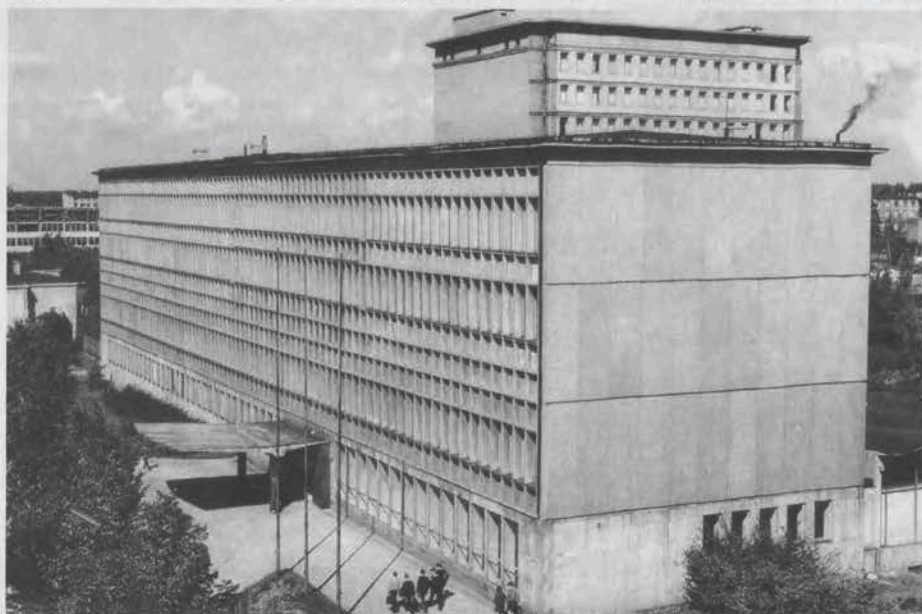
Na tym kończy się podróż po wiekach mody. Po ostatnich pokazach kolekcji haute couture, które zachwyciły niesłychanym eklektyzmem, widać że wielcy projektanci korzystają z doświadczeń swoich poprzedników przy kreowaniu wizerunku kobiety końca XX wieku. **Szkoda, że tak starannie dopracowana wystawa nie może ze względów technicznych (trudna konserwacja eksponatów) stać się stałą ekspozycją Centralnego Muzeum Włókiennictwa. Miejmy nadzieję, że warunki finansowe tej placówki ulegną poprawie i będziemy mogli oglądać wiele ciekawych wystaw tworzonych z bogatych zbiorów muzeum.**

JERZY ANDRZEJEWSKI

50 lat Uniwersyteckiej Książnicy

11 lutego 1945 roku Komitet Organizacyjny Państwowego Uniwersytetu Łódzkiego powołał do życia Bibliotekę Uniwersytecką, która miała powstać od zera.

Wprawdzie Łódź międzywojenna posiadała zaczątki ośrodka akademickiego w postaci Oddziału Wyższej Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych (1924-27) i Oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej (1928-39) oraz mało rozwinięty system biblioteczny składający się z: liczącej 65 000 tomów Miejskiej Biblioteki Publicznej, bibliotek WWP, Szkoły Zgromadzenia Kupców, Liceum im. M. Kopernika, a także licznych mniejszych bibliotek, to po raz pierwszy miał powstać w mieście duży Uniwersytet, dla którego naturalnym zapleczem naukowym miała być nowoczesna i dobrze zorganizowana biblioteka.



Wojna poczyniła spore spustoszenie w łódzkich księgozbiorach. Opracowany w 1949 r. raport „Straty bibliotek polskich w czasie II wojny światowej” przez Biuro Pełnomocnika Rządu d/s Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego Za Granicą podaje także dane dotyczące m. Łodzi i powiatu łódzkiego. Ogółem w czasie wojny poważnego uszczerbku doznało 275 bibliotek łódzkich tracąc 2 049 029 jednostek bibliotecznych (wśród nich przestały istnieć duże biblioteki prywatne, m.in. Antoniego Remiszewskiego, Ludwika Stolarzewicza, Zygmunta Hajkowskiego, Przecława Smolika, Jana Warężaka, Józefa Śmigielskiego).

Pracę od podstaw rozpoczął 5-osobowy zespół pod kierunkiem Zygmunta Dylika. W jego składzie byli Stefan Dobraniak oraz studenci: filozofii — Jan Kalicki, medycyny — Zdzisław Staweno, ekonomii — Ludwik Innocenty Święcicki i nieco później Barbara Bedryńska.

Głównym ich zadaniem było „zbieranie książek”. Na podstawie upoważnienia Pełnomocnika Rządu R. P. zabezpieczali porzucone, niczyje, poniemieckie i żydowskie książki w Łodzi i w okolicach. Od rana do zmroku krążyli po mieście wyszukując druki, czasopisma i inne materiały, zabezpieczając je poprzez oklejanie specjalnie wydrukowaną nalepką:

Księgozbiór zarezerwowany
do dyspozycji
Państwowego Uniwersytetu w Łodzi
Niszczenie i zabieranie książek wzbronione

Systematycznie i konsekwentnie zwożono zabezpieczone księgozbiory do dwóch lokali przydzielonych bibliotece przy ul. al. Kościuszki 10 i Narutowicza 59a.

Z początkiem 1946 r. rozpoczęto akcję ściągania zbiorów z Ziem Zachodnich i Odzyskanych. W wyniku długotrwałych eskapad wysłużonym willisem kierowanym przez A. Santi zdołano ściągnąć do Łodzi księgozbiory: von Ostenów z Płotów (13 tys.), hrabiego Hochenberga z Wierzchowic, z Radem (12 tys.), Marzyna (56 tys.), Koszalina, Kostrzyna, Jeleniej Góry, Zemsza, Gródka, Parsowej, Głabczyc. Trafił tu także fragment Pruskiego Skarbu z Berlina. Główny ciężar tych prac spadł na zespół: Wacława Frontczaka, Ignacego Myszkowskiego, Annę Bojanowską — z Z. Dylikiem na czele.

Mimo przydzielania BUŁ wielu księgozbiorów przez Ministerstwo Oświaty nigdy nie trafiły one do Łodzi. I tak: biblioteka królewiecka znalazła się w UMK w Toruniu, biblioteka z Dobrej w Uniwersytecie Poznańskim, biblioteka Stefana Lubomirskiego z Kruszyny uległa po drodze rozproszeniu, dotarło do Łodzi jedynie kilkadziesiąt książek w języku francuskim.

Spywały też do Łodzi liczne dary. Największe to: nadesłany ze Lwowa od Związku Patriotów Polskich (23 tys.), z Wilna od społeczeństwa polskiego (7,5 tys. z pamiątkami po Elizie Orzeszkowej), od Ministerstwa Oświaty, od prof. Zygmunta

Karpowicza z Wilna. Nie zapomniała też o Łodzi zagranicą, nadeszły dary m.in. od: Committee for Rehabilitation of Polish Science and Culture — New York (staraniem prof. Bohdana Zawadzkiego), Ambasady R. P. z Moskwy, UNESCO z Paryża, z Biblioteki Uniwersyteckiej w Sztokholmie, British Council i innych.

Poczyniła także biblioteka pierwsze zakupy księgozbiorów po profesorach: F. Wiśniewskim, M. Wiśniewskiej, M. Rulikowskim, Przybylskim, M. Wróblewskim, Bregmanie, Marylskiej. Od 1947 r. rozporządzeniem Min. Oświaty przyznano BUŁ egzemplarz obowiązkowy na wszystkie druki wydane w R. P.

Wyniki tej olbrzymiej akcji przeszły wszelkie oczekiwania, w roku akademickim 1946/47 zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej liczyły 320 tys. tomów, w tym 250 tys. ze zbiorów zabezpieczonych.

Delegatem d/s Biblioteki z ramienia Komitetu Organizacyjnego UŁ był prof. Jan Muszkowski (zastępujący dr. Juliana Żukowskiego), pierwszym dyrektorem został wilnianin dr Adam Łysakowski. Najstarszy personel biblioteki stanowili (poza wyżej wspomnianymi): Janina Wojciechowska, Wiesława Kaszubina, Jadwiga Kowalska, Apolonia Michalska, Janina Kukulska, Maria Trzcińska, Wacław Frontczak, Irena Treichel, Anna Bojanowska.

W 1948 r. złożono wniosek o podjęcie budowy biblioteki, po długich procedurach 16 marca 1955 r. mechaniczna koparka rozpoczęła prace nad wykopem fundamentu nowego gmachu biblioteki. Na przełomie 1958/59 r. podjęto częściową przeprowadzkę zbiorów. W dniu 19 stycznia 1960 r. (w rocznicę wyzwolenia Łodzi) nastąpił uroczysty akt oddania gmachu do użytku publicznego, w obecności ówczesnych władz PRL-owskiej Łodzi. W budynku tym BUŁ trwa po dzień dzisiejszy. Charakterystyczny gmach BUŁ z olbrzymim magazynem bibliotecznym stanowi w pejzażu dzielnicy akademickiej i miasta ważny i stały element.

W ciągu tych pięćdziesięciu lat biblioteką kierowali: dr Adam Łysakowski, prof. Helena Więckowska, doc. Bolesław Świdorski, doc. Janusz Dunin i obecnie dr Jan Janiak. Pracowały w niej także tak znane w naszym mieście osoby jak m.in. Jacek Bierezin, Jerzy Tynecki, Michał Kuna, Ewa Filipczak, Andrzej Terlecki i inni. Obecnie BUŁ zatrudnia prawie 200 osób.

Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi w ciągu swego istnienia zgromadziła olbrzymi zbiór dokumentów liczący obecnie 2,5 miliona woluminów (z czego 1 milion w 90 bibliotekach zakładowych). Znajduje się tu piśmiennictwo ze wszystkich dziedzin i zagadnień, zarówno polskie, jak i zagraniczne, poczynając od XIII wieku aż po dzień dzisiejszy. Oprócz książek i czasopism, pieczołowicie przechowuje BUŁ: kodeksy rękopiśmienne, autografy, inkunabuły, stare druki (XVI — XVIII wiek), księgozbiory historyczne, atlasy, mapy, sztychy, grafiki, fotografie, nuty, płyty i inne dokumenty dźwiękowe, druki ulotne, plakaty, książki bibliofilskie, artystyczne, autorskie, pierwodruki, artystyczne oprawy itd.

Czasami od święta prezentuje te skarby kultury narodowej i światowej na specjalnych wystawach, jak to miało miejsce w latach 1985, 1989, 1992.

Bibliotekę Uniwersytecką odwiedza rocznie ponad 70 tys. osób, które korzystają z ponad 1 miliona jednostek bibliotecznych

Po 50 latach nowoczesny gmach zappełnił się całkowicie, brakuje miejsca na zbiory; ciasnota to obecnie najpoważniejszy problem biblioteki. Pracownicy BUŁ podejmują „walkę” o rozbudowę biblioteki, a jednocześnie unowocześniają ją, wprowadzając do technologii prac bibliotecznych najnowocześniejszy komputerowy system informatyczny „Horyzont”.

BUŁ jest także ośrodkiem badań nad historią książki, edytorstwem, bibliotekarstwem, czytelnictwem; instytucją prowadzącą szeroko zakrojone prace nad bibliografią regionalną, mieszczącą redakcję „Słownika Pracowników Książki Polskiej” i dokumentującą w swoich wydawnictwach prowadzone prace naukowe.

Nie można sobie wyobrazić Łodzi naukowej, kulturalnej i oświatowej bez zaplecza jakie stanowi Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

Przestrzeń kultury

Niezbyt często w publicystyce, a jeszcze rzadziej w badaniach naukowych podnosi się w Polsce przestrzenny, a nie wyłącznie społeczny aspekt funkcjonowania i upowszechniania kultury. A przecież, jak wykazał Aleksander Wallis, zmienność nasycenia przestrzeni, terenu instytucjami kultury odzwierciedla rozwój zasadniczych procesów demokratyzacji.

Pomyślmy o łódzkiej przestrzeni kulturowej. Wielka aglomeracja ma setki, tysiące urządzeń i instytucji służących kulturze duchowej, realizacji aspiracji intelektualnych, wypoczynkowi i rozrywce. Szkoły, kościoły, teatry, kina, biblioteki, centra kultury, amatorski ruch artystyczny, galerie, księgarnie, kawiarnie, puby i knajpy, kioski, wypożyczalnie wideo, salony masażu, kluby sportowe, stowarzyszenia itd. Rzeczą interesującą jest, iż każda z tych placówek nie tylko posiada własną publiczność, ale także własną charakterystykę przestrzenną, tj. konkretną, powtarzalną zdolność przyciągania na określoną odległość. Inaczej promieniuje przestrzennie opera, inny zasięg ma kiosk z gazetami. **Ten zasięg przestrzenny poszczególnych instytucji kulturalnych można mierzyć i warto go mierzyć po to, by odpowiedzieć na pytanie o racjonalność łódzkiej infrastruktury kulturalnej.** Sieć łódzkich placówek kultury powstała w procesie historycznym, ale nie zawsze był to rozwój spontaniczny i niekontrolowany. W ostatnim półwieczu większość placówek kulturalnych miasta powstała w rezultacie działań Wielkiego Planisty.

Przed wielu laty piszący te słowa przeprowadził ankietę pocztową pytając łódzian, które to instytucje (z podanej listy) powinny znaleźć się w najbliższym sąsiedztwie, w odległości 1-2 przystanków. Łódzianie wskazali tylko kościół, bibliotekę i kawiarnię. Dalej nieco sytuowali oni galerię, dom opieki dla ludzi starszych, jeszcze dalej dom kultury, kino, teatr, dalej salę koncertową itd. **W świadomości potocznej istnieje jakaś mapa urządzeń kulturalnych, która wywodzi się z osobistych systemów wartości ludzi oraz z obserwowanej, faktycznej przestrzeni miejskiej.**

Instytucją kultury duchowej o najrozleglejszych wpływach w Polsce jest oczywiście kościół. Przestrzenną mapę parafii łódzkich badano, z użyciem aparatury naukowej, w Katedrze Geografii. Socjolog może dodać najwyżej drobne spostrzeżenie. Skoro mieszkańcy miasta mówili w ankiecie o kościele jako instytucji najbardziej lokalnej, z najbliższego sąsiedztwa, to z ich punktu widzenia od imponującego, wciąż pozostającego w budowie kościoła np. na Widzewie być może potrzebniejsze byłoby kilka małych świątyń. Być może. Ale koncepcja przestrzennej infrastruktury świątyń ma określoną tradycję historyczną i była weryfikowana przez wieki.

Instytucjami o szerokim oddziaływaniu przestrzennym są teatry, muzea i filharmonia. Są to instytucje o dwojakich funkcjach. Służą one społeczności lokalnej jako miejsca rozrywki, ale równocześnie mają swój wkład w kulturę narodową i europejską. Teatr o najwyższym standardzie, muzeum z unikalnym zbiorem mogą mieć charakter całkowicie ponadlokalny, mogą stać się organami kultury europejskiej. Wkład w ponadlokalną kulturę narodową wnosić mogą instytucje o wysokim stopniu organizacji, takie jak łódzki Teatr Wielki bądź Muzeum Sztuki, ale jeszcze skuteczniej czynią to celowe imprezy tematyczne, takie jak warszawski Konkurs Szopenowski, gdański Festiwal Filmów Polskich, poznańska Malta itd. **Słabość łódzkiej kultury mierzy się i tym, że nie podkreśla ona dostatecznie silnie i jednoznacznie swych zobowiązań wobec ponadlokalnej kultury narodowej.**

Nie wszystkie teatry mają aspiracje i naturę ponadlokalną. Bywają muzea regionalne, bywają teatry popularne i właśnie przy nich się zatrzymajmy na chwilę. Ankietowani łódzianie zgodnie lokują teatr w śródmieściu, zatem poza granicami własnego osiedla. Do teatru warto pojechać do centrum miasta. W badaniach opinii społecznych, pytając o wyobrażenia, często otrzymujemy w zamian opis sytuacji już istniejącej. Badając oczekiwania i wyobrażenia czasami stwierdzamy właśnie brak rozbudowanej wyobraźni. Dlaczegoż to nie mogłoby być teatru na którymś z wielkich łódzkich osiedli mieszkaniowych? W tej kwestii można przecież sięgnąć po cudze doświadczenia. W Warszawie teatr na Woli miał publiczność i upadł raczej z przyczyn politycznych, teatr działał w Nowej Hucie. W Londynie teatry na West Endzie obsługują turystów i teatromanów, ale działają też profesjonalne teatry dzielnicowe o wielkich tradycjach. Czy łódzki Teatr Powszechny nie miałby publiczności na Retkini, gdyby wynajął namiot od grającego tam cyrku? Czy wakacje w teatrach muszą trwać trzy-cztery miesiące?

Nie dysponujemy obserwacjami o całej łódzkiej infrastrukturze kulturalnej. W studiach przestrzennych nie wystarczy bowiem zaznaczyć rozsiane na planie miasta galerie, muzea, księgarnie, kina itd. By wyznaczyć przestrzenną strefę oddziaływania każdej z tych placówek, by określić wielkość białych plam kultury łódzkiej, najpierw trzeba zrobić badania społeczne nad faktyczną publicznością każdej z tych placówek. W kwestii np. galerii na pierwszy rzut oka widać tylko tyle, iż mimo przyrostu ich liczby skupione są w śródmieściu i nie ma ich prawie wcale tam, gdzie zamieszkuje większość łódzian.

Biblioteki

Rozbudowana sieć łódzkich bibliotek jest cennym dziedzictwem ostatniego półwiecza, być może jest to jedyny taki fenomen w kulturze nie budzący dziś wątpliwości i polemik. Infrastrukturę biblioteczną rozbudowywano systematycznie przez dziesiątki lat, najbardziej rozległa była już na przełomie lat 70. i 80. kiedy to można było doliczyć się ponad stu bibliotek publicznych. Obecny stan ponad osiemdziesięciu bibliotek publicznych wprawdzie jest rezultatem dokonanych korekt organizacyjnych, ale na szczęście nie schodzi się tu jeszcze do sytuacji owej sieci z lat 60.

Poczynić trzeba niezbędne zastrzeżenia. **Biblioteki publiczne finansowane przez gminę pozostały teraz obok bibliotek naukowych jedynymi ogólnodostępnymi księgozbiórami.** W przeciągu kilku ostatnich lat zniknęła, za przyzwoleniem załóg fabrycznych, prawie cała rozbudowana sieć bibliotek zakładowych. Nakłady dawnego mecenasa związkowego na kulturę są trudne do oszacowania, a strat nie mogą wyrównać władze lokalne. Kiedy spojrzeć na mapę bibliotek łódzkich, to w okolicach wielkich zakładów produkcyjnych pozostają białe plamy. Tam prawdopodobnie działały biblioteki zakładowe. W nowszych dzielnicach przemysłowych biblioteki zakładowe były zaledwie we wstępnej koncepcji projektanta.

Kiedy zniknął mecenas związkowy, gdy umocniło się przekonanie, iż usługi kulturalne i wypoczynek powinny być raczej oddalone od miejsca pracy, ważne staje się wyposażenie osiedli mieszkaniowych w infrastrukturę kulturalną. Osiedla mieszkaniowe nie są budowane przez władze lokalne, a spółdzielczość nie ma już nakazów normatywnych co do budowy urządzeń kulturalnych w osiedlu (co zresztą nigdy nie było skuteczne). A mimo to nikt nie zdejmie z radnych miejskich obowiązku syntetycznej oceny infrastruktury kulturalnej miasta.

Racjonalność sieci badano nanosząc na plan Łodzi każdą bibliotekę (dla dorosłych). Założono, zgodnie z wynikami ankiety, iż promień społecznego zasięgu małej biblioteki to 1-2 przystanki, zatem ok. 1 kilometra. Dla każdej biblioteki zakresło-no właściwy jej krąg oddziaływania i dalej szukano białych (bibliotecznych) plam na planie miasta, szukano też stref największego nasycenia usługami bibliotecznymi.

Stwierdzono, że na planie Łodzi niewiele jest terenów gęsto zamieszkałych, skąd do najbliższej biblioteki byłoby dalej niżli dwa przystanki. Prawie cały wielkomiejski teren obsługiwany jest przez kilka bibliotek równocześnie. Jeśli czytelnictwo wśród populacji jest umiarkowane (poniżej 40%) i dalej spada, to przyczyny mają charakter bardziej podstawowy i cywilizacyjny. Tą przyczyną nie jest ograniczona dostępność do biblioteki. Białych plam na planie miasta wymienić można zaledwie kilka. W dzielnicy Górna odległa część Rokicia pozbawiona jest choćby punktu bibliotecznego. Podobnie jest na Kuraku (okolice zakładu Alba). Z przeciwnej strony miasta brakuje biblioteki na odległej Sikawie. I to wszystko. Pozostałe tereny pozbawione bibliotek to albo tereny zielone (Brus, Zdrowie), albo opustoszałe wieczorem dzielnice przemysłowe (Żabieniec, Augustów).

Najbardziej uderzającym fenomenem infrastruktury bibliotecznej są jednakże kontrasty intensywności nasycenia terenu. **Zagęszczeniu bibliotek w starej zabudowie śródmiejskiej towarzyszy rzadka i najwidoczniej z trudem zbudowana sieć bibliotek w nowych osiedlach.** W śródmieściu kilometrowa strefa konkretnej biblioteki zazębia się w wielu miejscach z wykreślonymi strefami sąsiednich bibliotek. I tylko w środku ul. Narutowicza robi się nieoczekiwanie pusto. Gdyby mieszkaniec śródmieścia włął na dach własnego domu, mógłby wskazać w różnych kierunkach, w odległości poniżej kilometra, trzy różne biblioteki. Większość śródmiejskich kwartałów obsługiwana jest podwójnie, tj. przez dwie placówki niezbyt odległe. Bibliotekarze twierdzą, że tak być powinno. Czytelnik musi mieć możliwość wyboru lokalu, personelu itd. Biblioteki kupują nowości w pojedynczych egzemplarzach i czasem wypadnie obejść całą dzielnicę, by dostać pożądaną książkę. Przede wszystkim jednak lokale biblioteczne w śródmieściu są małe. Jeśli w okolicy o promieniu kilometra zazębiają się strefy dwu, trzech bibliotek, to faktyczny zasięg przestrzenny konkretnej biblioteki (sprawdzany w kartach czytelniczych) wynosi 300-400 metrów. Po prostu czytelnik nie musi odbywać dłuższego spaceru. Ale to nie oznacza, że tylko taka jest maksymalna możliwość przestrzennego przyciągania biblioteki. Jeżeli zatem badamy fakt na podstawie kart bibliotecznych, a nie optymalne rozwiązania modelowe, to przestrzenny zasięg biblioteki śródmiejskiej jest dwu-, trzykrotnie mniejszy od zasięgu biblioteki na peryferiach miasta. Tymczasem pytaniem ważnym dla polityki kulturalnego jest kwestia maksymalnej strefy przyciągania biblioteki, gdy placówka ta nie traci jeszcze czytelników.

Jak funkcjonują biblioteki na nowych osiedlach? W istocie porządne badanie infrastruktury kulturalnej musiałoby mieć charakter analizy bardziej wszechstronnej od prezentowanej tutaj. Analiza przestrzenna powinna być wzbogacona wskaźnikami gęstości zaludnienia terenu, opisem składu demograficznego ludności poszczególnych osiedli itd. Ale róbmy na razie to, na co nas stać. Na wcześniej zbudowanych osiedlach jak Dąbrowa i Teofilów zazębianie i nakładanie się stref społecznego oddziaływania bibliotek jest bez mała takie samo jak w śródmieściu. Względnie harmonijny układ ma nawet zaniedbana do niedawna Retkinia (jako bibliotekę ogólnodostępną traktuje się tu także placówkę zlokalizowaną w kościele — jest to bardzo interesujące rozwiązanie).

Ale już na Widzewie, a także na Julianowie i Radogoszczy mieszkaniec szukający swojej biblioteki powinien dobrze znać jej adres (informator kulturalny nie pomoże mu w tym, bo podaje tylko adresy 5 dyrekcji!). W tamtych okolicach biblioteki nie napotyka się przypadkowo.

Kiedy jednak podkreślamy względną harmonię przestrzennego układu sieci bibliotek w Łodzi, odnosimy ten fakt tylko do bibliotek dla dorosłych. Siedemnaście bibliotek publicznych dla dzieci i młodzieży już z natury rzeczy nie może budować obrazu całości na planie miasta. Pytając o biblioteki dla dzieci trzeba dodać do bibliotek publicznych znacznie liczniejsze biblioteki szkolne i dopie-

ro taką całość można by sensownie badać. W sytuacji, gdy zarząd szkołami jest w gestii władz lokalnych, tak jak i zarząd bibliotekami, powraca przebiegły pomysł, by część bibliotek publicznych lokalizować w szkołach. Przeniesienie bibliotek młodzieżowych do szkół zrazu nie budzi protestu, choć pamiętać trzeba, że rejonowa biblioteka dziecięca pełni funkcję naturalnej inicjacji do bywania w bibliotece dla dorosłych. Bibliotece szkolnej łatwo jest utracić dorastającego młodzieńca na rzecz komercyjnej wypożyczalni kaset (pornusy i kino akcji, najlepiej jedno i drugie razem).

Natomiast pomniejszenie kosztów utrzymania bibliotek rejonowych dla dorosłych przez łączenie ich z bibliotekami szkolnymi byłoby eksperymentem psychospołecznym ryzykownym w najwyższym stopniu z punktu widzenia aktywności czytelniczej łodzian. Na inny pomysł, jakim miałyby być likwidowanie małych bibliotek i wzbogacanie księgozbioru bibliotek większych, spojrzeć trzeba inaczej w śródmieściu, inaczej w wielkich osiedlach na pobrzeżach. Biblioteka jest placówką o charakterze najbardziej lokalnym z możliwych; jeśli nie ma jej w zasięgu ręki — łatwo zastąpi ją telewizja. Z tego punktu widzenia nawet komfortowe, ale nieliczne i izolowane biblioteki w osiedlach nie są skutecznymi instrumentami pobudzania czytelności.

Jeśli nie stwierdzamy zupełnie zasadniczych wad przestrzennej infrastruktury bibliotecznej w Łodzi (mimo kilku uwag szczegółowych) to wróćmy do pytania o przyczyny małego i spadającego powoli czytelnictwa w każdym mieście w Polsce. Oczywiście niewiele można zmienić w społecznej psychologii zmaterializowanej, powszechnie lekceważącej kulturę i uciekającej od rozrywki wysublimowanej. Ale już **na wyzwania technologiczne nowego czasu można by odpowiadać modernizując wyposażenie i ideologię biblioteki**. Kiedy brakuje pieniędzy na nowości wydawnicze, to czytelnika nie nobilituje już fakt uczęszczania do biblioteki. Kiedy bibliotekarz — konserwatysta wyklucza gromadzenie wideokaset, choćby i z lekturami szkolnymi, kiedy wyklucza on sprzedaż książki wartej polecenia, to biblioteka niebezpiecznie ogranicza swe funkcje w zmieniającym się społeczeństwie.

Centra kultury

Następną po bibliotekach instytucją pozostającą w zarządzaniu gminy są **domy kultury**. W ankiecie prowadzonej przed laty wśród łodzian domy kultury i kluby nie zostały wybrane z listy jako placówki, które powinny być zlokalizowane w miejscu zamieszkania, w najbliższym sąsiedztwie. Taki rezultat ankiety pozwala postawić dwie dosyć przeciwstawne hipotezy. Do domu kultury, jeśli będzie tam impreza naprawdę atrakcyjna, warto w opinii społecznej choćby i pojechać autobusem. Nie musi on być tuż za następnym skrzyżowaniem. Ale może przeciwnie, może w opinii więk-



fot. Piotr Zdrzynicki

szości dom kultury nie jest instytucją nakierowaną na nich i dlatego wcale nie musi być w pobliżu?

Jak by nie było, zasadne wydaje się założenie, iż **stopień lokalności domu kultury jest inny niżli biblioteki**. W odniesieniu do domu kultury i klubu stosować będziemy skalę zasięgu nie jednego, lecz kilku kilometrów. Liczyć się przy tym będzie odległość ekologiczna mierzona łatwością dojazdu bądź faktem lokalizacji placówki w „moim” osiedlu. O ile biblioteka powinna być niedaleko „mojej” ulicy, to gdy chodzi o dom kultury — wystarczy, że będzie w „moim” osiedlu w odległości takiej, by można tam było posłać dziecko bez ryzyka. Choć nie ma takiego programowego założenia, w praktyce kluby i domy kultury świadczą usługi na rzecz młodzieży i ludzi młodych, a zatem na rzecz ludzi z natury bardziej mobilnych.

Inne jeszcze zastrzeżenie wypada poczynić. Socjolog obowiązany jest spojrzeć na fenomen społeczny całościowo, niezależnie od komplikacji podziałów administracyjno-organizacyjnych i uwarunkowań historycznych. Infrastruktura gminnych placówek kultury wzbogacana jest placówkami państwowymi (Łódzki Dom Kultury), środowiskowymi (Klub 77, Klub Nauczyciela, kluby studenckie, ośrodek kierowany przez księdza Sondkę), klubami spółdzielczymi, a nawet prywatnymi. Z punktu widzenia bywalca takich miejsc najważniejsze nie są ich organizacyjne afiliacje. Liczy się atrakcyjny program, dostępność i otwartość, ewentualnie koszt karty wstępu. Bywalec domu kultury nie musi też odróżniać placówki z dyrekcją od jej terenowej filii.

W procesie powojennych przemian społecznych i w rezultacie przełomu politycznego ostatnich lat domy kultury i kluby okazały się instytucją najsilniej podlegającą presji okoliczności. Tak się złożyło, iż w miarę demokratyzacji stosunków politycznych systematycznie likwidowano w Łodzi domy kultury i kluby. Jeszcze w latach 70. rejestrowano w aglomeracji ponad trzy setki placówek przyzakładowych, miejskich i tych finansowanych przez spółdzielczość produkcyjną i mieszkaniową. Było tam wówczas trochę fikcji statystycznej, do wielu klubów wchodziło się przez zakładową portiernię, zresztą nie było po co. W ciągu ostatnich lat wszystkie zakłady produkcyjne i prawie cała spółdzielczość pozbyły się ciężaru utrzymywania własnego klubu czy domu kultury. Pozostały największe placówki (ośrodki, centra kultury), a i to pod warunkiem finansowania ich przez gminę i władze lokalne. W mieście naliczyć można dziś dwie dziesiątki otwartych dla publiczności klubów i domów kultury.

Przyjrzyjmy się mapie tej infrastruktury. Wyraźnie widoczne są tu zarówno historyczne zaszłości, jak i ukryte założenie, iż w czasie wolnym aktywność w klubie nie jest potrzebą ważną. Mieszkaniec centrum Łodzi, zwłaszcza młody, może wybierać dowolnego wieczoru między wizytą w kilku (pięciu) klubach oferujących rozrywkę kształcącą, aktywność twórczą bądź artystyczną. Ale lokalna infrastruktura nie pokrywa w całości nawet szeroko pojętego śródmieścia. **Przekroczywszy ulicę Narutowicza i posuwając się dalej przez plac Wolności, mamy do wyboru już**

tylko puby i piwiarnie. To w tamtej okolicy był niegdyś dom kultury przy fabryce im. Marchlewskiego. Pozostał salon bingo, naprzeciw rozlatującej się zabytkowej bramy. Z nieodległych Kozin trzeba by jeździć do centrum lub na Bałuty, gdyby komuś nie wystarczała telewizja. Całe Doły, osiedla Jagiełły, Czarnieckiego, Julianów, Radogoszcz są już całkowicie pozbawione własnych centrów kultury czy choćby klubów w nieodległym sąsiedztwie. Po pierwszej stronie miasta bez usług kulturalnych o jakich tu mowa pozostają Stoki, Dąbrowa, Chojny, Rokicie.

Sytuacja mieszkańców zbudowanych po wojnie osiedli mieszkaniowych nie jest jednakowa w różnych częściach miasta. Osiedla na Żubardziu i na Teofilowie oferują aktywną rozrywkę kulturalną nie tylko dzieciom i młodzieży. Jest interesujące, że z drugiej strony także nowsze osiedla na Widzewie wyposażone są w dwa, trzy ośrodki rozrywki i aktualnego wypoczynku. **W najbardziej dramatycznej potrzebie kulturalnej zdają się pozostawać mieszkańcy Polesia.** Poleski Ośrodek Kultury znajduje się w sąsiedztwie Dworca Kaliskiego i stadionu ŁKS, w okolicy zamieszkałej niezbyt gęsto. Rozległe osiedla mieszkaniowe Polesia rozciągają się dobrze kilka kilometrów dalej. Tam są już tylko małe kluby dla dzieci. Tymczasem ludność Polesia z przyległościami sięga już prawie stu tysięcy, pod względem wielkości jest to jakby kolejne miasto wojewódzkie.

Wszystkie te kontrasty w rozwoju infrastruktury kulturalnej mają swe historyczne przyczyny, nie widać też narzędzi politycznych, organizacyjnych czy prawnych, które mogłyby przyczynić się do rychłej likwidacji białych plam w niezbyt obecnie rozwiniętej sieci interesujących nas urządzeń kulturalnych. Infrastruktura ta w gestii gminy i państwa funkcjonuje jako część dziedzictwa zbudowanego przez kogo innego i na inny użytek. **Niektóre osiedla zatem, za przyzwoleniem ich mieszkańców, pozbawione są szansy aktywizacji w czasie wolnym.**

Sprezentowane miastu przez fabryki oraz spółdzielczość większe centra kultury gmina przypisała poszczególnym dzielnicom, tworząc w ten sposób złudzenie zrównoważonego, harmonijnego przestrzennego układu. Ale w istocie „Bałucki Ośrodek” jest na peryferiach Bałut, „Poleski Ośrodek” jest na peryferiach Polesia, dzielnicowe domy Górnej i Widzewa są z dala od Górnej i Widzewa, bo taki był kaprys historii. Nieco tylko lepiej przedstawia się sytuacja młodzieżowych domów kultury. Mieszkańcy osiedli łatwiej zaakceptują składkę (znikomą!) na fundusz wychowawczo-kulturalny, gdy myślą o młodzieży. Likwidacja niektórych przedszkoli także pozostawiła lokale do zagospodarowania.

Prezentując dysharmonię układu przestrzennego nie musimy nalegać na natychmiastową jego rozbudowę. Pamiętać musimy o wszystkich resentymentach wobec domów kultury, będących niegdyś instrumentem nie tylko upowszechniania kultury, ale też nachalnej propagandy. Zmieniając swą nazwę obecne centra kultury zmieniły też wiele swych funkcji. Dawna idea upowszechniania kultury, zastąpiona później ideą wychowania dla kultury, obecnie stała się po prostu pomysłem świadczenia usług kulturalnych na rzecz mieszkańców. Gdy placówek pozostało tak nie-

wiele, warto rozmyślać o możliwej relacji między rosnącą patologią społeczną w wielkich łódzkich osiedlach, a znaczącym ograniczeniem ruchu kulturalnego, amatorskiego ruchu artystycznego, sportu, rozrywki oraz oferty usług nakierowanych na młodzież.

Wybudować miasto od nowa?

Analiza przestrzennego usytuowania któregośkolwiek z elementów infrastruktury kulturalnej Łodzi za każdym razem będzie prowadzić do wniosku, że po pierwsze, instytucji tego typu jest w mieście za mało, po drugie, że istniejące instytucje zlokalizowano wcale nie tam, gdzie jest największe zagęszczenie ludności. Spod tej prawidłowości wymyka się właściwie tylko biblioteka. Za wszystko to można obarczyć odpowiedzialnością chyba tylko historię. **Miasto rozwijało się i rozwija wciąż w kierunku pobrzeży.** Gdy centrum wyludnia się, dając przestrzeń biurowcom, to pozostają w nim nie tylko centralne instytucje kultury miejskiej, ale także względnie gęsta sieć instytucji o najmniejszym zasięgu przestrzennym. Jeśli prawdziwą substancją miasta są jego mieszkańcy, to Łódź jest już trochę w innym miejscu. Ale miasta nie da się zbudować od nowa. Zresztą to właśnie ci, którzy próbowali to robić przez ostatnie dziesięciolecia, pozostawili w swojej pysze największe kontrasty i dysharmonie usług kulturalnych (wielkie, puste sypialnie miasta).

Refleksja nad stopniem przestrzennego nasycenia usługami kulturalnymi całej aglomeracji łódzkiej jest potrzebna mimo odległej perspektywy jakiegokolwiek melioracji kulturalnej infrastruktury. **Pytanie o rozmieszczenie w przestrzeni instytucji określonego typu jest też pytaniem o ich niezbędność i społeczną efektywność.** Ponadto, gdy nasila się proces prywatyzacji placówek kultury (kina, galerie, księgarnie), gdy obok państwa właścicielem innych placówek stała się przede wszystkim gmina, jak nigdy przedtem potrzebne są studia syntetyczne, czynione w skali miasta, w interesie mieszkańców, przecinające podziały organizacyjne, własnościowe i inne. Syntezy te nie powinny izolować jednego typu instytucji (np. kina lub galerie), lecz studiować całe segmenty kultury duchowej, np. kulturę filmową miasta, kulturę plastyczną, kulturę literacką itd.

Magister ekonomii zajmuje się produkcją węgla drzewnego. Technik architekt ma wytwórnię wafli, a inżynier rolnik dwa sklepy drogeryjne.

GRZEGORZ MATUSZAK

Szkic do portretu łódzkiego przedsiębiorcy

Transformacja ustrojowa jaka dokonuje się w Polsce oznacza nie tylko istotne zmiany w stosunkach politycznych i ekonomicznych, ale także znaczące przeobrażenia w kształcie struktury społecznej. Rozwój rynku oraz prywatnej przedsiębiorczości spowodował pojawienie się trudnej do precyzyjnego policzenia, bowiem brak jest na ten temat wiarygodnych danych statystycznych, grupy ludzi zajmujących się prywatną działalnością gospodarczą. Jest to zbiorowość w sposób oczywisty wewnętrznie zróżnicowana pod względem rodzaju aktywności ekonomicznej, a także stanu posiadania środków produkcji i zasobów pieniężnych oraz poziomu dochodów, rodzaju potrzeb i aspiracji życiowych, prestiżu społecznego itp. Nie wdając się w szczegółowe rozważania, czy owi prywatni przedsiębiorcy są odradzającym się w Polsce mieszczaństwem lub nawet drobnomieszczaństwem, czy też nową polską klasą średnią, należy podkreślić, że stanowią oni coraz bardziej ważący element składowy społeczeństwa obywatelskiego.

* * *

W latach 1991-93 na terenie Łodzi i Zielonej Góry przeprowadziłem badania socjologiczne mające na celu rozpoznanie, jak w konkretnym momencie historycznym przebiega proces kształtowania się przyszłej klasy średniej w Polsce. Interesowały mnie cechy społeczno-demograficzne ludzi zajmujących się prywatną działalnością gospodarczą, ich społeczna genealogia, motywy podjęcia pracy na własny rachunek, rodzaj i wielkość firm, a także subiektywna ocena osiąganych dochodów, odczuwanych potrzeb i zagrożeń, przewidywanych perspektyw życiowych oraz poczucie przynależności społecznej i stopień identyfikacji z grupą określaną jako klasa średnia. Ogółem z terenu Łodzi zebrałem dane od 277 przedsiębiorców (od 165 dwukrotnie: w 1991 i 1992 r.) zajmujących się handlem, usługami materialnymi i drobnym przemysłem oraz 200 specjalistów prowadzących działalność na własny rachunek w zakresie usług nie-

materiałnych (adwokaci, notariusze, lekarze, projektanci, ekonomiści i prawnicy zajmujący się doradztwem finansowym i pośrednictwem handlowym, informatycy i plastycy, właściciele prywatnych szkół i biur translatorskich).

Uzyskany przeze mnie materiał empiryczny posłużył do opracowań naukowych, ale pozwala mi również **na podjęcie próby wykonania szkicu do portretu zbiorowego łódzkich przedsiębiorców z początku lat 90.** Można oczekiwać, że grupa, którą oni tworzą, będzie ulegać rozmaitym wewnętrznym przeobrażeniom, a zatem ostateczny portret będzie trudny do wykonania. Wydaje się jednak, że mogą powstać rozmaite kolejne szkice do portretu tej zbiorowości ukazujące zarazem dynamikę przemian społecznych w Łodzi.

* * *

Łódzcy przedsiębiorcy są względnie młodzi. Ci, którzy zajmują się handlem, produkcją i usługami materialnymi mają najczęściej po 31-40 lat (40%) i 41-50 lat (33%). Wśród ich kolegów w biznesie, określanych przeze mnie jako specjaliści wykonujący usługi niematerialne, proporcje są odwrotne, bowiem potrzebowali oni więcej czasu na osiągnięcie pozycji zawodowej (studia, staże, aplikacje itp.). Co trzeci specjalista ma 31-40 lat, a ponad połowa (54%) mieści się w przedziale wieku 41-60 lat.

Zdecydowana **większość przedsiębiorców ma współmałżonków** (85%), rozwiedzionych jest tyle samo (7%) co osób stanu wolnego — panien i kawalerów oraz wdów i wdowców (po 3%). Przeważają małżeństwa z jednym dzieckiem do 18 lat (32%). Dwoje dzieci posiada co czwarte małżeństwo (27%), a troje i więcej co dwudzieste (5%). Co czwarty z przedsiębiorców i specjalistów nie ma dzieci w ogóle lub ma dzieci już dorosłe i usamodzielnione.

Wykształcenie jest zróżnicowane tylko wśród przedsiębiorców, bowiem 94% specjalistów legitymuje się ukończeniem szkół wyższych. Można jednak powiedzieć, że również właściciele firm handlowych, produkcyjnych i świadczących usługi materialne są ludźmi dobrze wyedukowanymi: co trzeci ukończył studia, a 83% ma ukończoną przynajmniej szkołę ponadpodstawową, czyli liceum lub technikum. Tylko co pięćdziesiąty przedsiębiorca swoją naukę zakończył na poziomie szkoły podstawowej.

O ile rodzaj wykształcenia raczej jednoznacznie określa **wykonywanie zawodu**, przez specjalistów i rodzaj świadczonych przez nich usług, to w grupie przedsiębiorców brak jest korelacji między wyuczonym zawodem a rodzajem prowadzonej firmy. Inaczej mówiąc, prawnicy prowadzą kancelarie adwokackie i notarialne, lekarze prywatne gabinety i lecznice, architekci biura projektowe itp. Natomiast wśród przedsiębiorców zwykle wyuczony zawód niewiele ma wspólnego z działalnością firm, których są oni właścicielami. Potwierdzić można to choćby takimi przykładami jak: magister ekonomii zajmuje się produkcją węgla drzewnego, technik architekt ma wytwórnię

wafli, technik mechanik jest właścicielem sklepu mięsnego, a inżynier rolnik ma dwa sklepy drogerijne. Listę tę można dowolnie wydłużać: cukiernik z wykształceniem zasadniczym zawodowym wyrabia szczotki i pędzle, magister filologii angielskiej ma hurtownię ozdobnej pasmanterii, aktorka duży sklep spożywczy, magister socjologii przedsiębiorstwo handlowo-usługowe, technik mechanik lombard, magister pedagogiki zakład stolarski, a technik elektroniki jest właścicielem zakładu fryzjerskiego.

Wydaje się, że o prywatnej przedsiębiorczości nie tyle decyduje wyuczony zawód, ile okoliczności, na przykład dostęp do gotówki, posiadanie lokalu, subiektywne wyobrażenie o istniejącym popycie i sytuacji na rynku. Najprostszym pomysłem na własną firmę jest zajęcie się handlem detalicznym i hurtowym, najlepiej łącząc różne branże i stąd wśród badanych przedsiębiorców najwięcej było osób zajmujących się pośrednictwem handlowym (58%).

Większość przedsiębiorców i specjalistów zajmuje się prywatnym prowadzeniem firm stosunkowo krótko, można więc powiedzieć, że są **początkującymi biznesmenami**. Prawie 40% objętych badaniem przedsiębiorców i ponad 60% specjalistów ma staż w roli właściciela prywatnej firmy krótszy niż trzy lata. Doświadczeniem ponad 10-letnim dysponuje 27% przedsiębiorców i 13% specjalistów. Oznacza to, że mamy do czynienia z przedsiębiorczością świeżej daty i że ludzie, którzy zdecydowali się na założenie własnych firm, są w trakcie zbierania doświadczeń i uczenia się roli przedsiębiorcy. Prawdopodobnie część z nich nie utrzyma swych firm, zbankrutuje i powróci do statusu pracowników najemnych.

* * *

Szczególnie interesujące wydaje się **społeczne pochodzenie przedsiębiorców i specjalistów**. Ci pierwsi w większości wywodzą się z rodzin robotniczych (48%), rzemieślniczych (15%) i rolniczych (8%). Kończąc szkoły ponadpodstawowe i wyższe zostawali inteligentami w pierwszym pokoleniu, a następnie, podejmując prywatną działalność gospodarczą, stali się przedsiębiorcami. Należy przy tym podkreślić, że około 70% obecnych przedsiębiorców zostało nimi głównie na skutek potrzeb materialnych (chęć lepszych zarobków niż na państwowym etacie) oraz zagrożenia lub faktycznej utraty pracy w przedsiębiorstwach państwowych, co wytyczyło nowe tory ich aktywności życiowej i konieczność podjęcia pracy na własny rachunek. Spostrzeżenie to należy odnieść także do przedsiębiorców wskazujących na swe pochodzenie inteligenckie (24%).

Wśród specjalistów prowadzących własne firmy prawie 2/3 ma pochodzenie inteligenckie, przy czym w wielu przypadkach występuje zjawisko rodzinnej kontynuacji wolnych zawodów (lekarze, adwokaci). Niespełna co czwarty specjalista pochodzi ze środowiska robotników wykwalifikowanych lub techników, co dziesiąty ze środowiska drobnomieszczańskiego (rzemieślnicy, kupcy), a tylko jeden na pięćdziesięciu legitymuje się pochodzeniem chłopskim. Ogólnie należy stwierdzić, że

specjaliści posiadający własne firmy w większości są inteligentami co najmniej w drugim pokoleniu.

Inną ciekawą kwestią odnoszącą się do portretowanych przedsiębiorców i specjalistów są **motywy zajęcia się działalnością gospodarczą na własny rachunek**. Wśród badanych przedsiębiorców głównym powodem założenia firmy była chęć zwiększenia swych dochodów (39%), chęć pracy na swoim (34%) oraz wykorzystanie sprzyjających ku temu możliwości i okoliczności (12%). Wydaje się, że brak kapitału, własnych lokali i środków transportu, zaplecza technicznego, a często także niedostatek kwalifikacji do prowadzenia prywatnego biznesu badani starali się kompensować „pomysłami”, operatywnością, swoistym sprytem, a zapewne także omijaniem niewygodnych przepisów prawa (tzw. „szara strefa” gospodarki). Inaczej mówiąc, podejmowali ryzyko sprawdzenia się na wolnym rynku w roli właścicieli prywatnych firm.

Zapytani o to, czy w Polsce można w pełni uczciwie i legalnie prowadzić interesy, jak się wydaje szczerze deklarowali, że nie można (27%) i że to zależy od sytuacji i okoliczności (27%), a zatem dopuszczali możliwość „przedsiębiorczości” niezgodnej z prawem, przepisami finansowymi i dobrymi obyczajami. Tylko co trzeci przedsiębiorca (34%) uważa, że da się legalnie i uczciwie prowadzić w Polsce sklep, hurtownię, zakład produkcyjny lub warsztat usługowy. Nie może zatem dziwić w warunkach kapitalizmu bez kapitalistów i kapitału, że jest tak wiele firm ocie-



fol. Piotr Zdrzyński

rających się o próg bankructwa, przede wszystkim nastawionych na szybki zysk drogą legalnych, półlegalnych i całkiem sprzecznych z prawem operacji handlowych i finansowych.

Motywacje założenia własnych firm odmienne są w grupie specjalistów. Przede wszystkim wskazują oni jako powód założenia prywatnej kancelarii, gabinetu lub pracowni chęć pracy na swoim (55%), posiadanie odpowiednich kwalifikacji (40%), chęć zwiększenia dochodów (37%), obiektywne okoliczności umożliwiające lub wymuszające założenie firmy (27%) oraz brak satysfakcji z dotychczasowej organizacji pracy w instytucji państwowej (20%).

Przedsiębiorcy podejmując prywatną działalność gospodarczą raczej kierują się względami merkantylnymi i orientują na szybki dochód przy ograniczonych inwestycjach. Specjaliści z ogółu właścicieli prywatnych firm wyróżniają się nie tylko posiadaniem wysokich kwalifikacji profesjonalnych, ale także świadomością ich znaczenia oraz potrzebą rozwijania. Nieco wyższy jest wśród nich rygoryzm w ocenie kwestii — czy w Polsce można uczciwie prowadzić interesy? Co piąty specjalista (19%) uznał, że nie można, a prawie co trzeci, że zależy to od sytuacji i okoliczności (31%). Podobnie jak wśród przedsiębiorców także co trzeci specjalista (34%) wyraził opinię, że owszem, w Polsce można prowadzić interesy legalnie i uczciwie. Reasumując powyższe spostrzeżenia należy skonstatować, że 2/3 właścicieli firm w pewnych okolicznościach godzi się lub wręcz usprawiedliwia w prowadzeniu interesów postępowanie nielegalne i nieuczciwe, co oczywiście nie musi oznaczać, że oni sami postępują w taki właśnie sposób.

* * *

Prowadząc badania wśród prywatnych przedsiębiorców przyjąłem założenie, że różnią się oni od reszty społeczeństwa nie tylko faktem posiadania i prowadzenia własnych firm oraz stanem majątkowym, ale także pewnymi cechami osobowymi, które, nawet jeśli oni sami ich w pełni nie posiadają, to wysoko cenią i uznają za ważne. Inaczej mówiąc, zależało mi na uzyskaniu informacji, jakiego rodzaju zalety, zdaniem właścicieli firm, mogą sprzyjać prowadzeniu prywatnej działalności gospodarczej i jednocześnie, jakie wady taką działalność utrudniają.

Zapytani o trzy najważniejsze cechy osobowe przedsiębiorcy badani wymienili ponad 80 różnie wyartykułowanych przymiotów, które są przydatne w prowadzeniu prywatnej działalności gospodarczej. Po zsumowaniu poszczególnych wskazań **lista zalet prywatnego przedsiębiorcy** zdaniem biznesmenów jest następująca:

- 1) przedsiębiorczość, przebojowość, pewność siebie, odwaga, energia życiowa i inicjatywa (55%),
- 2) solidność, rzetelność i odpowiedzialność (37%),
- 3) uczciwość (31%),

- 4) inteligencja, wyobraźnia, szerokie horyzonty myślowe (25%),
- 5) kwalifikacje, wiedza, zwłaszcza znajomość przepisów prawnych i fiskalnych (24%),
- 6) talent organizacyjny, zdolności kierownicze i analityczne (22%),
- 7) pracowitość (19%),
- 8) spryt, zaradność, operatywność, umiejętność lawirowania (17%),
- 9) odporność psychiczna, stalowe nerwy i zdrowie (12%),
- 10) upór (12%).

Nieco inaczej i mniej kategorycznie wygląda podobna lista ustalona przez specjalistów, bowiem preferują oni głównie: pewność siebie, odwagę, przebojowość i inicjatywę (30%), posiadanie wykształcenia, dużej wiedzy i kwalifikacji profesjonalnych (29%), silny charakter, upór, dyscyplinę wewnętrzną i wytrwałość (28%), przedsiębiorczość, energię i umiejętność robienia interesów (28%). Warto zwrócić uwagę, że tylko co czwarty ze specjalistów i co piąty spośród przedsiębiorców uznał jako pożądaną cechę pracowitość. Uczciwość także nie zyskała szczególnie wielu zwolenników: wskazał ją co trzeci przedsiębiorca i co czwarty specjalista.

* * *

Ogólnie można powiedzieć, że przedsiębiorcy raczej wskazują na zespół cech osobowych pragmatycznych, bezpośrednio pomagających w prowadzeniu interesów: przedsiębiorczość, przebojowość, spryt, talent organizacyjny, kupiecka rzetelność oraz znajomość przepisów prawnych i finansowych. Natomiast specjaliści zdają sobie bardziej cenić przymioty wyróżniające człowieka ogólnie i rozwijające jego osobowość: pewność siebie, wiedza i kwalifikacje zawodowe, wyobraźnia i inteligencja, wytrwałość i silny charakter.

Generalnie należy stwierdzić, że zarówno specjaliści jak i przedsiębiorcy preferują szczególnie rodzaj dzielności i odwagi oraz pewną skłonność do ryzyka, czyli uważają, że właściciel firmy powinien posiadać cechy wojownika, dla którego rynek jest polem walki o zdobycie powodzenia ekonomicznego. Temu celowi, jak się wydaje, mają służyć wszystkie wymienione przez badanych cechy osobowe biznesmena i to niezależnie, czy jest on właścicielem firmy handlowej lub produkcyjnej, czy też specjalistą wykonującym wolny zawód i prowadzącym firmę świadczącą usługi niematerialne.

Czytelników zainteresowanych problemami poruszonymi w artykule Grzegorza Matuszaka odsyłamy do jego książek: *Kształtowanie się nowej klasy średniej w Polsce*, Łódź 1992, *Szkic do portretu nowej klasy średniej w Polsce*, Łódź 1993, *Inteligencja a nowa klasa średnia w Polsce*, Łódź 1994.

Targi pomagają nawiązywać i rozwijać kontakty w biznesie. I nie tylko... Ktoś, kto na nie przyjeżdża, zostawia w mieście swoje pieniądze.

MARCIN WITOŃSKI

Targowa Łódź

Czy milionowa aglomeracja, położona w samym środku Polski, a już wkrótce także na skrzyżowaniu dwóch transeuropejskich autostrad, może stać się targowo-wystawienniczym centrum z prawdziwego zdarzenia? Bez wątpienia, Łódź nie ma wielkich szans, by dorównać takim gigantom jak Frankfurt, Lipsk, czy choćby Poznań, ale może być jednym z najważniejszych w Polsce, a nawet w naszej części Europy, ośrodkiem wymiany handlowej, dystrybucji i spedycji towarów.

Najnowsza, targowa historia Łodzi zaczęła się jeszcze w drugiej połowie lat 80. za sprawą... Międzynarodowych Targów Poznańskich. To właśnie pod czujnym okiem specjalistów z Poznania w 1987 r. po raz pierwszy odbyła się w Łodzi filialna impreza pod nazwą Międzynarodowe Targi Odzieży, Tkanin, Dziewiarstwa i WYROBÓW SKÓRZANYCH „Interfashion”. Było to wielkie święto dla miasta. Ale nie tylko. Fachowcy z „lekkiej” branży po raz pierwszy mogli spotkać się w jej kolebce. Mogli pokazać swoje wyroby i... swoje fabryki innym. Impreza cieszyła się wielkim zainteresowaniem publiczności. To przecież nie lada gratka zobaczyć na własne oczy eleganckie kreacje, które do sklepów, przeważnie od razu pod ładę, trafiały w tamtych latach przy okazji „odrzutów z eksportu”.

Złamany monopol

Zachęteni dobrym startem targów producenci i handlowcy z branży powołali w grudniu 1989 r. spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością — Międzynarodowe Targi Łódzkie. Kilkunastu udziałowców wyłożyło wówczas 300 milionów złotych. Akt notarialny miał symboliczny wymiar. Oto został wreszcie przełamany monopol Międzynarodowych Targów Poznańskich. Kolejną edycję „Interfashion” w 1990 r. zorganizowała już Łódź. Rok później, dzięki dotacji celowej z Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, miasto zakupiło i wniosło do spółki jako aport austriacki system zabudowy stoisk „Syma”, dzięki czemu uzyskało 95% udziałów. Wydawało się, że drugie co do wielkości miasto w Polsce jest na najlepszej drodze, by ugruntować swoją pozycję na kształtującej się dopiero targowej mapie Polski. Niestety, inni także nie stali w miejscu. W Warszawie, Krakowie czy Gdańsku na tworzenie infrastruktury targowej i promocję wydawano miliardy złotych. Międzynarodowe Targi Łódzkie, jeszcze w 1992 r., otrzymały również dotację w wysokości 1,6 mld zł, ale w tym momencie pieniądze się skończyły. Właściciele nie szczędzili co prawda słów poparcia, lecz dbali głównie o to, by targi nie przynosiły strat. Tymczasem imprez organizowanych przez MTŁ było coraz więcej. Ich liczba w pewnym momencie zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do piętnastu. Rozwój był jednak pozorny. Brakowało pieniędzy na inwestycje, a środki, które miały najpierw wystarczyć na kilka dużych imprez, musiały wystarczyć na kilkanaście. Wszystko finansowano z bieżącego zysku, a ten nie mógł być, niestety, aż tak wysoki.

Uwaga, kłopoty

Dlaczego? Międzynarodowe Targi Łódzkie od początku nie miały nawet jednej własnej hali, w której można by urządzać ekspozycje. Zawsze musiały je wynajmować. Najczęściej od Łódzkiego Ośrodka Sportu. Co więcej, wynajmowane obiekty

były dobre w końcu lat 80., kiedy poza MTP nie istniała praktycznie konkurencja w innych miastach. Później wystawcy zaczęli narzekać — zupełnie zresztą słusznie — na niski standard hal. Tym bardziej, że ceny metra kwadratowego powierzchni wystawienniczej były w Łodzi bardzo wysokie, wyższe niż w innych miastach, czasem nawet przebijały poznańskie. MTL miały jednak tylko symboliczne pole manewru. Wysokie koszty, związane z wynajęciem hal, nie pozwalały obniżyć cen, a z drugiej strony organizacja imprez miała przynosić zysk. Nie było więc mowy o czasowym choćby dofinansowaniu ekspozycji. Krucho było też z ich promocją.

Nic więc dziwnego, że część wystawców zaczęła szukać miejsca gdzie indziej, a potentaci omijali Łódź, skoro za te same lub nieco większe pieniądze mogli zaprezentować się na renomowanych targach. Z ośrodka, który w pewnym momencie miał szanse na miejsce w ścisłej czołówce polskich organizatorów targów, Łódź spadła na dalsze pozycje. Z opublikowanego w tym roku przez Polską Korporację Organizatorów Targów i Wystaw Gospodarczych raportu obejmującego rok 1994 wynika co prawda, że największy łódzki organizator targów — MTL — przesunął się z ósmego miejsca na piąte pod względem powierzchni wystawienniczej netto (czyli wykupionej przez wystawców), ale w generalnej klasyfikacji organizatorów zajął szóste miejsce w Polsce. Oprócz Międzynarodowych Targów Poznańskich wyżej znalazły się: Międzynarodowe Targi Katowickie, Biuro Reklamy SA z Warszawy, Międzynarodowe Targi Gdańskie i Hala Ludowa we Wrocławiu.

Co prawda, ranking spotkał się z różnym przyjęciem nawet wśród samych członków korporacji (członkiem korporacji są również MTL), jednak nie sposób udowodnić, że Międzynarodowe Targi Łódzkie lokują się w ścisłej czołówce w kraju.

Strategia optymizmu

Nie znaczy to jednak, że szanse na takie miejsce zostały definitywnie pogrzebane. Po licznych perturbacjach oddano wreszcie do użytku, będącą własnością miasta, halę „Expo” przy ul. Stefanowskiego. Oznacza to wyższy standard ekspozycji i — co najważniejsze — znacznie niższe ceny. Już dziś za metr kwadratowy powierzchni wystawienniczej płaci się równowartość około 50 dolarów plus VAT. Droższe są Międzynarodowe Targi Łączności „Intertelecom”. Tylko że „Intertelecom” jest prawdziwym hitem. Po sześciu edycjach impreza zdystansowała wszystkie organizowane w Polsce branżowe targi telekomunikacyjne. Ten sukces to dobry sygnał dla nowej strategii MTL.

— *Chcemy skoncentrować się na kilku najlepszych imprezach* — tłumaczy **Małgorzata Gałuszka, dyrektor generalny MTL**. — *To jest na pewno „Intertelecom”, ale warto też „odrestaurować” nieco przyblakłe „Interfashion”. Ma to być impreza specjalistyczna, poświęcona nie tylko gotowym wyrobom, ale też maszynom i technologiom*

Wśród targowych lokomotyw M. Gałuszka wymienia też Międzynarodowe Targi Zoologiczne „Pet Fair”. Wystawcy zagraniczni już teraz nazywają Łódź Norymbergą Wschodu (właśnie w Norymberdze odbywają się najważniejsze targi tego typu) i postulują, by odbywały się one co dwa lata, na przemian z targami niemieckimi.

Coraz lepiej radzą też sobie inni organizatorzy targów w Łodzi. Spółka „Interservis” jest jedną z pierwszych w kraju prywatnych firm, organizujących wystawy i targi gospodarcze. Renomę zdobyły już m.in. targi autostradowe, motoryzacyjne i budowlane.

Targami medycznymi zajmuje się z kolei spółka „Exectus”.

— *Udało się nam zorganizować największe w Europie Środkowej targi stomatologiczne, połączone z sympozjami naukowymi* — mówi **Anna Deja-Berdula, współwłaścicielka firmy**. — *Wykorzystaliśmy fakt, że jest to pierwsza dziedzina medycyny, która się sprywatyzowała. Zapotrzebowanie na sprzęt, technologię i wymianę doświadczeń jest teraz bardzo duże.*

Co na to władza...

Jak zwykle popiera, ale tym razem za słowami mają iść także czyny. Miasto liczy na wsparcie wojewody, który może podjąć decyzję o przeznaczeniu terenów wokół hali „Expo” na cele targowe. Chodzi głównie o jedną z będących w gestii wojewody hal i fabrykę, która po przebudowie powinna nadawać się do nowych funkcji. Ale to nie wszystko.

— *Targi potrzebują dużego inwestora, który będzie mógł zaangażować kapitał, wprowadzi imprezy do swojej sieci akwizycyjnej i umożliwi profesjonalne zarządzanie* — wyjaśnia **Radosław Stępień, dyrektor Wydziału Strategii Miasta UMŁ**. Dyrektor chciałby, by MTŁ organizowało kilka imprez międzynarodowych i szereg regionalnych (np. Europa Środkowa i WNP). Jego zdaniem targi mogłyby stać się doskonałym sposobem na tanią promocję miasta. Taki model udało się już wypracować przy okazji wystawy „Regiony turystyczne świata” zaplanowanej przez firmy turystyczne, wspieranej przez władze miasta, a zorganizowanej przez MTŁ. — *Łódź jest silnym ośrodkiem wzornictwa przemysłowego, sztuki użytkowej, fotografii i turystyki i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby te środowiska wypromować, a przy okazji promować miasto* — twierdzi R. Stępień.

Nie będzie to jednak takie proste, dopóki miasto nie stworzy odpowiedniej infrastruktury lub jeśli nie dostosuje już istniejącej do nowych potrzeb. Dyrektor R. Stępień wyciąga asy z rękawa. Mówi o dużych szansach na budowę centrum hotelowo-konfekcyjno-rekreacyjnego u zbiegu al. Piłsudskiego i ul. Sienkiewicza. Herdage Group Companies miałyby tu wybudować m.in. hotel z 200 apartamentami, przystosowanymi specjalnie dla ludzi biznesu. R. Stępień wspomina też o dru-

gim hotelu przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Radwańskiej, przewidywanym na ponad 150 pokoi. Oblicza, że w ciągu dwóch lat podwyższą standard pozostałe miejskie hotele.

Dobre miejsce do interesów

Powstaje jednak pytanie: czy realizacja nawet najbardziej optymistycznego, inwestycyjnego scenariusza uczyni z Łodzi targową potęgę. Odpowiedź jest krótka: nie. Ale Łódź może próbować zostać potęgą innego rodzaju.

— *Szans dla miasta należy szukać zwłaszcza w jego centralnym położeniu* — twierdzi **profesor Tadeusz Markowski**, prodziekan Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Łódzkiego, prezes łódzkiego oddziału Towarzystwa Urbanistów Polskich. — *Przecież już wkrótce Łódź znajdzie się na skrzyżowaniu transeuropejskich autostrad. A tam, gdzie krzyżują się drogi, zawsze jest dobre miejsce do robienia dobrych interesów.*

Łódź ma duże szanse by stać się ponadregionalnym ośrodkiem handlu, dystrybucji i spedycji towarów. Jej atutem może być m.in. najnowocześniejsza w Polsce, nie wykorzystana stacja kontenerowa na Olechowie. Łódź może stać się również centrum dystrybucji i przetwórstwa żywności. Aglomeracja otoczona jest przecież łańcuszkiem typowo rolniczych województw.

Miasto raczej nie powinno koncentrować się na funkcji targowej, ale nie powinno też jej zaniedbywać. Targi są zawsze dobrą okazją do spotkań, pomagają nawiązywać i rozwijać kontakty w biznesie. I nie tylko...

Ktoś, kto przyjeżdża na targi, zostawia w mieście swoje pieniądze. Nocuje w hotelu, odwiedza restaurację, kawiarnię, korzysta z telefonu, a czasami znajdzie nawet trochę czasu na kino czy koncert. Poza tym ogląda miasto. Przejeżdżając koło atrakcyjnej działki budowlanej z rampą kolejową, zastanawia się, czy warto by tu urządzić wielki magazyn albo uruchomić produkcję. A nawet jeśli nie podejmie decyzji o wielkich inwestycjach, to przecież i tak wróci do Łodzi na kolejne targi. I może wtedy...

Połatane miasto

Kraków jest miastem, do którego się jeździ. Do Poznania warto jeździć. Do Warszawy trzeba jeździć. Do Łodzi należy zaprosić. Ofertą musi być przede wszystkim szybki i wygodny dojazd do miasta — powiedział niedawno łódzki urzędnik samorządowy.

Każdego roku ruch na łódzkich drogach wzrasta o 10 procent. W ciągu ostatnich 12 lat liczba samochodów zarejestrowanych w mieście podwoiła się. Gierkowscy planiści, choć znani z gigantomanii, pomylili się. Wyliczyli, że tyle samochodów, ile jest teraz w Łodzi, będzie dopiero w latach 2005-2010. Widocznie nikomu nie przyszło wówczas do głowy, że nastanie kapitalizm, a Polacy w rekordowym tempie oczyszczą zachodnioeuropejskie sklepy z używanych samochodów...

Tzw. wskaźnik wypadkowości — liczony na 1000 mieszkańców — wynosi w Łodzi 18,8 i jest najwyższy wśród dużych miast Polski. W godzinach szczytu karetki pogotowia nie muszą jeszcze jeździć po torach tramwajowych, by przedrzeć się przez korek — tak się dzieje już w stolicy — ale powoli i systematycznie taka wizja urzęduistnia się.

**Paradoksalnie,
nieszczęściem fabrycznej Łodzi
jest to, co ją zrodziło —
szybki rozwój.**

Dawna wieś Łódzia szybko zapełniała się domami i fabrykami. Tak szybko, że zaczęło brakować miejsca na ulice. Kamienice nie są z gumy — to najostrzejszy kolec, kłujący w oczy tych, którzy głowią się dziś nad zreformowaniem systemu komunikacyjnego w Łodzi. Kiedy ulica jest wąska, otoczona zabytkowymi budynka-

mi, sklepami i instytucjami, do których trzeba dojechać, trudno wymyśleć coś, żeby zlikwidować tłok, hałas i smród. Chyba, że zamknie się ulicę. Ale wówczas jedna z żył miejskiego krwiobiegu jest zatamowana. Wiadomo czym to grozi.

„Biednego nie stać na tanie rzeczy” — głosi przysłowie. „Likwidować bruki” — głosiło popularne w latach 60. hasło. Autor hasła nie słyszał jednak o przysłowiu. „Kocie łby” rzeczywiście zaczęto likwidować — najprościej i najtaniej, jak można było sobie wyobrazić. Po prostu zalano je asfaltem, do tego kiepskiej jakości. Dziś stare łódzkie ulice zapadają się, a bruk wyłania się spod asfaltu. Dziurawe ulice stały się najsukuteczniejszą antyreklamą Łodzi.

Prawie połowa dróg o nawierzchni twardej ma ponad 15 lat, 35 proc. — od 10 do 15 lat. Według norm krajowych, asfalt powinien być wymieniany całkowicie po 10-12 latach. Na natychmiastową wymianę czeka jedna trzecia szlaków komunikacyjnych, prawie połowa wymaga częściowych remontów i modernizacji. 40 proc. ulic nie wytrzymuje ciężaru dużych samochodów. Na trzech czwartych mostów, wiaduktów i przejść podziemnych pojawiły się pęknięcia, które stwarzają niebezpieczeństwo dla kierowców i pieszych. Niektóre „gierkowskie” mosty, dzięki pośpiechowi, kiepskim materiałom i nieprawidłowej eksploatacji, są dziś w gorszym stanie niż ich przedwojenne odpowiedniki, które zachowały się do dzisiejszych czasów.

Co widzi (a raczej czuje) inwestor, który przyjeżdża do Łodzi? Wyboje.

Dają znać o sobie nawet wówczas, kiedy samochód ma dobre zawieszenie. Dziura w jezdni staje się więc tematem strategicznym, by nie rzec — politycznym (kierowcy to potężny elektorat). Co może jeszcze spotkać potencjalnego inwestora? — Korek.

Szacuje się, że na wąskich ulicach w centrum Łodzi samochody poruszają się ze średnią prędkością 25-30 km/h. Wyliczono nawet, że spalają o 30 proc. więcej paliwa niż wtedy, gdyby system komunikacji był w pełni drożny. Idąc tym tropem rozumowania — z rur wydobywa się więcej toksycznych substancji niż powinno (ekologia), hałas jest bardziej dokuczliwy, istnieje wyższe ryzyko wypadku, a system nerwowy kierowców poddawany ciężkim próbom, szczególnie wtedy, kiedy rowerem można dojechać szybciej niż samochodem. Alternatywa — komunikacja publiczna.

Średni wiek autobusów należących do Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego to 7-8 lat. Niewiele brakuje im do tzw. śmierci technicznej. Co najmniej 10 proc. samochodów MPK powinno być co roku wymieniane na nowe. Łódzki przewoźnik dysponuje ponad 400 pojazdami do przewożenia ludzi. Tymczasem w 1991 r. MPK kupiło 3 autobusy, w 1992 r. — 15, w 1993 r. — wcale. Dopiero ubiegły i ten rok znacznie poprawiły te statystyki. Dzięki uruchomieniu na Helenówku montowni Ikarusów, na ulice

wyjechało 20 nowych węgierskich pojazdów. Pojawiły się również nowe mercedesy przystosowane dla osób niepełnosprawnych. Ostatnim pomysłem jest kupno nowych autobusów za pieniądze uzyskane z przyszłorocznej emisji obligacji municypalnych, które — jak planują niektórzy — pozwolą wymienić prawie połowę autobusów w Łodzi.

**Jak przekonać Kowalskiego,
żeby przesiadł się z „malucha”
do zatłoczonego tramwaju czy autobusu,
który w każdej chwili może się rozkraczyć?**

Najprościej — ustawić wszędzie zakazy wjazdu dla samochodów prywatnych i postawić kierowcę przed faktem dokonanym. To oczywiście nie jest wyjście. Zachętą musi być komfort jazdy w „środkach komunikacji masowej” i niski koszt podróżowania. Tymczasem Łódź jest niemal książkowym przykładem tzw. efektu kuli śniegowej.

Jeżeli bilet jest relatywnie drogi, a komfort niski, opłaca się jeździć własnym samochodem. Maleje liczba klientów MPK (w porównaniu z końcem lat 70. o połowę). Mniej pasażerów to niższe zyski przewoźnika, czyli potrzeba wyższych dotacji z ubogiego budżetu miasta lub przymus kolejnych podwyżek cen biletów. Droższy bilet to mniej pasażerów, mniej pieniędzy, za które można kupić nowy autobus. W najgorszym wypadku prowadzi to do „ograniczenia oferty przewozowej”, jak mówią w Urzędzie Miasta, czyli po prostu do likwidacji niektórych linii. A wtedy nie ma czym „kupić” pasażera, bo ten zawsze może powiedzieć, że nie może dojechać z MPK tam gdzie chce. Można iść na kompromis. Mieszkaniec dojeżdża swoim pojazdem do granic centrum miasta. Zatrzymuje się na nowoczesnym parkingu strzeżonym i przesiada w tramwaj. Tylko, że takich parkingów nie ma. Brakuje też miejsc, gdzie mogłyby powstać.

**Ponad 1 bilion starych złotych —
na tyle wyceniono
koszt budowy linii tzw. supertramwaju
z Widzewa na Retkinie.**

Kiedy będziecie czytać Państwo niniejsze wydanie „Kroniki”, prawdopodobnie na łódzkich ulicach pojawi się kilka tramwajów nowej generacji, które sprowadzono z zachodniej Europy, niestety tylko do przetestowania.

A na zachodzie Starego Kontynentu nastała właśnie era tramwajów. Tramwaj jeździ po wydzielonym torowisku, nie musi więc stać w korku i nie truje tak jak autobusy.

Wejściem do Łodzi zainteresowani są potentaci — m.in. Siemens i AEG. Ich oferta to 3- lub 4-przegubowe, naszpikowane elektroniką, maksymalnie wy-

ciszone, niskopodłogowe tramwaje, w których może jednocześnie podróżować ponad 200 osób. Taki tramwaj mógłby kursować średnio co 3 minuty. Można go dowolnie wydłużać (jest zbudowany z modułów), a komputer pokładowy umożliwia na przykład podłączenie się do satelitarnego systemu sterowania ruchem. MPK prowadzi nawet rozmowy z izraelską firmą, która specjalizuje się w sterowaniu ruchem przy pomocy szpiegowskich satelitów NATO (oczywiście tych wycofanych z podstawowej działalności). Choć o szybkim tramwaju w Łodzi myśli się całkiem poważnie, to jednak na razie pomysł uruchomienia takiej linii brzmi jak science fiction. Podobnie jest z projektem budowy metra. Plany budowy podziemnej linii komunikacyjnej trafiły na spód urzędowych szuflad i tam prawdopodobnie pozostaną.

Z urzędowych szuflad wyciągnięto natomiast projekt budowy autostrad w Polsce. Co ważniejsze, poszły za tym decyzje o rozpoczęciu budowy tras ekspresowych.

**Łódź ma szczęście.
W jej pobliżu skrzyżują się
autostrady A1 i A2
(północ-południe i wschód-zachód).**

Autostrady to pieniądze — TIR-y muszą gdzieś się zatrzymywać, kierowcy muszą gdzieś zjeść obiad, przespać się, czasem przeładować towar. Najlepiej to zrobić na największym skrzyżowaniu w centrum Polski. „Otoczka” autostrad to nowe miejsca pracy. Szansą na częściową likwidację bezrobocia jest zatrudnienie ludzi przy budowie dróg tego typu. Przy węźle łódzkim pracę ma znaleźć kilka, a nawet kilkanaście tysięcy ludzi. Krzyżówka autostrad to niezła reklama. W folderach promujących Łódź, usytuowanie skrzyżowania A1-A2 jest jednym z najpoważniejszych argumentów, które mają pomóc w ściąganiu inwestorów.

Autostrady to również protesty. Nikt nie chce, żeby przez podwórko lub w jego pobliżu przebiegała autostrada. Przykład — protest mieszkańców Olechowa i rolników z dwóch wsi w okolicy Strykowa.

Łódź nie ma obwodnicy. Tranzyt samochodowy odbywa się przez miasto po mocno wyeksploatowanych, połatanych ulicach.

**Autostrady to szansa
przeniesienia ciężkiego ruchu ciężarowego
poza miasto, byle niezbyt daleko.**

Jeżeli miasto odsunie się od autostrad, to stwierdzenie zawarte na początku tego artykułu, że „do Łodzi ludzi należy zaprosić” przestanie mieć sens. Kierowcy nie będzie chciało się zboczyć z wygodnej drogi, żeby zajrzeć do miasta i tu zostawić

pieniądze. Dlatego drogi dojazdowe do Łodzi muszą być równe, szerokie, bezpieczne, ale jednocześnie niezbyt długie.

Stacja kontenerowa na Olechowie wykorzystywana jest teraz tylko w 15 proc. „Fabryczny” rejon Olechowa ma być w przyszłości specjalną strefą ekonomiczną — właśnie dzięki autostradom. Kiedy dojazd do niej będzie szybki, wtedy kierowcy opłaci się zboczyć z autostrady.

W Łodzi nie było, nie ma i pewnie jeszcze przez jakiś czas nie będzie polityki transportowej. W przenośni i dosłownie problem jest na razie tylko łatany, choć ostatnie lata przyniosły widoczny przełom w drogownictwie.

**Na inwestycje drogowe i remonty nawierzchni
przeznaczono w tym roku
dziewięciokrotnie więcej pieniędzy niż w 1993 r.
i ponad dwukrotnie więcej niż w 1994 r.**

Prawie wszystkie pieniądze z budżetu państwa na restrukturyzację regionu łódzkiego przeznaczono właśnie na drogi — ponad 400 mld zł (starych). Dwie trzecie tych środków pochłonęły duże inwestycje — m.in. przebudowa węzła przy Dworcu Kaliskim, ul. Pabianicka, al. Piłsudskiego, skrzyżowanie al. Włókniarzy z ul. Legionów. Tylko jedną trzecią „skonsumowało” bieżące utrzymanie dróg, remonty i nowe nawierzchnie. Priorytetowo mają być traktowane drogi wylotowe z miasta, które w przyszłości połączą Łódź z autostradą — ul. Brzezińska i Pomorska. Trwają próby z różnymi rodzajami asfaltobetonów i technologiami układania nawierzchni bitumicznej.

Dziur w jezdni jest mniej niż kiedyś. W ubiegłym roku załatano 65 tysięcy metrów kwadratowych wyrw i ułożono 160 tysięcy metrów kwadratowych nowych nawierzchni. W tym roku podobnie. To wszystko jednak kropla w morzu potrzeb. Za grzechy przeszłości trzeba płacić znacznie więcej.

W stolicy Meksyku mieszka 23 miliony ludzi, czyli połowa Polski. Niektóre drogi mają po 16 pasów ruchu. Tłok na nich jest niemiłosierny, choć co dwa dni samochody z określonymi numerami rejestracyjnymi (parzyste, nieparzyste) nie mogą jeździć. Ciekawe, czy takie ograniczenia czekają Łódź, którą powoli ogarnia paraliż komunikacyjny, najpoważniejsza choroba naszych czasów.

Gdy praca człowieka traci sens, jedynie strajk jest pełnym sensu zachowaniem się człowieka pracy.

ks. prof. Józef Tischner, *Kultura pracy*

WOJCIECH GÓRECKI

Strajki robotnicze w Łodzi

w latach 1945-47

Jedną z najmniej znanych kart z dziejów PRL są strajki podejmowane przez robotników w drugiej połowie lat czterdziestych. Można pokusić się o stwierdzenie, że stanowią one „białą plamę” jakby w dwóch płaszczyznach — po pierwsze, brak jest na ich temat prac historycznych, po drugie, nie istnieją w świadomości społecznej. Badacze nie podejmowali tematu strajków z przyczyn oczywistych: do Sierpnia '80 oficjalna propaganda utrzymywała, że w ustroju socjalistycznym nie mogą one po prostu mieć miejsca, gdyż *odpadły wszelkie obiektywne przyczyny sprzeczności i konfliktów interesów w stosunkach pracy*¹, ergo wszelkie „akcje”, „przestoje” czy „krótkie przerwy” są jedynie wynikiem nieporozumienia lub wrogiej roboty reakcji (ciekawe, że objęto anatemą nawet samo słowo „strajk”, sądząc zapewne, że rzecz, o której się nie mówi, nie istnieje). W pamięci zbiorowej narodu z kolei, w której zachowały się doskonale kolejne „zakręty historii”, okres tuż powojenny przetrwał raczej jako czas wielkiego entuzjazmu, odbudowy i pracy za miskę zupy. Zasadniczej zmiany w stanie wiedzy o strajkach z lat czterdziestych nie przyniosły także ostatnie lata — temat pozostaje nadal „terra incognita”

¹ Walery Masewicz, *Strajk. Studium prawno-socjologiczne*, Warszawa 1983, s. 205.

Rok 1945

Pierwsze lakoniczne informacje o różnych formach zbiorowych wystąpień robotników, spowodowanych niezadowoleniem głównie z powodu złej aprowizacji, zaczęły napływać do łódzkich komitetów PPS i PPR już w połowie 1945 r. *Sytuacja jest ciężka, bo robotnicy pracują o głodzie* — czytamy w sprawozdaniu Komitetu Wojewódzkiego PPR. — *Mieliśmy na tym tle strajki (Gampe i Albrecht, Poznański). Krótkotrwałe, tylko część załogi, ale były one sygnałem poważnego napięcia w nastrojach.*

Podobny nastrój przebija ze wspomnień Lucjana Kieszczyńskiego, wówczas kierownika Wydziału Propagandy i Agitacji Komitetu Dzielnicowego Górna Prawa PPR w Łodzi: (...) *jeszcze w lutym [1945 — W. G.] robotnicy odnosili się do władzy ludowej i jej poczynąń bardzo pozytywnie, znosili braki w zaopatrzeniu, pracowali z poczuciem świadomej dyscypliny, nie licząc godzin. Obecnie zaszły zmiany w ich nastrojach. Na zebraniach wysłuchiowano w milczeniu referatu o konieczności uczczenia 1 Maja, o zwiększeniu wydajności pracy, o podniesieniu poziomu dyscypliny, o znaczeniu układu polsko-radzieckiego. Ale dyskusja przybierała zupełnie inny charakter. Rzadko mówiono na temat poruszony w referacie, a podnoszono inne sprawy: zbyt łagodnego : uktowania volksdeutscheów, złego załatwiania spraw w urzędach, zwłaszcza mieszkaniowych i aprowizacyjnych, biurokratycznego panoszenia się w urzędach i instytucjach i lekceważenie robotnika. Najbardziej jednak narzekano na złą aprowizację, niewłaściwą organizację zaopatrzenia, słowem — na balaagan. Zdarzały się wypadki, że robotnicy nie otrzymywali na kartki tego, co im się należało. (...) Rzadko nawiązywano do sprawy zwiększenia wydajności pracy, a jeśli ktoś o tym mówił, to raczej w sensie negatywnym. Widać było, że robotnicy zaczynają się niecierpliwić (...) Na niektórych zebraniach żądano wprost poprawy warunków bytu, grożąc nawet przerwaniem pracy.*

W drugiej połowie kwietnia i w maju miały miejsce krótkotrwałe strajki w wielu firmach, między innymi w tych największych: u Scheiblera i Grohmana (późniejsza nazwa PZPB — Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego Nr 1), u Poznańskiego (PZPB Nr 2), u Dietzla, w Niciarni, u Stolarowa, u Geyera, u Hoffrichtera, u Scheikerta i w kilku innych. Sytuację w Łodzi omówiono na Ogólnokrajowej Naradzie PPR w Warszawie w maju 1945.

Trudna sytuacja w zaopatrzeniu ludności (wiele produktów objętych było reglamentacją) pogłębiona została dokonaną przez Ministerstwo Apropowizacji i Handlu, na podstawie uchwały Rady Ministrów z 11 maja 1945, korektą obowiązujących norm zaopatrzeniowych — zostały one poważnie obniżone oraz zróżnicowane. Decyzja ta podyktowana była, według wersji oficjalnej, systematycznym zwiększaniem się liczby osób uprawnionych do korzystania z reglamentacji oraz brakiem możliwości zapewnienia pokrycia na karty. Łódź obok Warszawy i miast Górnego Śląska zaliczona została do I grupy, co oznaczało pewne uprzywilejowanie — w pozostałych miastach obowiązywały znacznie niższe normy zaopatrzenia.

W obrębie każdej z grup występowało kilka kategorii: w czerwcu 1945 posiadaczom kart I kategorii I grupy, więc najwyższej z możliwych, przysługiwało 12 kg chleba, 1 kg cukru i tłuszczów, 18 kg ziemniaków, 2 kg mąki i kaszy, tyle samo mięsa i warzyw, 400 g soli i mydła, litr nafty, 12,5 g herbaty lub kawy zbożowej oraz 2 pudełka zapalek.

Wysokie w stosunku do płac ceny artykułów żywnościowych i przemysłowych (szczególnie węgla) oraz wspomniana korekta przydziału na karty zaopatrzeniowe, powiększyły stopień pauperyzacji łódzkiego społeczeństwa, szczególnie środowiska robotniczego. Stawało się to źródłem dalszych konfliktów i prowadziło do wybuchu kolejnych strajków.

W sprawozdaniu Komitetu Wojewódzkiego PPR za lipiec 1945, przesłanym Komitetowi Centralnemu tej partii, czytamy: *Sytuacja aprowizacyjna jest coraz bardziej napięta. Karty żywnościowe dla pracujących są tylko w części realizowane, a dzieci i rodziny otrzymują tylko chleb, zapalki i sól. Robotnicy nie dostają węgla. Na tym tle nastroje są do najwyższego stopnia napięte, miały miejsce 24 zatargi strajkowe, w tej liczbie 4 na kolei. Wzburzenie wywołuje fakt, że produkty UNRRA (konserwy, śliwki) sprzedaje się po cenach komercyjnych i to wcześniej, niż sprzedaż tych produktów na kartki. Węgiel jest na wolnym rynku, a nie ma dla robotników. Sytuacja w dziedzinie wyżywienia dzieci robotniczych jest katastrofalna.*

Jeszcze jeden fragment z tegoż sprawozdania: *Zebrania robotników, które odbywały się ostatnio na fabrykach w związku z wyborami do rad zakł. [adowych — W. G.], miały przebieg bardzo burzliwy. Najczęściej do najwyższego napięcia dochodzi w chwili, gdy na trybunę wchodzi robotnica i zaczyna krzyczeć, że dzieci jej giną z głodu, wtedy podnosi się ogólny krzyk, nie dają naszym dojść do głosu, wołając: „dość mamy gadania o polityce, chcemy jeść”. I lapidarna konkluzja: Powszechne niezadowolenie stwarza sprzyjający grunt do roboty reakcji.*

Strajkowali nie tylko robotnicy fabryczni, ale też nauczyciele, kolejarze i tramwajarze, sprawozdania Związków Zawodowych mówią o protestach pracowników telekomunikacji i pocztowców.

Przyczyną strajku w Pocztownym Urzędzie Przewozowym (PUP) w Łodzi, który wybuchł 20 września 1945, były niskie zarobki, niewypłacanie w terminie należności za diety i godziny nadliczbowe, brak odzieży ochronnej i wysokie ceny artykułów spożywczych. Uczestnik protestu, monter Jabłoński, stwierdził, że *nikt nie chce urządzić strajków i sabotaży, tylko otrzymywać taką płacę, za którą można by żyć*. Niezadowolające są też warunki pracy — przy kwasach bardzo niszczy się ubranie, którego firma nie zapewnia: *nawet Niemcy przydzielali po dwa ubrania i parę butów na rok, obecnie ich nie otrzymuję. (...) Polacy przed wojną straszili nas Berezą, Niemcy — Dachauem, obecnie straszą nas Bezpieczeństwem, ale my się niczego nie boimy, pracować chcemy i żyć*. Jabłoński żądał stawek według umów zbiorowych i stwierdził, że *jeśli tego nie otrzymam, będę zmuszony zrezygnować z pracy i pójść gdzie indziej*. Inny pracownik, Dąbrowski (zarobek miesięczny 700 zł) oświadczył: *Po rocznej pracy na*

poczcie jestem dziadem, ubranie podarłem, resztę sprzedałem, nie ma węgla, kartofli, dzieci wołają jeść. W podobnym tonie brzmiała wypowiedź robotnika Pogonowskiego: Niech ten, który ustalił nasze pensje — da nam receptę, co za nie kupić, i jak wyżywić rodzinę. Niektórzy z pracowników kradną. Dziwić się temu nie można, gdyż są głodni, suchy czarny chleb przynoszą jako codzienne swoje pożywienie.

Dzień później, 21 września 1945, przerwała pracę załoga Urzędu Poczтового Nr 1 i Rejonowego Urzędu Telefonów i Telegrafu. Delegacja pracowników zgłosiła praktycznie te same postulaty, jakie wysunięto w PUB-ie. Protestujący podkreślili, że przerwanie pracy nie ma charakteru strajku o podłożu politycznym — celem jest jedynie manifestacja *swoich braków materialnych wskutek niskiego uposażenia*.² Innego zdania był Aleksander Burski, wówczas przewodniczący OKZZ w Łodzi — oświadczył on protestującym, że *każda demonstracja ma zawsze podłoże charakter polityczny i obniża powagę ostatecznej broni robotniczej, jaką jest strajk, który można stosować jedynie w ostateczności*. Burskiego poparł sekretarz KW PPR, Marian Minor: *Obecnie pracownik państwowy to jak żołnierz, nie może opuścić posterunku, gdyż poczta w szczególności jest nerwem służby państwowej*.

Przedstawiciel PPS, Józef Sawicki, sprzeciwił się jako jedyny, upolitycznianiu strajku pocztowców, co spotkało się z kolei z protestem KW PPR, wystosowanym do WK PPS. Sprawa znana jest z odpowiedzi, jakiej udzielił pepeerowcom sekretarz WK PPS, Henryk Wachowicz: (...) *Prawdą jest, że tow. Sawicki różnił się z tow. Burskim w ocenie strajku i stwierdził, że nie jest to strajk polityczny, gdyż wystąpienie antyrządowych i antypaństwowych nie było, natomiast podnoszono wyłącznie sprawę ciężkiego bytu pracowników pocztowych, co zresztą jest sprawą powszechnie znaną, bodajby z przemówień naszych i Waszych posłów w Krajowej Radzie Narodowej. Najlepszy dowód, że Rząd zapowiedział podwyższenie uposażeń pocztowców od 1.10. br. Uważamy, że należy tłumaczyć niewłaściwość takiego kroku, jakim jest dzisiaj strajk i tłumaczyć ogólnie ciężkie warunki gospodarcze. Natomiast nie należy głośno „wmawiać” strajkującym, że to jest strajk polityczny, gdyż wywoła to ten skutek, że wszystkich strajkujących zaliczać będziemy do naszych wrogów politycznych i w ten sposób powiększać będziemy naszymi wypowiedziami siły reakcji.*

* * *

W sierpniu i wrześniu 1945 strajki w Łodzi i podlódzkich miastach przybrały na sile. Protestowały załogi Fabryki Geyera oraz Nowej Tkalni, Wykańczalni i części Przędzalni Zakładów Scheiblera, stanęły fabryki Gampego i Jarischa.

² APŁ, zespół „WRZZ 1945-1949”. Sprawozdania i protokoły nadsyłane ze Związku Zawodowego Pracowników Poczty i Telekomunikacji w Łodzi. sygn. 253. Protokół z konferencji służbowej pracowników Poczтового Urzędu Przewozowego w Łodzi. 20.IX.1945.

Burzliwy przebieg przybrały strajki w Pabianicach. 23 sierpnia 1945 przerwała pracę nocna zmiana w zakładach Krusche i Ender. Bezpośrednim powodem — jak odnotowano w sprawozdaniu KW PPR — *miała być kwaśna zupa, świeżo ugotowana i o skwaśnieniu jej nie mogło być mowy. Strajk jednak zaostrzył się i wysunięto wkrótce zupełnie inne motywy przystąpienia do strajku*. W następnym dniu (24.VIII.) protest objął inne pabianickie firmy: Kindler, Szware i Meyer, Ginter, Krotoszyński i Jankowski. Strajki trwały kilka dni, 27 sierpnia na rannych zmianach podjęto pracę w zasadzie we wszystkich zakładach. Wyjątek stanowiła Przędzalnia firmy Kindler, w której większość zatrudnionych stanowiły kobiety. W gaszeniu strajków obok przedstawicieli Komitetu Wojewódzkiego PPR brali udział słuchacze Centralnej Szkoły PPR oraz kursanci Szkoły Polityczno-Wychowawczej Oficerów, którzy mieli *dość duży wpływ na podniesienie nastrojów członków PPR i PPS i rozładowywanie nastrojów u Krusche Endera*.³

Nie jest bliżej znana rola, jaką odegrała wówczas PPS. *Mówcy z PPS-u jak i nasi wysuwali konieczność wspólnej akcji, czego jednak ze strony PPS-u w realnej pracy żeśmy nie zauważyli* — czytamy w sprawozdaniu PPR. Henryk Wachowicz na wspólnym posiedzeniu KC PPR i CKW PPS w dniu 28 września 1945 stwierdził zaś: *W akcjach tych [w strajkach w Łodzi i w Pabianicach — W. G.] organizacje partyjne i związki zawodowe nie stanęły na wysokości zadania. W przypadku Pabianic zajęciu odpowiedniego stanowiska przeszkodziły spory personalne między towarzyszami z PPS i PPR*.

Komitet Wojewódzki PPR ocenił, że strajki miały tło polityczne. *Za politycznym charakterem strajku przemawiają nadmierne i nierealne żądania robotników* [chodziło m. in. o zapewnienie zaopatrzenia w węgiel i drewno, przydzielenie wszystkim robotnikom, pracującym i niepracującym, I kategorii kartek żywnościowych i obniżkę cen energii elektrycznej — W. G.], *jak też osoby samych prowodyrów [którzy] stale są przyczyną niepokojów i zatargów, [rzucają] reakcyjne okrzyki i wypowiedzi w rodzaju: „Nasi bracia walczą w lasach, precz z żydami, usunąć ich, za Niemców było lepiej itd”*. Ujawnionym zostało, że poszczególni ludzie chodzili po firmach i nawoływali do strajku. *Faktem jest też, że prowodyrzy nie chcieli reprezentować w delegacjach interesów i postulatów załogi*.

O dziwo, wzmianka o strajkach (z użyciem słowa „strajk!”), ukazała się na łamach prasy, co prawda nie lokalnej, która pominęła protesty, jak zwykle, całkowitym milczeniem, tylko w organie Komisji Centralnej Związków Zawodowych, dwutygodniku „Trybuna Związkowca”. Ton tego tekstu był jednoznaczny: *Nasilenie strajkowe w sierpniu [1945 — W. G.] doszło do punktu szczytowego. Takie strajki, jak w fabryce Krusche i Ender w Pabianicach, u Geyera w Łodzi i innych spowodowały stratę setek tysięcy metrów materiałów. Spowodowały zahamowanie produkcji, które*

³ APL, zespół „KW PPR”. „Sekretariat. Sprawozdania miesięczne 1945-1947”. Sprawozdanie Komitetu Wojewódzkiego [PPR] za okres od 15.VIII. do 15.IX. brak sygnatury.

dla odbudowy życia gospodarczego kraju jest zjawiskiem bardzo szkodliwym. I dlatego związki zawodowe, jako współorganizator kraju w nowej strukturze Państwa Polskiego postanowiły się wypowiedzieć w sprawie tych dzikich strajków.

Strajki w Łodzi i strajk u Krusche i Endera w Pabianicach, określony przez W. Gomułkę jako *burzliwy i powszechny*, poddawane były ocenie zarówno komitetów wojewódzkich PPR (egzekutywa 27 sierpnia i 13 września 1945) i PPS (zebranie aktywu 2 września 1945), jak i władz centralnych obydwu partii, w tym Biura Politycznego KC PPR oraz przez Krajową Radę Narodową.

Wnioski KW PPR były następujące: 1) powodem strajków było w przeważającej mierze trudne położenie materialne klasy robotniczej, które zostało wykorzystane przez siły opozycyjne do podsycania nastrojów niezadowolenia; 2) organizacje PPR w zakładach pracy nie zawsze wykazały właściwą troskę o interesy robotników, nie sygnalizowały w porę trudności; 3) wśród części robotników małe było wyrobienie polityczne, co znaczy, że nie docierano do nich z pracą polityczną; 4) niektórzy członkowie kierownictw zakładów pracy nie przejawiali należytej troski o interesy załóg.

Z wnioskami tymi zgodził się w wystąpieniach na posiedzeniu egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PPR (13 września) oraz na zebraniu włókniarzy (17 września) Władysław Gomułka. Przyjazd „Wiesława” był rezultatem ustaleń posiedzenia Biura Politycznego z 6 września: *W związku z niebezpiecznymi objawami wzrostu działalności NSZ w łódzkiej klasie robotniczej i groźnym zjawiskiem pasywności organizacji peperowskiej wobec przenikania NSZ do fabryk skierować [W. Gomułkę i Hilarego Minca do Łodzi — W. G.] dla skontrolowania działalności PPR i bezpieczeństwa i okazania im pomocy.* Wcześniej nieco, bo już 27 sierpnia, w dniu zakończenia strajku u Krusche i Endera, bawił w Łodzi Roman Zambrowski, który uznał protest ten za *sygnał dla całego kraju* i skrytykował łódzkie organy bezpieczeństwa: *Woj. [ewódzki — W. G.] Urząd Bezpieczeństwa jest sterroryzowany przez prokuraturę, jest tchórzliwy, niepoważny z partią, boi się przestępców. To, co ma być naszym bezpieczeństwem jest impotencją.*

Wojewódzki aktywny PPS, obok oceny przebiegu strajków i ich skutków (trwały one jeszcze w niektórych łódzkich fabrykach), uchwalił 2 września 1945 rezolucję, zawierającą szereg postulatów pod adresem rządu. W postulatach tych odbijają się echem żądania zgłaszane przez protestujące załogi, co świadczy o uznaniu ich przez pepeesowców za zasadne. Łódzka PPS domagała się m. in. *aby po tegorocznych zbiorach wprowadzono w całym kraju jednolity wypiek chleba 75 proc. dla wszystkich obywateli, bez obniżania dotychczasowej normy przydziałów oraz zwiększenia przydziałów innych artykułów żywnościowych, proponowała wprowadzenie jednolitych kart żywnościowych dla wszystkich ludzi pracy, emerytów i niezdolnych do pracy, cofnięcie natomiast kart żywnościowych niepracującym, uznała za konieczne podwyższenie płac i obniżenie cen na artykuły pierwszej potrzeby. Ponadto zgłosiła postulat przyznawania premii towarowych wszystkim pracującym, biorąc za podstawę ilość osób pozostających na utrzymaniu pracującego.*

Przyczyną przerywania pracy jesienią 1945 r. były nie tylko trudności aprowizacyjne, lecz przede wszystkim niskie zarobki. *W Łodzi i Pabianicach* — stwierdził H. Minc — *przyczyną strajków jest zły stan plac, zarabiają bowiem 1/4 tego, co przed wojną, mimo zwiększenia się plac, polepszenia aprowizacji i zmniejszenia cen na wolnym rynku*. Istotnie, latem 1945 obniżono ceny niektórych artykułów, wątpliwości budzi natomiast wskaźnik płac, określony przez Minca na poziomie 25% w stosunku do okresu przedwojennego. Zacytujmy Hannę Jędruszcak: *Rok 1945 wyznacza najgłębszy spadek wartości realnej dochodów i zarobków, które stanowiły 6-14 % [podkreślenie moje — W. G.] poziomu przedwojennego. Na pierwszy rzut oka trudno nawet pogodzić się z wymową tych wskaźników (...). Minimum egzystencji jest jakąś wielkością tak społecznie, historycznie jak i biologicznie zmienną. Warunki powojenne umieszczały ją na granicy minimum głodowego*.⁴

Zarobki nie wystarczały nawet na zakup podstawowych artykułów żywnościowych, co m.in. powodowało gwałtowne pogorszenie się stanu zdrowotnego społeczeństwa. Na anemię według danych szacunkowych cierpiało w Łodzi około 80% dzieci w wieku szkolnym, szerzyła się gruźlica i wzrastała śmiertelność. Wskaźnik zgonów był bezpośrednio po wojnie dwukrotnie niemal wyższy niż w latach ją poprzedzających (21,8 promila w latach 1945-46 wobec 11,4 promila w latach 1937-38).

Na poprawę warunków bytowych i zmianę nastrojów środowisk robotniczych nie miały wpływu kierowane doń przez władze apele. *Strajkiem ukrećcie bicz na własne plecy* — ostrzegał na zebraniu przedstawicieli rad zakładowych przemysłu włókienniczego W. Gomułka. — *Strajkiem pomagacie reakcji, bo reakcja jest wrogiem, która żeruje na naszej nędzy. Na skutek strajków, które ostatnio miały miejsce, zmniejszyliście produkcję włókienniczą o setki metrów. (...) Taki jest sens strajku i agitacji strajkowej*.

Wystąpienie tow. Wiesława i Minca ułatwiło aktywowi partyjnemu pracę wśród robotników i dyrektorów — podkreślono w sprawozdaniu miesięcznym KW PPR za wrzesień 1945, z kolei w rezolucji uchwalonej na zakończenie I Konferencji KW PPR w dniach 3-4 października 1945 zaapelowano: *Konferencja wzywa organizacje partyjne do wzmożenia czujności na działalność agentur faszystowskich na terenie fabryk, urzędów itp., które wykorzystując trudności gospodarcze państwa organizują niezadowolone robotników aż do strajków włącznie*.

Wysiłki podejmowane przez wojewódzkie instancje PPR i PPS, jak również ich władze szczebla centralnego oraz administrację gospodarczą w celu wyeliminowania wszelkich „akcji strajkowych” nie przyniosły jednak skutków.

⁴ Hanna Jędruszcak, *Miasta i przemysł w okresie odbudowy*, [w:] *Polska Ludowa. 1945-1950. Przemiany społeczne*. Red. Franciszek Ryszka, Warszawa 1974, s. 366-367.

W ostatnim kwartale 1945 r. odnotowano 11 strajków (październik — 6, listopad — 3, grudzień — 2). Pracę przerwali m.in. łódzcy kolejarze: powodem było obniżenie im przydziału śledzi na kartki aprowizacyjne do pół kilograma, podczas gdy w innych firmach wydawano w dalszym ciągu po kilogramie. *Strajk był wybitnie polityczny* — zauważył 12 listopada 1945 na egzekutywie KW PPR Aleksander Burski. — *Trwał od godziny 9 rano do 6 wieczorem. Centralą był dworzec Fabryczny. Kolejarze wybrali delegację, która pojechała do Warszawy. W rezultacie dostali po 2 kg na pracującego i po 1 kg na członka rodziny. Stąd wniosek: stukajcie a dostaniecie* — podsumował ironicznie Burski.

W ocenie Wydziału Zawodowego WK PPS strajki w ostatnich trzech miesiącach 1945 r. wybuchały z powodu: 1) niskich przydziałów kartkowych; 2) zaniżania zarobków poprzez wliczanie niezawinionych przez robotników godzin postojowych do akordowych; 3) wysokich cen paczek z UNRRA — 307 zł za paczkę 5 kg (przy płacach wynoszących w grudniu w branży bawełnianej 1005 zł); 4) nie przydzielania na „gwiazdkę” obiecanych materiałów włókienniczych; 5) nieterminowego przydziału punktów towarowych i 6) dokonywania przez władze bezpieczeństwa aresztowań za kradzieże (można mówić o podejmowaniu akcji „solidarnościowych”).

Punkty towarowe (premie towarowe, bony towarowe) były to przydzielane pracownikom w charakterze dodatkowego świadczenia asygnaty na zakup po cenach sztywnych wyrobów pochodzących z produkcji własnej lub innych zakładów. Przydziały takie utrzymały się do końca 1946 r. Zaległości (nawet półroczne) w wydawaniu punktów, jak i asortyment oferowanych na nie wyrobów spotykał się z licznymi protestami robotników. Kierownik Wydziału Społeczno-Zawodowego WK PPS, Czesław Jaszczurski, zauważył:

W przemyśle, metalowym, chemicznym i papierniczym wydaje się [na bony towarowe — W. G.] takie artykuły, jak szkło w postaci słoików, masielniczek, popielniczek, wazonów do kwiatów i wyciskaczy do cytryn oraz z chemikalii sody kaustycznej. Przy cenie cytryny 200 za sztukę robotnik zarabiający ok. 150 zł do 300 zł tygodniowo nie będzie wyciskał cytryn lub otrzymując sodę kaustyczną nie będzie zabawiał się w przemysłowca mydła bez tłuszczu.

Sprawa punktów towarowych, choć nie była najważniejszym motywem podejmowania działań strajkowych, wymieniana jest w 1945 i 1946 r. w większości sprawozdań zarówno PPR-u, jak i PPS-u.

W wielu zakładach robotnicy przerywali pracę w obronie kolegów wyrzuconych za dokonanie kradzieży. Sprawa ta przewijała się zarówno w dokumentach, jak i na posiedzeniach plenarnych obydwu partii, trafiła na łamy prasy. Kradzieże w zakładach były masowe — sięgały 10 do 30% ogólnej produkcji (przed 1939 najwyższej 2%). Cz. Jaszczurski, w sprawozdaniu WK PPS, zanotował oświadczenia robot-

ników na ten temat — twierdzili, że: *są zmuszeni kraść, ponieważ przydłaly pierwszej potrzeby tak dla samych pracujących, jak i dzieci, oraz rodziców niezdolnych do pracy, są bardzo niskie, zaś z zarobków nie mogą sobie pozwolić na kupno tych artykułów na wolnym rynku z powodu wysokich cen.*

Bywają przypadki, że robotnicy podjudzeni przez elementy reakcyjne przerywają pracę w obronie wyrzuconych za kradzieże (f-ma Netzel) — skwitowano lakonicznie w sprawozdaniu KW PPR za listopad 1945.

* * *

W 1945 r. odnotowano też w Łodzi strajki podejmowane na znak protestu przeciwko reprzywatyzacji niektórych zakładów. (Wydzierżawienie drobnych i średnich przedsiębiorstw, nie posiadających kluczowego znaczenia dla państwa, bądź też zwracanie ich byłym właścicielom, którzy nie splamili się współpracą z Niemcami, oparte było na dekrete z 22 marca 1945 o majątkach opuszczonych i porzuconych i miało na celu ożywienie produkcji mniejszych firm, a także — jak deklarowano — wciąganie prywatnej inicjatywy w gospodarczą odbudowę kraju. Przekazywanie zakładów następowało na mocy orzeczeń właściwych sądów).

W Łodzi do 30 lipca 1945 wydzierżawiono lub zwrócono byłym właścicielom 22 firmy. W przypadku trzech z nich werdykt sądu spotkał się ze zdecydowanym protestem PPR, PPS, Związków Zawodowych i — jak twierdzili pepeerowcy — także samych załóg: chodziło o Fabrykę Pasów i Wyrobów Rymarskich „J. W. Janiccy”, Wytwórnę Gazów Przemysłowych „Wagner i S-ka” oraz Farbiarnię „Bukiet i S-ka”. Konflikty na tym tle miały wówczas miejsce w całym kraju i nie stanowiły łódzkiej specyfiki: *Gdy w 1945 r. — pisze Władysław Góra — zostały podjęte próby reprzywatyzacji mniejszych zakładów, właśnie rewolucyjna postawa klasy robotniczej uniemożliwiła ich realizację.*⁵

Rzecz w tym, że „rewolucyjna postawa” nie przejawiała się spontanicznie, lecz była, w Łodzi przynajmniej, starannie wyreżyserowana. Mówi o tym sprawozdanie KM PPR: *TZP [Tymczasowy Zarząd Państwowy — W. G.] i sądy pozwalają na zupełną samowolę z uszczerbkiem dla interesów państwowych. Np. chcieli oddać w ręce prywatne f-ki Wagnera — wytw. gazów przemysłowych, Bukieta — duża fabryka włókien, Janickich — fabryka pasów. Zorganizowaliśmy strajki protestacyjne w tych fabrykach przeciwko reprzywatyzacji.*

Protesty w trzech wspomnianych firmach rozpoczęły się 30 lipca 1945 i przyjęły formę strajków okupacyjnych. 31 lipca *na pomoc strajkującym [w zakładach „Wagner” — W. G.] przyszli robotnicy innych fabryk* — czytamy w protokole ze wspólnej konferencji związków zawodowych i TZP.

⁵ Władysław Góra, *Refleksje nad historią Polski Ludowej*, Lublin 1979, s. 202.

Temat podjął „Głos Robotniczy”, miejscowy organ PPR: *Klasa robotnicza* — pisał autor jednego z tekstów — *nie pozwoli oddać fabryk byłym fabrykantom. Robotnicy firmy „Bukiet” i „Janickich” na znak protestu strajkowali półtorej godziny.* W innym numerze „GR” całą sprawę podsumował działacz PPR i związków, Kazimierz Witaszewski: *Klasa robotnicza* — napisał — *dała jaskrawy wyraz temu stanowisku [sprzeciw wobec reprivatyzacji — W. G.], protestując strajkiem przeciw oddaniu właścicielom fabryk Bukieta i Janickich w Łodzi.*

Reprivatyzacja została wkrótce wstrzymana. *Klasa pracująca Łodzi na zgromadzeniu uroczystym w dniu 5 stycznia 1946* — informował „Głos Robotniczy” — *wita z największą radością ustawę o unarodowieniu wielkiego i średniego przemysłu w Polsce.* Omawiane strajki należały do nielicznych, zakończonych realizacją wysuwanych postulatów. Pepeerowcy nie unikający słowa „strajk” (być może tu właśnie mieliśmy do czynienia z „ostatecznością”, która, według cytowanych słów A. Burskiego, usprawiedliwiała jego podjęcie) zachowali się jak przysłowiowy Kali: „jeśli my zorganizować strajk — to dobrze, jeśli oni — to źle”.

* Tekst został przygotowany na seminarium prof. Krystyny Kersten „Społeczne i kulturowe aspekty transformacji 1944-1955”.

* Dokończenie tekstu obejmujące lata 1946-47 — w następnym numerze „Kroniki”.

* Ze względu na to, że „Kronika” nie jest pismem naukowym, redakcja zrezygnowała z wielu przypisów, ograniczając je wyłącznie do niezbędnych.

Dłuż

Spotkaliśmy się wtedy w kilku. Był Józek Śreniowski, Tomek Filipczak, nie pamiętam kto jeszcze, może Wojtek Hempel. Pod Biblioteką Uniwersytecką było już ciemno; kilka kroków w gęstniejącej ciemności września i nagle znaleźliśmy się w huczącej, rozjarzonej, zatłoczonej sali MPK. Na schodach i w przedsionku kłębił się przedziwny tłum. Z ubrań i twarzy wyczytać można było wszystkie peerelowskie stany i profesje: od ostatniego lumpenproletariusza do hippisowatych, długowłosych studentów w rozciągniętych swetrach. Na sali obradowano; w bólach i konwulsjach totalnej demokracji rodziła się łódzka „Solidarność”.

Nie jestem jakimś szczególnym fizjonomistą. Z tego spotkania zapamiętałem tylko prezydium siedzące na podwyższeniu, a spośród jego członków złotoustego Andrzeja Słowika; płonące oczy Grzegorza Palki; i Jego. Ogromna, zwalista postać o twardych, wręcz brutalnych rysach, ozdobiona krzaczastymi czarnymi brwiami, dodatkowo groźna przez zupełną niemal nieruchomość.



— Jak już wszyscy tamci dadzą dupy, to ten będzie się trzymał i da czerwone-mu popalić — powiedział nagle obok mnie Witek Sułkowski, który znalazł się tu Bóg wie skąd.

Miał rację i jej nie miał. Bo skąd wtedy mogliśmy wiedzieć, że Niedźwiedź, jak Go ochrzciliśmy, okaże się istotnie wyjątkowo wrednym wrzodem na ciele komuny; ale też, że w zwalistej posturze kryje się dusza wyjątkowo wrażliwa, pozbawiona krztyny fanatyzmu, za to pełna poczucia humoru i czuła na uroki życia.

* * *

Poznaliśmy się bliżej w listopadzie '80, kiedy spędziłem tydzień w „Marchlewskim” podczas ogólnopolskiej akcji protestacyjnej przemysłu lekkiego. Podczas negocjacji Dłuż siedział nieruchomo, i tylko czasem ożywał się, kiedy jego solidarnościowi partnerzy okazywali się zbyt skłonni do kompromisu.

— Idźcie na halę i powiedzcie dziewczynom, że się z tego wycofujecie! — zeżlił się któregoś dnia. Argument zdawał się być wyjątkowo wredny, ale w jego ustach nie miał nic z demagogii. Przez 16 miesięcy obserwowałem stosunek załogi do Dłuża i bywały to zgoła wzruszające sceny. Robotnice, niekiedy dwakroć od niego starsze, traktowały go jak ojca albo starszego brata.

Któregoś dnia spojrzał na mnie spode łba znad sterty papierów związkowych i powiedział:

— Zrozum, my się nie mamy dokąd cofać. Co im pozostanie, tym babom, jeżeli zawiedzie je „Solidarność”? Nic, pustka, chaos. Przecież tamtym o to chodzi...

Była to najbardziej przenikliwa analiza polityczna, jaką usłyszałem w tamtych czasach.

* * *

Dokładnie to samo przekonanie przyświecało Dłużowi, kiedy dziwnym trafem przyszło nam organizować podziemie w Łodzi. Po zgnieceniu strajku w „Marchlu” najważniejsze dla niego było dotarcie z drukowanym słowem do łódzian. Szybko ustaliliśmy sobie, że zaniósł się na jakieś 10 lat.

— Czyli co my możemy? Na razie przypomnieć ludziom, którzy nas wybrali, że istniejemy, czyli dać nadzieję. Ilość nadziei jest odwrotnie proporcjonalna do wytrzymałości komunistycznej dupy — stwierdził lapidarnie. (Było wtedy takie powiedzenie, że na bagnietach długo się nie da wysiedzieć i władza prędzej czy później będzie musiała popuścić. Byliśmy zdania, że raczej później).

— Pisz oświadczenie, redaktor.

— Podpisujesz?

- Podpisuję.
- Nazwiskiem?
- Jerzy Dłużniewski.

* * *

W Inowrocławiu siedzieliśmy we trzech z Klimkiem Zbrońskim w celi o rozmiarach dwa i pół na półtora metra, w której mieściła się podwójna prycza, stolik, dwa taborety i klozet. Siedzieliśmy w zimowych ubraniach, mimo upałów na dworze; cela była w dwóch trzecich zanurzona pod ziemią. Różnieliśmy całe dnie w domino, słuchając paplaniny Moniki Olejnik w więziennej betoniarze. Mieliśmy kupę czasu.

— Najgłupsze jest to — powiedział nagle Dłuż — że nie czuję za grosz nienawiści. Mydło i piątka — dodał, kładąc kolejny kamień na stoliku.

— Cholera. Ja to nawet temu głównemu ubekowi podawałem rękę na dzień dobry — powiedział Klimek i sztachnął się popularnym.

— Ja też. Dubel piątek — powiedziałem, bo była moja kolej.

— Ja też — powiedział Dłuż. — Klimek, graj.

Jakoś w tym czasie dotarło do nas, iż Bardzo-Sławny-Adwokat-z-Warszawy zgadza się podjąć naszej obrony, pod warunkiem, że pójdziemy na wielki proces polityczny.

— Musicie się namyślić. Sława i duże wyroki albo spokojny proces i w miarę szybki powrót do Łodzi, gdzie jest teraz zupełnie pusto. Niech pan nic nie mówi, szkoda czasu — szepnął nieoceniony Andrzej Kern, wpychając we mnie trzeciego w ciągu dziesięciu minut schabowego.

— A pocałujcie wy mnie wszyscy w dupę z waszymi Głośnymi-Procesami-Politycznymi. A co ludziom z tego przyjdzie, że z siebie małpy zrobimy? — zdziwił się Dłuż i zabrał za parzenie przemyconego z widzenia z Kernem czaju.

* * *

W potulickim kryminale, gdzie wylądowaliśmy na odsiadkę, Dłuż największą wagę przywiązywał do kontaktów z Łodzią. Próbował nawet kierować zza krat łódzką podziemną „S”. Uważał za oczywiste, że znalazłszy się w komfortowych więziennych warunkach zabiorę się za robienie gazety, więc nie wypadało się nie zabrać. „Pilnik” fruwał w oryginale po celach, a kopia wypływała na zewnątrz, gdzie w Gdańsku była przedrukowywana w paru tysiącach egzemplarzy. Tymczasem oryginał wracał do nas i wędrował via sala widzeń do Łodzi, gdzie lokalne bibulstwo korzystało z materiałów.

Wczesną jesienią '83, po wyjściu z pudła i podleczeniu się, spotkaliśmy się z Dłużem i wraz z żonami udaliśmy się do Marka Edelmana, aby podziękować za opiekę nad naszymi rodzinami.

Stary Doktor był w szampańskim humorze i w miarę kolejnych toastów wie-
trzył coraz bliższy upadek junty.

— A teraz niespodzianka — oznajmił radośnie, ślepiąc przenikliwie w nasze oczy. — Pewnie nie wiecie, że mam wszystkie oryginały „Pilnika”. Zaraz wam poka-
żę. Niech kobity widzą, żeście w tym kryminale baków nie zbijali — dodał rozpro-
mieniony i wszedł na krzesło, aby z jakiejś podniebnej półki ściągnąć twardy karton
po gauloises.

— Niech wiedzą — zgodził się Dłuż, który przez półtora roku kozy przeszedł
samodzielnie przyzwoity uniwersytecki kurs historii współczesnej, socjologii i poli-
tologii.

W miarę rozbierania kartonu na coraz bardziej elementarne części twarz Edel-
mana kurczyła się do rozmiarów jabłka.

— No wiecie co? — powiedział w końcu. — Ukradli! I osiemdziesiąt dolarów
na pomoc dla rodzin więźniów. Do diabła z dolarami, ale „Pilnika” szkoda — dodał
zmarzwiony Doktor.

— Nic to, panie Marku — pocieszył go Dłuż. — Wypijmy za to na pohybel
komunie. „Pilnik” już niepotrzebny, może raczej trzeba będzie łoma.

— Ale co ty! — oburzył się uśmiechnięty już Doktor. — Szkoda takiego dobre-
go koniaku dla bolszewii. Wypijmy lepiej nasze zdrowie, bo będzie nam potrzebne
— podniósł kieliszek.

* * *

W pięć lat później, kiedy stawał Śląsk i szło do Okrągłego Stołu, obaj z Dłużem
w odstępie paru tygodni znaleźliśmy się u Edelmana na oddziale z podobnymi niedo-
mogami serca. Jego stan był jednak gorszy; być może było to pierwsze ostrzeżenie.
Potem przyszło Dłuża zdjęcie z Wałęsą i posłowanie, upadek „Marchlewskiego”,
który bardzo przeżył, bankructwo we własnym biznesie. Kiedy coraz bardziej sku-
piał się na życiu rodzinnym, przyszła śmierć ukochanej córki na miesiąc przed tym,
gdy miał zostać dziadkiem. Z nowego mieszkania na Liściastej widać dobrze cmen-
tarz przy Zgierskiej. Przeżył ukochaną Agnieszkę dokładnie o dwa lata.

* * *

Tę historię opowiedział mi Dłuż którejś bezsennej nocy w Potulicach. Mowa
była o Marcu '68. Przytoczyłem opowieść naszego wspólnego przyjaciela Józka Śre-

niowskiego, który w imieniu zbuntowanych studentów przemawiał na słynnym wiecu pod Biblioteką Uniwersytecką. Nagle z Narutowicza wysypała się gromada rośliwych mężczyzn. Niektórzy mieli pały w rękach; zionęło od nich alkoholem.

— Byłem tam wtedy — przerwał mi Dłuż. — Przyjechali do „Marchla”, mówili, że są z Komitetu Wojewódzkiego. Że zagrożenie dla Polski. Wybrali od nas kilkunastu, samych młodych i wysokich. Byłem wtedy młody i głupi. Zawieźli nas do szkoły na Radiostację. Tam w sali gimnastycznej zebrali i znów agitowali. Dali po bułce. Ktoś puścił w obieg butelki. Potem ktoś nas prowadził pod Bibliotekę. Wmieszaliśmy się w tłum. Kto wie, może gdyby ktoś pierwszy uderzył, skończyłoby się tak, jak w Warszawie. Ale zaczęliśmy słuchać. Patrzyliśmy na siebie i wzruszaliśmy ramionami: studenci mieli rację. Wiec się skończył, pojechałem do domu.

Nic się nie stało. Ale nie mógł tego zapomnieć. Ta pamięć tkwiła w nim, kiedy drugiego dnia strajku w Sierpniu robotnice „Marchlewskiego” wybrały go na przywódcę. Właśnie jego — chłopca. I mistrza. I partyjnego. On, Dłuż, fachman od produkcji i kompan od kieliszka miał zrealizować ich wyobrażenia o sprawiedliwej Polsce.

Więc może dlatego „Marchlewski” natychmiast po Sierpniu obrósł dziennikarzami, poetami, malarzami, profesurą i studentstwem? Romantyczna wizja solidarności potoczyła się szalonym kręgiem aż do koniecznego spełnienia: wolnej Polski.

A teraz, bez Dłuża, ta wolna Polska jakby straciła na barwie. Tak sobie myślę. Bo On by się pewno oburzył.

Jerzy Dłużniewski — w latach 1980-81 przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w ZPB im. J. Marchlewskiego; także we władzach krajowych sekcji „Solidarności” przemysłu lekkiego. Po 13 grudnia 1981 poszukiwany przez SB ukrywał się, wydając wraz z Wojciechem Słodkowskim, Klemensem Zbrońskim i Ewą Błaszczuk pismo podziemne. Aresztowany 20.II.1982, skazany w trybie doraźnym na 3 lata więzienia przez Sąd Wojskowy Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy. Amnestiowany wraz z pozostałymi w lipcu 1983. Następnie w podziemnej „Solidarności” członek Krajowej Komisji Koordynacyjnej (jedyny przedstawiciel Łodzi), pseudonim „Jawor”. W 1989 r. poseł na Sejm, w OKP.

Zmarł 25.VI.1995.

Laureaci Nagrody Miasta Łodzi

1995

Rada Miejska w Łodzi, podczas XII Sesji w dniu 12 kwietnia 1995 roku, podjęła uchwałę nr XII/141/95 w sprawie przyznania „Nagrody Miasta Łodzi”.

Za wybitne osiągnięcia w twórczości artystycznej i naukowej nagrodzeni zostali:

Wojciech Has
Stanisław Liszewski
Jerzy Urbankiewicz

Uroczystego wręczenia nagród laureatom dokonał Przewodniczący Rady Miejskiej Grzegorz Palka, z okazji rocznicy nadania praw miejskich Łodzi, w dniu 17 maja 1995 roku w Dużej Sali Obrad Rady Miejskiej, w obecności radnych oraz licznie zgromadzonych przedstawicieli środowisk twórczych i naukowych miasta.

Biogramy laureatów

Wojciech Jerzy Has — wybitny polski reżyser filmowy. Od 1951 r. związany twórczo z Łodzią, początkowo jako reżyser filmów oświatowych, a od 1957 — filmów fabularnych. Wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. L. Schillera, od 1990 r. jej rektor. Autor scenariuszy do swoich filmów, laureat nagród prestiżowych festiwali międzynarodowych. Twórca szesnastu pełnometrażowych filmów fabularnych o uznanych i trwałych wartościach estetycznych. Wśród nich: *Pętla*, *Pożegnania*, *Jak być kochaną*, *Lalka*, *Rękopis znaleziony w Saragossie*, *Sanatorium pod klepsydrą* i inne. Niekwestionowana wielka osobowość polskiego filmu.

Stanisław Liszewski — prof. dr hab., wybitny polski geograf specjalizujący się w geografii miast, komunikacji i turystyki. Łódzianin, od 1958 r. związany z Uniwersytetem Łódzkim, gdzie realizuje powołanie naukowe od studenta do profesora zwyczajnego. Autor ponad stu tysięcy publikacji naukowych, w tym kilkudziesięciu dotyczących Regionu Łódzkiego. Praca habilitacyjna pt. *Teatry miejskie a struktura przestrzenna Łodzi* została nagrodzona przez Ministra Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego. Badacz zagadnień restrukturyzacji gospodarki Łodzi i regionu. Promotor prac magisterskich i doktorskich. Prorektor UŁ w latach 1984-90. Od 1991 r. prezes Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Niestrudzony propagator regionu łódzkiego, działacz na rzecz integracji łódzkiego środowiska naukowego i gospodarczego.

Jerzy Urbankiewicz — kawalerzysta, partyzant, więzień Workuty, dziennikarz, pisarz. Od najmłodszych lat związany z Łodzią, miłośnik i badacz naszego miasta. Autor około dwudziestu książek, w tym ośmiu poświęconych Łodzi. Wśród nich: *Sukiennice nad Łódką*, *Muzy przy krosnach*, *Passe-partout w ciepłym kolorze*. Autor *Czterech listów z Workuty*, *Szabli zardzewiałej* i innych książek wspomnieniowych o łagrach i walkach o niepodległość. Założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Żołnierz Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego — Wiano. Obrońca Kresów.

Waldemar Bohdanowicz
Przewodniczący Komisji Nagród i Odznaczeń
Rady Miejskiej Łodzi

Zasłużeni dla miasta

maj 1995

W dniu 12 kwietnia 1995 roku Rada Miejska, podczas XII Sesji podjęła uchwałę nr XII/142/95 w sprawie przyznania odznaki „Za zasługi dla Miasta Łodzi”.

Za działalność na rzecz miasta, godną szczególnego uznania, wyróżnieni zostali:

Bolesław Bachman
Bolesław Bolanowski
Longin Chlebowski
Teresa Cieślikowska
Jacek Dzieniakowski
Zbigniew Grzegorzewski
Władysława Insarew-Roszczyń
Marek Koter
Jan Krysiński
Zdzisław Kurman
Ewa Marynowicz-Hetka
Kazimierz Paszkowski
Lidia Stangierska-Nowocin
Jan Szosland
Innocenty Święcicki
Halina Zwierzchowska

Uroczysta dekoracja wyróżnionych osób odbyła się w dniu 17 maja 1995 roku w Dużej Sali Obrad Rady Miejskiej, z okazji rocznicy nadania Łodzi praw miejskich. Odznaki wręczył Przewodniczący Rady Miejskiej Grzegorz Palka. W uroczystości uczestniczyli licznie zebrani przedstawiciele środowisk politycznych, kulturalnych i gospodarczych naszego miasta.

Biogramy laureatów

Bolesław Bachman — emerytowany profesor Politechniki Łódzkiej, uznany specjalista technologii fermentacji. Organizator Wydziału Chemii Spożywczej i późniejszy jego dziekan. Promotor ponad trzystu prac magisterskich i jedenastu prac doktorskich. Członek branżowych komisji naukowych i technicznych w dziedzinie fermentacji przemysłowej. Zasłużony działacz sportu akademickiego w Łodzi.

Bolesław Bolanowski — prof. dr hab. Politechniki Łódzkiej, specjalista aparatów niskiego napięcia. Współtwórca pierwszego w Polsce laboratorium badającego te aparaty. Zasłużony dla rozwoju przemysłu elektrotechnicznego w Łodzi. Dziekan Wydziału Elektrycznego dwóch kadencji, od 1990 r. prorektor PŁ, zasłużony dla reorganizacji uczelni. Radny Miasta Łodzi w kadencji 1990-94.

Longin Chlebowski — ślusarz-spawacz zatrudniony w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym. Członek Komitetu Strajkowego w roku 1980. Inicjator powołania w Łodzi NSZZ Solidarność. Internowany i uwięziony po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r. W 1983 r. podejmuje aktywną działalność konspiracyjną na terenie miasta. W 1989 r. ponownie wybrany przewodniczącym Solidarności w MPK i członkiem Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej. Aktywny działacz społeczny w organizacjach samorządowych miasta. Radny Miasta Łodzi w kadencji 1990-94.

Teresa Cieślukowska — prof. dr hab. filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego, kierownik Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu. Autorka książek i wielu publikacji z teorii literatury. Promotor kilkuset prac magisterskich i kilkunastu prac doktorskich. Laureatka nagród naukowych. Zasłużony nauczyciel akademicki.

Jacek Dzieciakowski — nauczyciel wychowania fizycznego w szkołach łódzkich. Zasłużony popularyzator piłki nożnej, twórca sukcesów łódzkich drużyn szkolnych w rozgrywkach międzynarodowych. Trener piłkarski i działacz Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Zbigniew Grzegorzewski — taternik i dziennikarz. Inicjator, organizator i kierownik łódzkich wypraw górskich w Karpaty Wschodnie i na Huculszczyznę. Zasłużony dla zachowania polskiej tradycji narodowej i niepodległościowej oraz pomników pamięci narodowej na terenie Ukrainy. Popularyzator

problemów gospodarczych Łodzi i regionu w prasie o zasięgu krajowym — „Życie gospodarcze.”

Władysława Insarew-Roszczyń — dr filologii, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Łódzkiego. Animator upowszechniania języka i kultury francuskiej w naszym mieście. Aktywnie zaangażowana w rozwijanie ośrodka Alliance Francaise przy UŁ.

Marek Koter — prof. dr hab. geografii ekonomicznej, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Łódzkiego. Autor monografii na temat środowiska przyrodniczego, zagospodarowania przestrzennego i warunków rozwoju osadnictwa na terenach naszego miasta. Promotor niemal sześćdziesięciu prac magisterskich, w większości tematycznie związanych z Łodzią i regionem. Czynnie zaangażowany w praktyczne rozwiązywanie problemów zagospodarowania przestrzennego naszego miasta. Popularyzator wiedzy o rozwoju przestrzennym Łodzi.

Jan Krysiński — prof. dr hab. w Politechnice Łódzkiej, specjalista w zakresie maszyn przepływowych. Dziekan Wydziału Mechanicznego i od 1990 r. rektor PŁ. Autor i współtwórca nowatorskich w skali światowej konstrukcji łożysk gazowych i mikroturbin, zastosowanych w produktach łódzkiego przemysłu maszynowego. Zasłużony dla nawiązania ścisłej współpracy pomiędzy uczelnią a liceami ogólnokształcącymi, dla sprawnej rekrutacji kandydatów na studia. Przyczynił się do merytorycznego i materialnego zwiększenia stanu posiadania uczelni, co przejawia się m.in. w zwiększeniu liczby studentów w uczelni.

Zdzisław Kurman — nauczyciel, popularyzator wiedzy o Łodzi. Jako członek Towarzystwa Przyjaciół Łodzi aktywnie pogłębia uczuciowe zaangażowanie młodzieży w sprawy naszego miasta. Organizator szerokich akcji popularyzacyjnych, cieszących się uznaniem młodzieży.

Ewa Marynowicz-Hetka — dr hab. pedagogiki, specjalista pedagogiki społecznej, nauczyciel akademicki w Uniwersytecie Łódzkim. Aktywnie zaangażowana w teoretyczne i praktyczne rozwiązywanie problemów społecznych, typowych dla naszego miasta. Autorka ponad sześćdziesięciu rozpraw i publikacji. Zaangażowana bardzo skutecznie w merytoryczny i organizacyjny rozwój Uniwersytetu, m. in. poprzez organizację Wydziału Nauk o Wychowaniu.

Kazimierz Paszkowski — żołnierz legionista i obrońca II Rzeczypospolitej, redaktor i pisarz. Autor trzynastu książek, scenariuszy filmowych. Od 1921 r. członek Związku Literatów Polskich, inwalida wojenny. Całe swoje stuletnie życie poświęcił dobru Niepodległej Rzeczypospolitej.

Lidia Stangierska-Nowocin — emerytowany lekarz rejonowy w dzielnicy Bałuty. Zasłużona w niesieniu pomocy medycznej i społecznej mieszkańcom dzielnicy. Często realizowała swoje powołanie pracą bezinteresowną.

Jan Szosland — prof. dr hab. włókiennictwa, wybitny dydaktyk, naukowiec i organizator nauki, od czterdziestu pięciu lat związany twórczo z Politechniką Łódzką. Specjalista w zakresie mechanicznej technologii włókna. Jeden z najwybitniejszych specjalistów tkactwa. Bardzo silnie związany z polskim i łódzkim przemysłem włókienniczym. Wspólnie z zespołem wykonał około stu prac naukowych. Współtwórca i przewodniczący Stowarzyszenia Włókienników Polskich.

Innocenty Świąćicki — prawnik-ekonomista, czynny działacz samorządów zawodowych. Członek NSZZ Solidarność. Pomimo emerytury bardzo czynnie działa jako Radny Miasta Łodzi od dwóch kadencji, pełniąc funkcje przewodniczących i wiceprzewodniczących komisji.

Halina Zwierzchowska — emerytowany lekarz, kombatant i inwalida wojenny. Związana przez lata z lecznictwem rejonowym.

Komisja Nagród i Odznaczeń Rady Miejskiej w Łodzi **rozpatrzyła wnioski zgłoszone w terminie do 30 stycznia 1995 roku**, w oparciu o obowiązujący regulamin Odznaki „Za zasługi dla Miasta Łodzi”. Rozpatrzono 31 udokumentowanych wniosków. Sześć wniosków odesłano jako niezgodne z regulaminem, osiem wniosków opiniowano negatywnie.

Waldemar Bohdanowicz
Przewodniczący Komisji Nagród i Odznaczeń
Rady Miejskiej w Łodzi

Sprostowanie

W numerze 1/95 „Kroniki Miasta Łodzi”, przedstawiając członków nowego Zarządu Miasta wraz z osobami uprawnionymi do stałego uczestniczenia w jego pracach, przez niedopatrzenie nie zamieściliśmy biogramu Skarbnika Miasta Łodzi Pani Grażyny Korasiewicz.

Przepraszamy gorąco Panią Grażynę Korasiewicz za to przykre uchybienie. Poniżej publikujemy notę biograficzną Skarbnika Miasta.

Redakcja

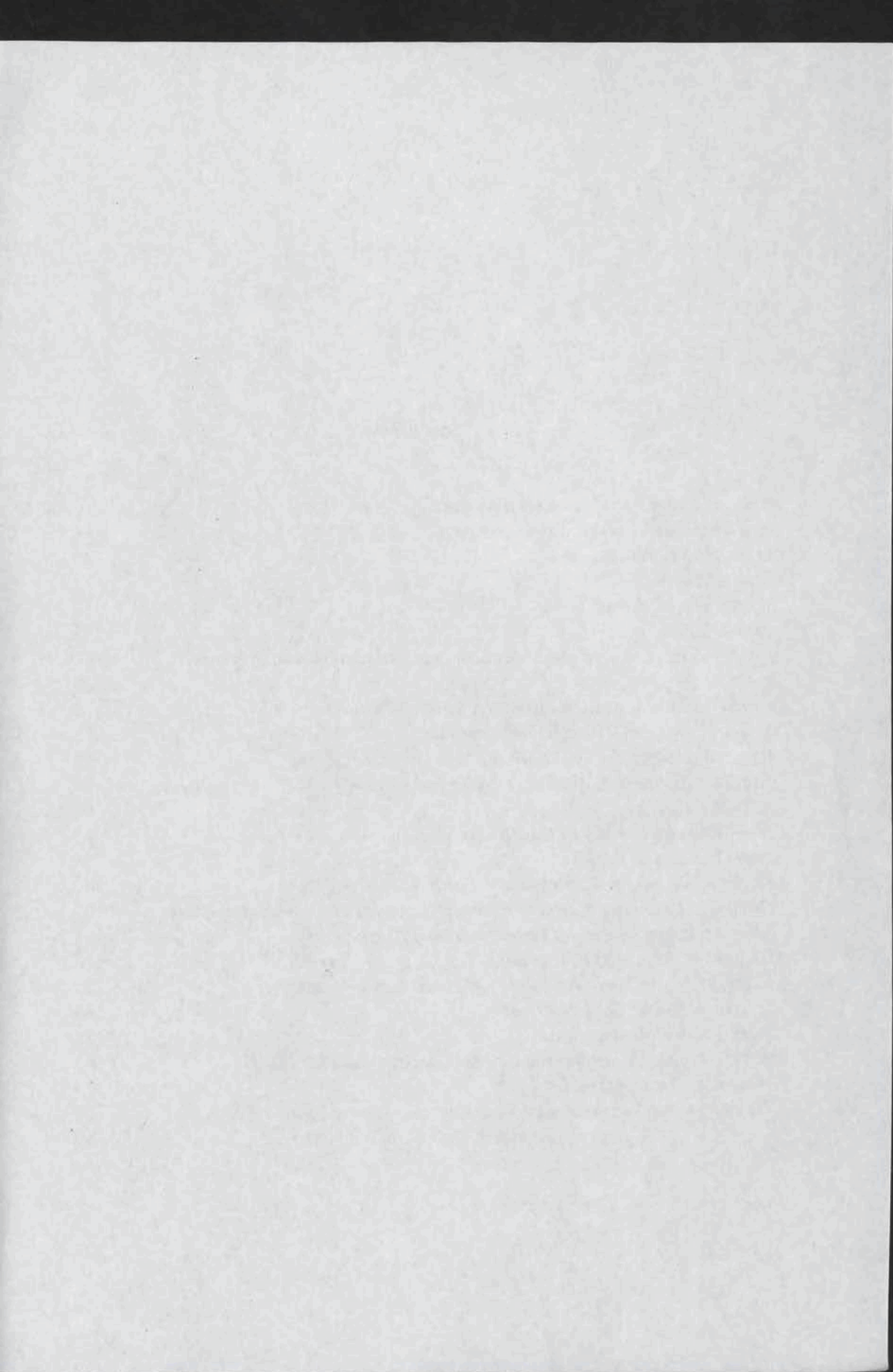
Grażyna Korasiewicz — lat 57, prawnik — finansista. Współzałożycielka NSZZ „Solidarność” w PWiKOŁ, prowadząca działalność także po 13 grudnia 1981 r. Współorganizatorka samorządu pracowniczego w przedsiębiorstwie, sekretarz Rady Pracowniczej do 1985 r.

Po wyborach do samorządu lokalnego w 1990 r. — powołana przez Radę Miejską na stanowisko Skarbnika Miasta Łodzi. Od 1992 r. prezes Stowarzyszenia Skarbników Gmin Polskich. Skarbnik Unii Metropolii Polskich i ŁPO — Liga Łódzka. Członek wspierający Związek Sybiraków.

Jako Skarbnik Miasta bezpośrednio zarządzała finansami Łodzi, kierowała Wydziałem Finansowym UMiŁ, w którym budowano i wykonano budżet największej gminy w Polsce, budżet bez deficytu w 1991 r., a w latach następnych — z nadwyżką budżetową.

Nowo wybrana w II kadencji samorządu Rada Miejska ponownie powołała Grażynę Korasiewicz na stanowisko Skarbnika Miasta Łodzi.

Zamężna, mąż Wojciech, adwokat, obecnie rencista. W latach 1940-47 przebywał na Syberii, wraz z rodzicami i siostrą przymusowo deportowany w głąb ZSRR. Ma dwóch synów: Dariusza — pracownika banku, i Andrzeja — studenta III roku archeologii UŁ, oraz wnuczkę Karolinę, uczennicę VI klasy szkoły podstawowej.



Spis treści

Andrzej Majer <i>Ile demokracji dla Łodzi</i>	4
Andrzej Borucki <i>O łódzkiej inteligencji</i>	11
<i>O mojej to Łodzi piosenka</i>	26
Marek Miller	27
Krystyna Kwiatkowska	30
Marek Janiak	33
<i>Przywróćmy pamięć o zamordowanym narodzie żydowskim. Rozmowa z Arnoldem Mostowiczem</i>	38
Paweł Spodenkiewicz <i>Notatki do pewnych biografii</i>	51
Mieczysław Gumola <i>Zamknięty rozdział</i>	55
Ryszard Kleszcz <i>Życie filozoficzne Łodzi międzywojennej</i>	59
Anna Sztaudynger-Kaliszewicz <i>Łódź i łodzianie w życiu i twórczości Jana Sztaudyngera</i>	65
Józef Robakowski <i>Idą PROGRESYWNIE</i>	77
Anna Płazewska <i>Wiek kina</i>	93
Kazimierz Lewkowski <i>Aleksander Bardini</i>	100
Dominika Łarionow <i>Wariacje na temat tkaniny w królestwie fabrykanta</i>	103
Jerzy Andrzejewski <i>50 lat Uniwersyteckiej Książnicy</i>	114
Bogusław Sułkowski <i>Przestrzeń kultury</i>	118
Grzegorz Matuszak <i>Szkic do portretu łódzkiego przedsiębiorcy</i>	127
Marcin Witoński <i>Targowa Łódź</i>	133
Jacek Pająk <i>Połatane miasto</i>	138
Wojciech Górecki <i>Strajki robotnicze w Łodzi w latach 1945-47</i>	143
Wojciech Słodkowski <i>Dłuż</i>	153
Waldemar Bohdanowicz <i>Laureaci Nagrody Miasta Łodzi, 1995</i>	158
<i>Zasłużeni dla miasta, maj 1995</i>	160

Wydawca: Zarząd Miasta Łodzi
Skład: Computext – DTP, Pabianice, ul. Cisowa 15
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź, ul. Żwirki 2

10671-A





ISSN - 1231-5354